Nr 11–12 (126–127)
LISTOPAD–GRUDZIEŃ 2023
CENA: 11,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI

HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

ZAMACH NA KRÓLA ZYGMUNTA III WAZĘ

ZBRODNIA i KARA

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was przygotowujemy pełne świetnych tekstów magazyny „wSieci Historii" oraz tygodniki „Sieci", dzięki którym możecie:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskim dziennikarstwie.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru magazynu „wSieci Historii" i tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół „wSieci Historii" i „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
SIECI + wSIECI HISTORII	-	169 zł	295 zł

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 9-16)

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 265 zł)

eprasa.pl 922094d2e9

WOLNOŚĆ I SUWERENNOŚĆ, CZYLI PO WYBORACH

Niniejszy numer „wSieci Historii" ukazuje się w kioskach już po wyborach do Sejmu i Senatu kolejnych kadencji. Tym razem nie startowałem do parlamentu i stąd, z niejakiego dystansu, patrzyłem na zmagania polityków oraz ich sztabów. Co niezmiernie mnie zasmuciło, to realizm pewnej, oczywistej konstatacji: mamy co najmniej dwie Polski, które nijak ze sobą nie mogą rozmawiać bez emocji, czyli nie mogą wcale. Powodem tej dychotomii jest wizja rozwoju Polski i Europy w nadchodzących dziesięcioleciach. I nie chodzi jedynie o politykę zagraniczną.

Z jednej strony mamy świat konserwatywny, oparty na kilku dogmatach. Jednym z nich jest przeświadczenie, że system demokratyczny, którego sensem jest zachowanie stanu wolności jednostki, a jednocześnie zdolności do poświęceń tejże na rzecz ogółu, musi odwoływać się do norm wspólnotowych, chrześcijańskich. System demokratyczny staje się realnym jedynie w obrębie jednego narodu, a i tak z trudem. Naród zaś, czyli rodzina rodzin, to wspólnota tradycji, kultury, języka i wewnętrznej komunikacji. To zbiór z pokolenia na pokolenie żyjący w miłości do swej historii, ziemi, i zdolny do poświęceń w imię patriotyzmu. W naszym piśmie staramy się dać czytelnikom wiedzę o naszej przeszłości, by wzmocnili miłość do swego kraju. A także by rozumieli, że nie ma dla Polaka, jego dzieci i wnucząt lepszego świata niż ten nad Wisłą, na który sami zapracujemy. Warunkiem zdolność Polaków do opowiedzenia się za polskością, tj. za zarządzaniem wspólnoty demokratycznie, czyli suwerennie, bez zniewolenia zewnętrznego. To zniewolenie zewnętrzne zaś nie musi być niestety opresyjne, nawet może dziś wyglądać na pozór atrakcyjnie.

W filmie Macieja Pawlickiego „Panna Opętana" jest taki dialog rodzeństwa, Anny i Aleksandra. Ona, patriotka, która za chwilę weźmie udział w przegranym powstaniu styczniowym, i on, oficer rosyjski, który będzie je tłumić. Aleksander kochający swą siostrę tłumaczy jej, że Polacy jedynie potrafili doprowadzić swą ojczyznę do rozbiorów i muszą być zarządzani przez mądrzejszych oraz lepszych od siebie. Realizm nakazuje więc postawić na silniejszego „konia", którym jest Rosja, a nie miotać się po tym świecie, bez szans na mityczne zwycięstwo. I to jest ta druga Polska, także dziś obecna. Warunkiem jej powstania jest zgoda na własną małość, autocenzura granicząca z gwałtem na swej narodowej pamięci, zgoda na panowanie nowoczesnej oligarchii eurokratów, którzy za nas w totalnie zarządzanej Europie stworzą znośne warunki egzystencji. Bez szaleństw i własnych myśli, z akceptacją nowoczesnych ideologii, wszelkich rozwiązań prawnych, niezależnie od ich umocowania etycznego. Zgoda na dyktat nazywany w nowomowie wolnością.

Czy coś te dwie wizje Polski potrafi połączyć? Trzymam się uparcie doświadczenia, jakim był wybuch wojny na wschodzie. Wtedy wszyscy Polacy poczuli nakaz sumienia, by pomagać bardziej potrzebującym pomocy – Ukraińcom. Niezależnie od swych sympatii politycznych, stosunku do wiary i Kościoła katolickiego. Drugim doświadczeniem, płynącym z historii, jest pamięć o czasach PRL. Bywały chwile, że komunistom mogło się wydawać, iż zapanowali nad narodem, zniewolili go. Tak było po słynnym liście biskupów polskich do biskupów niemieckich z 18 listopada 1965 r. Masówki potępiające prymasa, paszkwile w prasie, przemówienia taśmowo powtarzane w radiu. I nagle, gdy odmówiono kardynałowi paszportu i zaczął się w styczniu 1966 r. rok milenijny, karty się odwróciły. Naród powoli zaczął sobie przypominać, czym jest wolność i suwerenność. ■

JAN ŻARYN

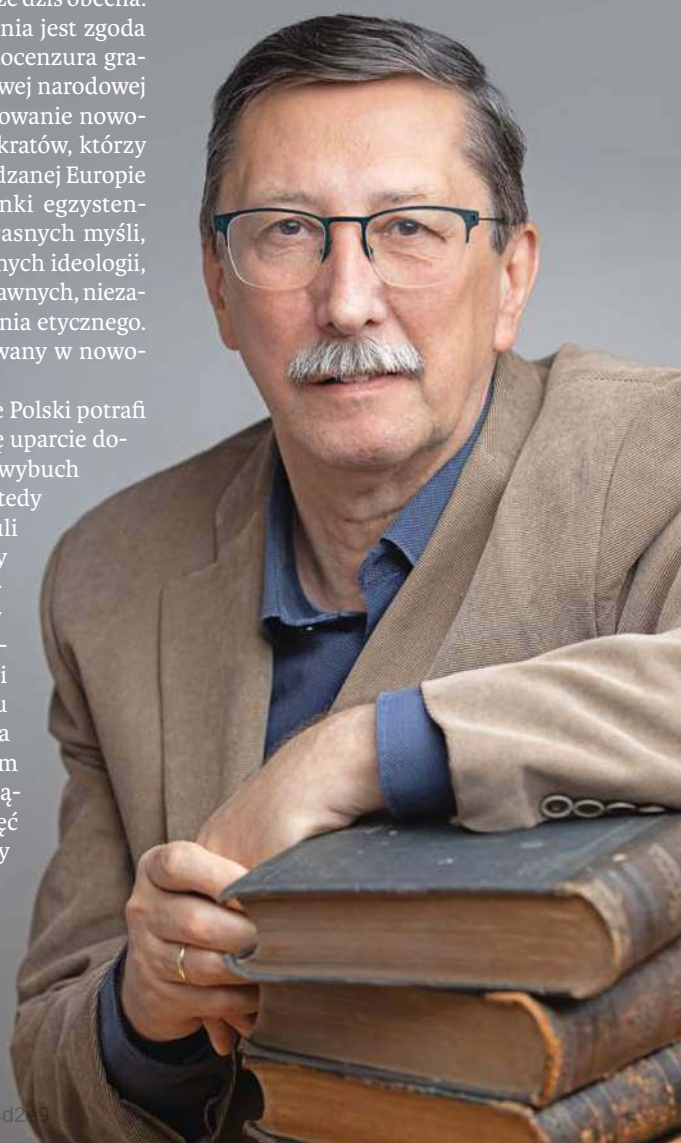

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 922094d269

wSIECI
SPIS TREŚCI
Nr 11–12 (126–127) LISTOPAD–GRUDZIEŃ 2023

HISTORII

12 ZA DRZWIAMI ŚWIĄTYNI CZYHAŁ ZAMACHOWIEC, KTÓRY PRZEZ PRZYPADEK „MIAŁ PLAC GOŁY I SNADNY PRZYSTĘP" DO KRÓLA. „WYPADŁ Z OKRZYKIEM WIELKIM" I ZAATAKOWAŁ ZYGMUNTA CZEKANEM – PRZYPOMINA HENRYK LITWIN

48 AFERA SZPIEGOWSKA, KTÓRA SWÓJ POCZĄTEK MIAŁA 22 KWIETNIA 1983 r. NA JEDNEJ Z ULIC SZTOKHOLMU, DO DZIŚ PORUSZA SZWEDZKICH HISTORYKÓW I PASJONATÓW SŁUŻB SPECJALNYCH. W POLSCE ZAŚ POZOSTAJE NIEZNANA – WSKAZUJE PAWEŁ SKUBISZ

3 **GŁOS NACZELNEGO**
JAN ŻARYN

6 **CO BYŁO, CO BĘDZIE**
PIOTR MAZUREK

10 **SOWIECKA INTELLIGENZAKTION**
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

12 **MICHAŁ PIEKARSKI NA MĘKACH**
HENRYK LITWIN

15 **NAPAD NA BANK LANDAUA**
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

18 **HISTORIA JEDNEJ PROWOKACJI**
MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

21 **ZŁOWROGI CIEŃ GILOTYNY**
RAFAŁ SIERCHUŁA

FELIETONY

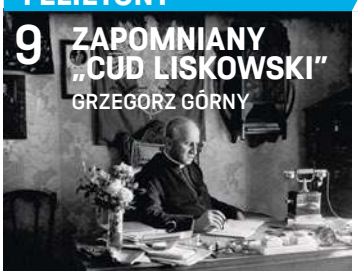

9 **ZAPOMNIANY „CUD LISKOWSKI"**
GRZEGORZ GÓRNY

23 **1968 – POCZĄTEK DYKTATURY REWOLUCYJNEJ W PERU**
PAWEŁ SKIBIŃSKI

57 **SILVA RERUM**
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

67 **DWA SPOSOBY**
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

75 **WIELKIE ROZCZAROWANIE**
ANTONI DUDEK

75 **AFRYKAŃSKA WINDA**
RYSZARD CZARNECKI

82 **MARIA SOLIDARNOŚĆ**
ARTUR KUBAJ

WEHIKUŁ CZASU

24 **LISTOPAD, GRUDZIEŃ**
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

28 **JÓZEF SIEMIEŃSKI (1882–1941)**
JACEK KROCHMAL

AAN

30 **DOKUMENTY NIEPODLEGŁEJ!**
RAFAŁ KIERZKOWSKI

DUSZA KONTUSZA

32 **ANDRZEJ LUBIENIECKI – ARIAŃSKI SARMATA**
HENRYK LITWIN

ZDARZYŁO SIĘ

35 **JAN SŁOMKA – WÓJT Z DZIKOWA I CHŁOPSKI POZYTYWISTA**
JACEK JAKUBIEC

38 **„DZIEŁO" JUDY BATALION**
LESZEK ŻEBROWSKI

41 **ŻYDOWSKO-SOWIECKO-POLSKA AFERA W MEKSYKU 1943 (CZ. 2.)**
ZBIGNIEW IZDEBSKI

44 **WSPOMNIENIA NAUCZYCIELA – EMIGRANTA**
ZBIGNIEW TYSZKO

48 **KIEDY STRACH MA WIELKIE OCZY**
PAWEŁ SKUBISZ

51 **ZROBIŁA TAK WIELE. JANINA WEHRSTEIN (1930–2023)**
ELŻBIETA ROMANOWSKA

ZIEMIAŃSTWO

54 **WART PAC PAŁACA, A PAŁAC PACA**
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

IDMN

58 **SPRAWA BISKUPA BOCIANA**
PRZEMYSŁAW PAZIK

eprasa.pl 922094d2e9

62 PRZED PÓŁ WIEKIEM 17 PAŹDZIERNIKA 1973 r. POLSKA REPREZENTACJA SKAZANA „NA POŻARCIE" AWANSOWAŁA NA MUNDIAL W RFN, ELIMINUJĄC ANGLIĘ PO DRAMATYCZNYM BOJU NA SŁYNNYM STADIONIE WEMBLEY – PISZE GRZEGORZ MAJCHRZAK

PRASPORT

62 **NAJWAŻNIEJSZY REMIS W HISTORII POLSKIEGO FUTBOLU**
GRZEGORZ MAJCHRZAK

PEŁNA KULTURA

64 **ANTONIEGO CHOŁO-NIEWSKIEGO IDIOM POLSKOŚCI**
MAGDALENA MERTA

68 **CYNCYNAT W KULTURZE POLSKIEJ**
JERZY MIZIOŁEK

72 **W KRĘGU KLIO**
RAFAŁ ŁATKA

74 **ROZMOWA Z PROF. TOMASZEM SIKORSKIM**
RAFAŁ ŁATKA

ARCHIWA PAŃSTWOWE

76 **ARCHIWA POZA KRAJEM**
PAWEŁ PIETRZYK

HISTORIA UBEZPIECZEŃ

78 **TROSKA O DZIEDZICTWO KULTUROWE POLSKI TO UBEZPIECZENIE NARODOWEJ TOŻSAMOŚCI**

DIABEŁ NIE MÓGŁ

84 **DZIEWCZĄTKO Z ORŁEM BIAŁYM**
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

86 **NA CIEPŁO LEPIEJ SMAKUJE**
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

88 **HMS HOOD, CZYLI CHLUBA ROYAL NAVY**
KACPER GROCHOCKI

NAC PREZENTUJE

89 **RIKSZA – OKUPACYJNA TAKSÓWKA**
ŁUKASZ KAROLEWSKI

Z FOTOTEKI IPN

90 **DOUGLAS MACARTHUR W POLSCE**
BARTOSZ ORZOŁ

ZE ZBIORÓW MPW

91 **DOKUMENTY Z OPERACJI „FRANTIC 7"**
RAFAŁ BRODACKI

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Artur Kubaj, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Grzegorz Majchrzak, Jerzy Miziołek, Mariusz Olczak, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Przemysław Waingertner, Krzysztof Żaryn oraz AAN, AGAD, IDMN, IPN, MPW i NAC

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Lidia Słowikowska-Smolińska
lidia.slowikowska@fratria.pl
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Robert Gołaszewski, robert.golaszewski@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 36 00
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7⁰⁰–18⁰⁰.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Koncepcja: Michał Korsun; tytułowy font Chapbook autorstwa – Feòrag NicBhride

P. Robinson/PA/East News, Bibl.Narodowa, Domena publiczna 3x , Aftonblandet, State Library of Victoria, Shutterstock 2x

eprasa.pl 922094d2e9

Muzeum Historii Polski otwarte

28 września na warszawskiej Cytadeli miała miejsce uroczystość otwarcia siedziby Muzeum Historii Polski. Jak podkreślał w trakcie ceremonii minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński: „MHP to największa inwestycja państwa polskiego w dziedzinie kultury. Największa – i na pewno najważniejsza spośród ponad 300 projektów muzealnych i prawie 8 tys. inwestycji w kulturze zrealizowanych w ciągu ostatnich niespełna ośmiu lat". W swoim wystąpieniu prezydent RP Andrzej Duda podkreślił, że budowa muzeum była marzeniem i ideą śp. prezydenta RP prof. Lecha Kaczyńskiego. „Od 2015 r. dzięki zmianom, które nastąpiły w Polsce, a także dzięki wytężonej pracy prof. Piotra Glińskiego, ministra odpowiedzialnego za sprawy kultury i dziedzictwa narodowego, to muzeum stało się faktem" – powiedziała głowa państwa. Premier Mateusz Morawiecki podkreślał z kolei: „To symboliczne, że na warszawskiej Cytadeli – w miejscu męczeństwa narodu polskiego, gdzie głównie przez rosyjskiego zaborcę mordowani byli polscy patrioci – powstało Muzeum Historii Polski". Zwrócił również uwagę, że MHP to nie tylko gmach, lecz także pewnego rodzaju symbol, który ma prowadzić Polaków do przyszłości. Muzeum Historii Polski zostało powołane 2 maja 2006 r. Od początku tworzyło wystawy, uczyło i na różne sposoby popularyzowało historię, ale przez wiele lat nie posiadało stałej siedziby. Bardzo długo nie podejmowano decyzji o lokalizacji oraz finansowaniu inwestycji budowy muzeum. Zasadniczą zmianę przyniósł dopiero przełom lat 2015 i 2016, gdy rząd zatwierdził lokalizację muzeum na warszawskiej Cytadeli i zabezpieczył odpowiednie środki finansowe. Już w listopadzie 2016 r. zaprezentowano projekt siedziby instytucji, a w lipcu 2018 r. symbolicznie wbito pierwszą łopatę pod jej budowę. Gmach MHP to jeden z najnowocześniejszych budynków muzealnych, jakie powstały w ostatnim czasie w naszym kraju. Jego marmurowa elewacja nawiązuje do kolejnych warstw naszej historii: od czasów najdawniejszych do współczesności. Można w niej dostrzec metaforę historii jako procesu: nakładanie się kolejnych warstw wydarzeń i powstawanie wspólnego dziedzictwa. Kamienne płyty fasady zdobione są reliefami, nawiązującymi do symboli polskiej architektury. Począwszy od Drzwi Gnieźnieńskich, przez ornamenty romańsko-gotyckie, zdobienia inspirowane zamkiem na Wawelu, aż po XX-wieczny modernizm. We wnętrzu budynku znajdują się niezwykłe przestrzenie, takie jak: Sala Audytorium, licząca 577 miejsc, która będzie stałą salą koncertową Polskiej Orkiestry Sinfonia Iuventus im. Jerzego Semkowa, oraz sala kinowo-teatralna, mieszcząca do 135 widzów. Dla zwiedzających udostępniony będzie również Park Edukacyjny MHP i taras widokowy, z którego można podziwiać niezwykłą panoramę Warszawy. Na zwiedzających czeka wystawa czasowa „Wielkie i małe historie. Tworzenie kolekcji Muzeum Historii Polski", na której obejrzeć można m.in. maszynę szyfrującą Enigma, unikatowe obrazy bractwa św. Łukasza, kopie konserwatorskie aktów unii lubelskiej i konfederacji warszawskiej.

Ekspozycja znajduje się w sali wystaw czasowych o powierzchni 1,4 tys. m², położonej na parterze budynku. Do chwili otwarcia w 2026 r. wystawy stałej będzie ona sercem wystawienniczej działalności MHP.

FOT. LUDMYLA KAZAKOVA

W SN o polskich kodeksach

13 października 2023 r., Sąd Najwyższy zorganizował konferencję naukową pt. „Źródła i współczesność polskich kodeksów: postępowania cywilnego i postępowania karnego". Wzięli w niej udział wybitni znawcy prawa i historii prawa, m.in. prof. Wacław Uruszczak Konferencja ta miała na celu m.in. upamiętnienie 500-lecia wprowadzenia do porządku prawnego niektórych ziem Rzeczypospolitej pierwszego spisanego kodeksu procesowego ziemskiego znanego pod nazwą „Formula Processus". Uchwalony konstytucją sejmu piotrkowskiego w 1523 r. za panowania Zygmunta I, kodeks ten zapoczątkował istnienie instytucji apelacji, czyli możliwości zaskarżenia wyroku pierwszej instancji do instancji wyższej. „Formula Processus" funkcjonowała w polskim sądownictwie aż do rozbiorów. Wprowadzenie apelacji poprzedziło o pół wieku zrzeczenie się przez króla Stefana Batorego jego prerogatyw w zakresie władzy sądowniczej na rzecz stanu szlacheckiego i utworzenie Trybunału Koronnego (1578), w prostej linii poprzednika Sądu Najwyższego (za: Joanna Potocka, Pełnomocnik Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego do spraw organizacji Muzeum Sądu Najwyższego).

eprasa.pl 922094d2e9

FOT. JAREK SADKOWSKI

XV Festiwal NNW za nami

27–30 września w Gdyni odbywał się XV Festiwal Filmowy „Niepokorni. Niezłomni. Wyklęci". W trakcie imprezy odbyło się ponad 150 pokazów filmowych, 250 wydarzeń towarzyszących, w tym m.in. debaty, spotkania ze świadkami historii oraz filmowcami z całego świata. Japońskie kino historyczne, amerykańskie sny, fińscy sportowcy, echa wojny w byłej Jugosławii, rtm. Witold Pilecki, błogosławiona rodzina Ulmów czy tajemnice niemieckiego lasu – to tylko niektóre z tematów prezentowanych podczas Festiwalu. Na wydarzeniu pojawiła się duża reprezentacja emigracji politycznej, m.in. podróżnik Jerzy Majcherczyk, który opowiadał o zdobyciu najgłębszego kanionu świata Colca i peruwiańskich manifestacjach wspierających Solidarność. Gościem Festiwalu był też filozof i podróżnik Marek Kamiński. Natomiast wśród licznych spotkań w międzynarodowym gronie podjęta została m.in. dyskusja o tym, jak opowiadać światu o totalitaryzmach. W jury XV Festiwalu Filmowego NNW zasiedli m.in.: amerykański producent filmów historycznych John Grooters, grający w USA aktor Marek Probosz, uznany ukraiński reżyser Mykhailo Illienko, japoński reżyser Ken Takahashi – twórca ponad 100 filmów i wizjoner nowoczesnego japońskiego kina historycznego, dokumentaliści Paweł Woldan i Anna Ferens. Zwycięzcą i laureatem głównej nagrody tegorocznego Festiwalu został film „Nahschuss/Ostatnia egzekucja" w reżyserii Franziski Stünkel. Nagrodę im. rtm. Witolda Pileckiego w konkursie filmów dokumentalnych otrzymał „Motherland/Matczyzna" Alexandra Mihalkovicha, zaś nagroda publiczności trafiła do filmu „Prorok" w reżyserii Michała Kondrata. Nagrodę specjalną Platynowy Opornik otrzymał Jerzy Kalina – polski scenograf i plastyk, twórca projektów pomników i witraży, a także filmów animowanych i dokumentalnych. Pełna lista wszystkich nagród i wyróżnień przyznanych na XV edycji Festiwalu NNW jest dostępna na stronie internetowej wydarzenia: www.festiwalnnw.pl. Organizatorem imprezy jest Stowarzyszenie Scena Kultury kierowane przez Arkadiusza Gołębiewskiego wraz z miastem Gdynia. Patronat Narodowy w Stulecie Odzyskania Niepodległości nad XV Festiwalem Filmowym NNW objął Prezydent Rzeczpospolitej Polskiej Andrzej Duda. Partnerem Generalnym Festiwalu została firma Energa z Grupy ORLEN. Festiwal został dofinansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszy Promocji Kultury oraz był współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej.

FOT. PRZEMYSŁAW BLECHMAN

Wernisaż wystawy o Onufrym B. Kopczyńskim

2 października w Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy odbył się wernisaż przygotowanej przez Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego wystawy „Onufry Bronisław Kopczyński – życiorys niedokończony" połączony z konferencją „Literatura czasu wojny. W kręgu »Sztuki i Narodu«". „Jest to bardzo stosowne, by w świątyni polskiego słowa, jaką jest biblioteka, można było zapoznać się z tą niezwykłą częścią polskiej kultury XX w." – powiedział w trakcie wydarzenia zastępca dyrektora IDMN prof. Paweł Skibiński. O wystawie, jej założeniach i eksponatach opowiedzieli kuratorzy wystawy, pracownicy IDMN – Agnieszka Bejnar-Bejnarowicz i Michał Gniadek-Zieliński oraz ze strony Biblioteki – dr Maciej Motas. „Kopczyński był literatem, ale przede wszystkim był muzykiem. Sukcesy w obszarze muzyki odnosił już przed wojną, a w czasie okupacji został okrzyknięty »Chopinem konspiracji«. Kopczyński to przede wszystkim właśnie kompozytor, osadzający swoją twórczość w szerokim kontekście polskiej kultury" – podkreślał Michał Gniadek-Zieliński. Wystawa jest poświęcona postaci Onufrego Bronisława Kopczyńskiego (1916–1943) – publicysty, wydawcy, teoretyka kultury, a przede wszystkim muzyka. Twórczość Kopczyńskiego obejmuje nie tylko muzykę poważną, lecz także rozrywkową i wojskową. Jego utwory wykonywały takie gwiazdy polskiego kina jak Tola Mankiewiczówna. Jako publicysta debiutował przed wojną na łamach „Ruchu Młodych", a od 1936 r. redagował własne pismo – „Ruch Kulturalny". W czasie wojny był inicjatorem oraz redaktorem pisma „Sztuka i Naród" – pierwszego konspiracyjnego pisma o kulturze i sztuce, redagowanego pod okupacją niemiecką. To właśnie „SiN" stała się organem, na łamach którego debiutowali m.in. Wacław Bojarski, Andrzej Trzebiński czy Tadeusz Gajcy.

eprasa.pl 9220

Wokół pamięci Jarosława M. Rymkiewicza

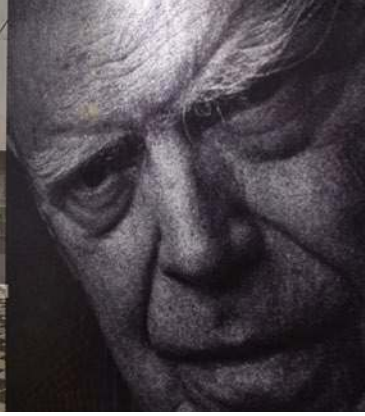

Do 12 listopada w Muzeum Literatury w Warszawie można oglądać wystawę „Rymkiewicz. Encyklopedia". Jest to obszerna ekspozycja, prezentująca 40 haseł, które prowadzą odwiedzających przez najważniejsze dla Jarosława Marka Rymkiewicza tematy, miejsca i przedstawiają najważniejsze dla niego osoby. Wśród nich znaleźli się Mickiewicz i Iwaszkiewicz, Ewa i matka, masakra i sny, a także Milanówek i Wigry. Twórcy ekspozycji oddają głos samemu bohaterowi – prezentuje ona wiele cytatów, wierszy oraz nagrań Rymkiewicza. Zwiedzający mogą również zobaczyć rękopisy poety, jego osobiste przedmioty oraz eksponaty ze zbiorów Muzeum Literatury. Organizatorem wystawy jest Fundacja Evviva L'arte we współpracy z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Instytutem Książki. Wystawa zapowiada Festiwal Rymkiewiczowski – interdyscyplinarne wydarzenie inspirowane twórczością Jarosława Marka Rymkiewicza, które rozpocznie się 2 listopada i potrwa do 10 listopada. Będzie to czas pełen różnorodnych wydarzeń, w tym debat, koncertów, przedstawień, spotkań z pisarzami, warsztatów i przedstawień teatralnych. Tematem przewodnim tegorocznej edycji są „Dziady, upiory, przodkowie". W organizację Festiwalu zaangażowane są liczne instytucje i placówki kulturalne, takie jak Muzeum Literatury, Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie, Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, Uniwersytet Warszawski, Biblioteka Narodowa, Instytut Literatury, Teatr Klasyki Polskiej, Centrum Sztuki Współczesnej, Fundacja Augusta hr. Cieszkowskiego oraz kwartalnik „Kronos. Metafizyka, Kultura, Religia". Jarosław Marek Rymkiewicz (1935–2022) był poetą, pisarzem, eseistą, historykiem literatury, dramaturgiem i tłumaczem. Był także badaczem szczegółów, które były inspiracją do opowieści o Adamie Mickiewiczu, Juliuszu Słowackim, Bolesławie Leśmianie czy Aleksandrze Fredrze. Charakteryzował się oryginalnym stylem pisania, którym opisywał najważniejsze momenty historii Polski, co zawsze wywoływało gorące dyskusje. Zdobył wiele prestiżowych nagród, takich jak Nagroda Fundacji im. Kościelskich, Nagroda im. Stanisława Vincenza, Nagroda Literacka im. Józefa Mackiewicza, Nagroda Literacka Nike, Nagroda Poetycka Orfeusz oraz Doroczna Nagroda Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za Całokształt Twórczości. Został również uhonorowany Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".

FOT. MUZEUM LITERATURY

Dmowski–Piłsudski w Tokio

8 grudnia w dolnej sali teatralnej kościoła Wszystkich Świętych w Warszawie odbędzie się premiera spektaklu w reżyserii Marcina Kwaśnego i według pierwotnego scenariusza Jacka Inglota na temat spotkania Piłsudskiego z Dmowskim w Tokio w lipcu 1904 r. („Długi dzień w Tokio", wyd. IDMN). Spektakl został dofinansowany przez MKiDN. Bliższe informacje na stronie: www.idmn.pl.

Opr. Piotr Mazurek

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

21 października i 18 listopada (soboty) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

26 października (czwartek) o godz. 9.15 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w Radiu Gdańsk

Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii" w każdą ostatnią środę miesiąca o godzinie 23:09 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co to za Historia".

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
wSIECI HISTORII	–	**34 zł** (3 wydania)	**59 zł** (6 wydań)
SIECI	**82 zł**	**149 zł**	**265 zł**
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**169 zł** (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295 zł** (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 922094d2e9

Zapomniany „cud liskowski"

GRZEGORZ GÓRNY

Gdy w II Rzeczypospolitej pytano, kto zrobił najwięcej dla likwidacji zapóźnienia cywilizacyjnego polskiej wsi oraz aktywizacji społeczności wiejskiej, odpowiedź mogła być tylko jedna: ks. Wacław Bliziński.

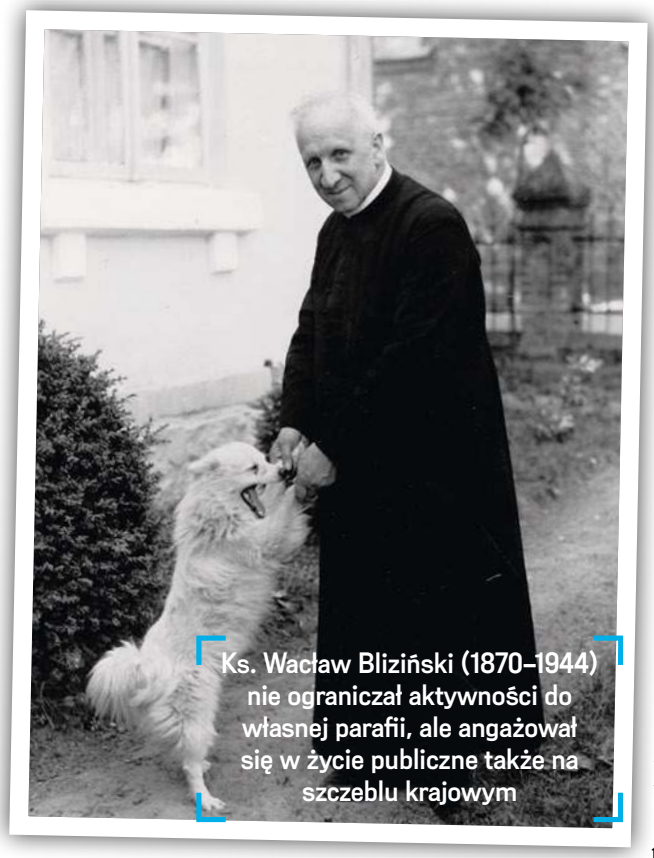

Ks. Wacław Bliziński (1870–1944) nie ograniczał aktywności do własnej parafii, ale angażował się w życie publiczne także na szczeblu krajowym

Urodził się w 1870 r. w Warszawie w inteligenckiej rodzinie wywodzącej się ze zubożałej szlachty. Relegowany z gimnazjum za manifestowanie poglądów patriotycznych, wstąpił jako 17-latek do seminarium duchownego we Włocławku. Po święceniach kapłańskich i sześciu latach posługi w różnych miejscach trafił w 1900 r. jako proboszcz do Liskowa – małej wsi leżącej koło Kalisza.

Rosyjskiemu zaborcy zależało na tym, by podbity naród polski był zatomizowany, niezdolny do samoorganizacji, a więc do stawiania oporu narzuconej władzy. Ks. Bliziński wiedział, że carat najchętniej zrusyfikowałby Polaków, a gdyby to się nie udało, uczynił z nich bezkształtną masę, bez poczucia silnie rozwiniętej świadomości narodowej. Takie niebezpieczeństwo groziło zwłaszcza obszarom wiejskim, na których nie istniała sieć instytucji społecznych, gospodarczych czy kulturalnych. Były to natomiast tereny, gdzie kwitła korupcja, donosicielstwo i pijaństwo. We wsiach jedynymi miejscami, w których tworzyła się realna wspólnota oraz pielęgnowane były cnoty obywatelskie i tożsamość narodowa, pozostawały kościoły katolickie.

Proboszcz w Liskowie rozumiał jednak, że samo istnienie parafii to zbyt mało, by dokonać upodmiotowienia ludności wiejskiej i uczynienia z niej obywateli. Proces ten zaczynał się od Kościoła, pokazującego człowiekowi nieskończoną godność, którą zostali ludzie obdarzeni przez Stwórcę. Następnym etapem powinno być jednak przekształcanie świata zgodnie z Bożym zamysłem, by uczynić go lepszym do zamieszkania. To wymagało determinacji, woli i kreatywności. Ponieważ ks. Bliziński nie widział wokół siebie osób zdolnych do podjęcia takiego dzieła, wziął się za to sam.

Liczba instytucji, które założył w Liskowie, była imponująca: Spółdzielnia Przemysłowo-Handlowa „Gospodarz", Straż Ogniowa, Warsztaty Tkackie, Koło Ziemianek, Kasa Oszczędności, Warsztaty Zabawkarskie, Mleczarnia Parowa, Kąpiele Ludowe, Szkoła Rolnicza, Piekarnia Spółdzielcza, Gimnazjum Klasyczne. Swą działalność kontynuował także po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, przyczyniając się do powstania we wsi Cegielni i Betoniarni, Stowarzyszenia Zbożowego, Stowarzyszenia Budowlanego, Szkoły Zawodowej Żeńskiej, Państwowego Seminarium Nauczycielskiego, Szkoły Rzemieślniczo-Przemysłowej, Szkoły Powszechnej, Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem czy Ośrodka Zdrowia. Jego aktywność społecznikowska była tak imponująca, że księża z diecezji nazywali go z przekąsem „agricola cum potestate missam celebrandi" (rolnik z prawem odprawiania mszy).

W II Rzeczypospolitej Lisków stał się znany jako wzorcowa wieś spółdzielcza. O jego fenomenie powstało kilka książek oraz niezliczona ilość tekstów w gazetach. Przyjeżdżały tam setki wycieczek z całej Polski, by na własne oczy oglądać „liskowski cud". Osada była zelektryfikowana, posiadała własną elektrownię, wodociąg i kanalizację, co było wówczas rzadkością na terenach wiejskich. Działało tam kilka sklepów różnych branż oraz punktów usługowych dla ludności.

Ks. Bliziński nie ograniczał jednak swej aktywności do własnej parafii. Zaangażował się w życie publiczne także na szczeblu krajowym. W 1919 r. został wybrany posłem na Sejm Ustawodawczy, gdzie poświęcił się pracom nad przygotowaniem pierwszej w historii Polski ustawy o opiece społecznej, kładąc podwaliny pod cały system socjalny II RP. To właśnie pod jego przewodnictwem powstał projekt nowego prawa, wzorowany na najlepszych rozwiązaniach włoskich, belgijskich i francuskich. Wspomniana ustawa została uchwalona przez Sejm w 1923 r., a wiele jej przepisów funkcjonowało aż do 1991 r.

W czasie II wojny światowej ks. Bliziński musiał ukrywać się przed Niemcami. Zmarł schorowany w 1944 r. W PRL jego dzieło zostało przez komunistów skazane na zapomnienie. Warto dziś o nim przypominać.

FOT. NAC

eprasa.pl 922094d2e9

cz. 4.

SOWIECKA INTELLIGENZAKTION

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER
Uniwersytet Łódzki

KRWAWY DRAMAT ZWIĄZANY Z SOWIECKĄ AGRESJĄ Z 17 WRZEŚNIA ROZEGRAŁ SIĘ RÓWNIEŻ POZA GRANICAMI OKUPOWANEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Po 1939 r. w rękach Armii Czerwonej znalazło się ok. 250 tys. polskich jeńców wojennych. Z tej liczby 125 tys. przekazano NKWD, resztę zaś w większości zwolniono. Ponad 2 tys. jeńców rozstrzelano wkrótce po ich poddaniu się w doraźnych egzekucjach. Władze sowieckie po osiągnięciu porozumienia z władzami III Rzeszy przekazały Niemcom w październiku i listopadzie 1939 r. blisko 43 tys. jeńców, zamieszkałych na stałe na terenach zagrabionych przez Rzeszę. Jednocześnie Niemcy przekazali swojemu sojusznikowi ok. 15 tys. jeńców, pochodzących z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Ostatecznie Sowieci postanowili odizolować polskich oficerów w wyodrębnionych specjalnych obozach NKWD w głębi Rosji. Generałów i oficerów służby stałej oraz rezerwy, a także wysokiej rangi urzędników wojskowych umieszczono w obozach w Starobielsku i Kozielsku. Z kolei kadrę wywiadu i kontrwywiadu, żandarmerii, funkcjonariuszy policji i więziennictwa odizolowano w obozie w Ostaszkowie.

Za drutami

W obozie w Kozielsku w obwodzie kałuskim uwięziono ponad 4,5 tys. osób, w tym: kontradmirała Czernickiego; czterech generałów: Bohatyrewicza, Minkiewicza, Smorawińskiego i Wołkowickiego, ok. 100 pułkowników i podpułkowników, ok. 300 majorów oraz ok. 1 tys. kapitanów i rotmistrzów.

Niemiecka dokumentacja z ekshumacji w Katyniu w 1943 r.

Mniej więcej połowę jeńców stanowili oficerowie rezerwy, wśród których byli profesorowie i wykładowcy szkół wyższych, lekarze, prawnicy, inżynierowie, nauczyciele, literaci i dziennikarze, słowem – przedstawiciele intelektualnej elity międzywojennej Polski. W obozie w Starobielsku w obwodzie ługańskim przetrzymywano blisko 4 tys. osób, w tym 9 generałów, 55 pułkowników, 127 podpułkowników, 230 majorów, 1 tys. kapitanów i rotmistrzów oraz 2,5 tys. poruczników i podporuczników. Prawie połowę więzionych stanowili oficerowie rezerwy. Wreszcie w Ostaszkowie w obwodzie twerskim uwięziono blisko 6,5 tys. osób, w tym 240 oficerów policji i żandarmerii oraz 775 podoficerów i niemal 4 tys. szeregowych policjantów; 48 oficerów, 72 podoficerów i szeregowców Wojska Polskiego oraz Korpusu Ochrony Pogranicza; ok. 200 funkcjonariuszy Służby Więziennej i kilku agentów służb wywiadowczych (Oddziału II Sztabu Głównego). Traktowanie osadzonych było na ogół poprawne. Jeńcy nie byli zmuszani do pracy niewolniczej, mogli posiadać rzeczy osobiste, nie była zabroniona korespondencja ani przesyłanie środków pieniężnych i paczek. Ogólnie wyżywienie i zakwaterowanie było zadowalające. Jednocześnie wśród jeńców prowadzono zarówno pracę propagandową, jak i próbowano werbować agenturę. Zabroniona była jakakolwiek oddolna inicjatywa jeńców, szczególnie religijna. Atmosfera w obozach była spokojna – przetrzymywani oficerowie uważali, że najprawdopodobniej zostaną przekazani do jakiegoś neutralnego kraju, a w najgorszym przypadku oddani Niemcom.

Zbrodnia...

Jednak losy polskich jeńców miały potoczyć się zgoła inaczej i mieć wyjątkowo tragiczny finał – ponieśli oni

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 922094d2e9

śmierć wymordowani przez NKWD jako ofiary tzw. zbrodni katyńskiej. Pojęciem tym określa się rozstrzelanie wiosną 1940 r. blisko 20 tys. obywateli Polski, w tym ponad 10 tys. oficerów wojska i policji, na mocy decyzji najwyższych władz ZSRS, zawartej w tajnej uchwale Biura Politycznego Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) z 5 marca 1940 r. Polscy jeńcy wojenni oraz więźniowie w więzieniach Zachodniej Białorusi i Ukrainy zostali bowiem przez Kreml uznani za „wrogów władzy sowieckiej". W związku z tym nakazano ich likwidację – bez wzywania skazanych, bez przedstawiania zarzutów, bez decyzji o zakończeniu śledztwa i aktu oskarżenia. Podstawą był rozkaz szefa służb specjalnych Berii z 22 marca 1940 r. zatytułowany eufemistycznie „O rozładowaniu więzień NKWD". Egzekucji ofiar, zabijanych strzałami w tył głowy z broni krótkiej, dokonali funkcjonariusze NKWD. W latach 1940–1990 władze ZSRS konsekwentnie zaprzeczały swojej odpowiedzialności za zbrodnię katyńską. Dopiero w kwietniu 1990 r. oficjalnie przyznały, że była to „jedna z ciężkich zbrodni stalinizmu". Jako wyjaśnienie hekatomby polskich oficerów wysuwane jest przypuszczenie o osobistej zemście Stalina – współdowodzącego sowiecką inwazją na Polskę w 1920 r. – za klęskę, jaką poniósł w walkach z wojskami polskimi. Była to jednak przede wszystkim zbrodnia wynikająca z chęci pozbawienia narodu polskiego warstwy przywódczej, elity intelektualnej, której przedstawicielami byli zamordowani oficerowie (w tym również – przypomnijmy – oficerowie rezerwy), co miało skutecznie uniemożliwić odrodzenie polskiej państwowości. Zwraca uwagę podobieństwo zbrodni katyńskiej do prowadzonych przez III Rzeszę akcji eksterminacyjnych skierowanych przeciwko polskiej inteligencji.

Zbrodnia została zaplanowana i przeprowadzona z zimną precyzją. Z obozu w Kozielsku „konwoje śmierci" ruszyły 3 kwietnia 1940 r., natomiast ostatni transport odszedł 12 maja. Zamordowani zostali pochowani w lesie pod wsią Katyń w ośmiu masowych grobach. Scenariusz mordu był przy każdym kolejnym transporcie jednakowy – więźniów

СОВ. СЕКРЕТНО

СССР
НАРОДНЫЙ КОМИССАРИАТ
ВНУТРЕННИХ ДЕЛ

ЦК ВКП(б)

товарищу СТАЛИНУ

Тайны розказ Берії „О розладованиу więzień NKWD", 22 marca 1940 r.

w ciągu ok. doby dowożono koleją przez Smoleńsk do stacji Gniezdowo. Stamtąd przyszłe ofiary przewożono autobusem więziennym bezpośrednio na miejsce zbrodni na uroczysku Kozie Góry pod Katyniem, gdzie nad masowymi grobami zabijano je z małej odległości strzałem w potylicę. Dwa dni po pierwszym konwoju z Kozielska ruszyły transporty z obozu starobielskiego (ostatni NKWD-ziści odprawili podobnie jak w Kozielsku – 12 maja). Konwoje docierały wagonami więziennymi na stację Charków Pasażerski. Stamtąd więźniów przewożono samochodami do charkowskiego więzienia NKWD. Jeńców mordowano nocami strzałem w głowę i w kark. Ofiary zbrodni w Charkowie zostały pochowane w masowych grobach pod miastem w okolicy wsi Piatichatki. Pierwszy transport ofiar z Ostaszkowa wyruszył 4 kwietnia. W przypadku tego obozu „rozładowanie" trwało dłużej – zakończono je wraz z ostatnim konwojem dopiero 16 maja. Więźniowie byli przewożeni koleją do Kalinina (Tweru), a później samochodami więziennymi do siedziby NKWD (obecnie Twerski Instytut Medyczny) i umieszczani w piwnicach budynku. Egzekucje odbywały się – podobnie jak w Charkowie – w nocy. Życie więźniów sowieckiego reżimu kończył strzał w tył głowy. Następnie zwłoki wywożone były ciężarówkami do miejscowości Miednoje pod Kalininem – Twerem) i tam składane do masowych grobów.

... i cynizm zbrodniarza

Historyczny paradoks sprawił, iż zbrodnia NKWD przyczyniła się nie tylko do zdziesiątkowania przedwojennego polskiego korpusu oficerskiego (zarazem eksterminacji polskiej inteligencji), lecz także posłużyła Stalinowi jako instrument do fałszywych oskarżeń pod adresem rządu polskiego o współdziałanie z III Rzeszą na szkodę Związku Sowieckiego i koalicji antyhitlerowskiej. Przy tym „rozwiązała ręce" Sowietom, umożliwiając im stworzenie i wsparcie prokremlowskiej politycznej reprezentacji polskiej spod znaku Związku Patriotów Polskich (którą zamierzali następnie zainstalować w Warszawie jako władzę zwasalizowanego państwa polskiego). Już w październiku 1941 r., po niemieckiej agresji na ZSRS, masowe groby w Katyniu odkryli polscy przymusowi robotnicy kolejowi. W lutym 1943 r. sami Rosjanie, mieszkający w pobliżu Katynia, wskazali okupacyjnym władzom niemieckim dokładne miejsce pochówku polskich oficerów. Ujawnione fakty III Rzesza wykorzystała propagandowo, zwracając się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, celem przeprowadzenia przez jego przedstawicieli badań zbiorowych mogił i odnalezionych, ekshumowanych ciał. O zbadanie sprawy – niezależnie i bez jakichkolwiek kontaktów ze stroną niemiecką – poprosił MCK również polski rząd na uchodźstwie. Tymczasem Kreml oskarżył o zbrodnię Niemców, głosząc, że polscy jeńcy wojenni pracowali w 1941 r. na robotach budowlanych na zachód od Smoleńska i latem tegoż roku, po agresji niemieckiej, zostali przejęci i zamordowani przez hitlerowców. Po zwróceniu się rządu polskiego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża ambasador Rzeczypospolitej w ZSRS, Tadeusz Romer, otrzymał sowiecką notę o jednostronnym zerwaniu przez Moskwę stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie. Rząd ten był odtąd ignorowany i nieuznawany przez Stalina, odmawiającego mu prawa reprezentowania państwa polskiego i oskarżającego go haniebnie o „współdziałanie z Hitlerem".

Ironia losu sprawiła, iż mord katyński miał po latach ułatwić jego autorowi drogę do zniewolenia Polski i Polaków.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 922094d2e9

Michał Piekarski
NA MĘKACH

KIEDY DOSZŁO DO ATAKU PIEKARSKIEGO, FRANCJA MIAŁA JUŻ DOŚWIADCZENIE KOLEJNEJ ŚMIERCI KRÓLA OD SZTYLETU ZABÓJCY

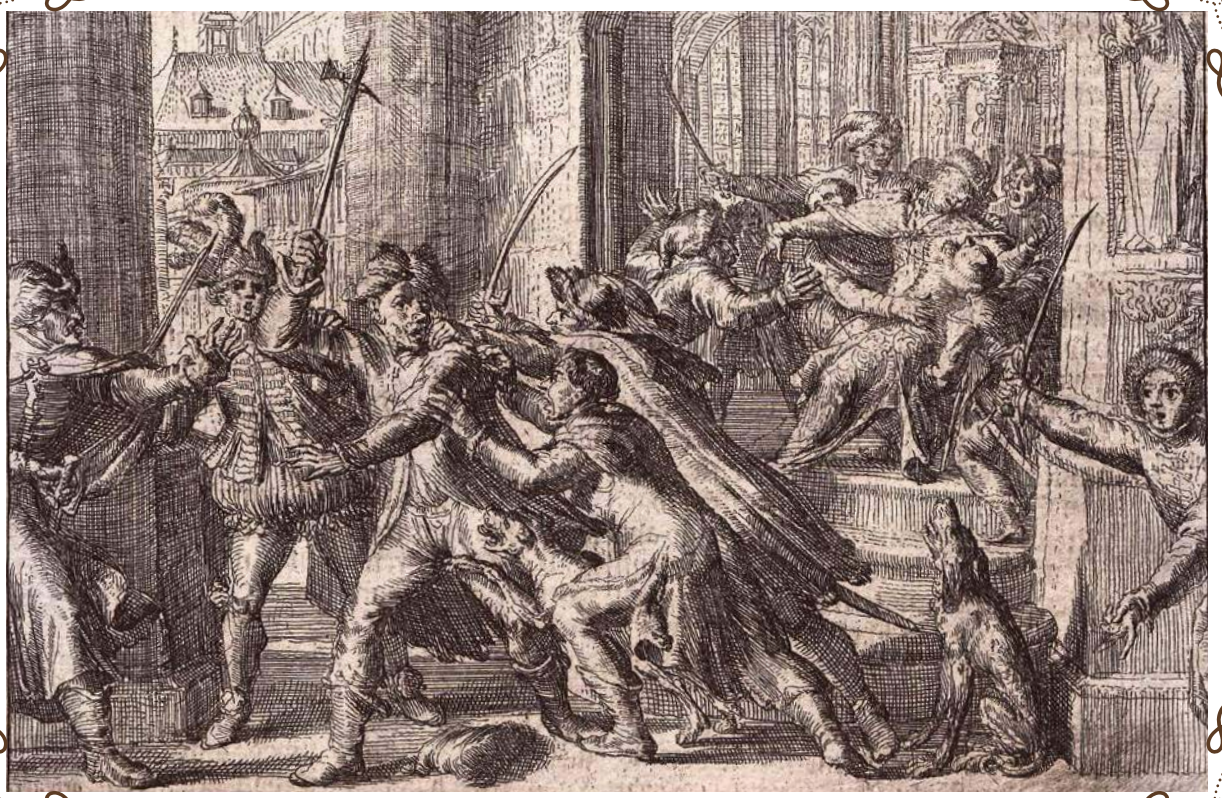

Zamach na króla Zygmunta III Wazę, rycina z 1699 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

HENRYK LITWIN

W niedzielę, 15 listopada 1620 r., król Zygmunt III szedł na mszę św. do kolegiaty św. Jana. Ponieważ odbywał się właśnie sejm walny, orszak towarzyszący monarsze był bardzo liczny. Zygmunta prowadzili do świątyni dwaj hierarchowie – abp lwowski Jan Andrzej Próchnicki i bp przemyski Jan Wężyk (późniejszy prymas) oraz marszałek nadworny koronny Łukasz Opaliński. Zaraz za królem podążał jego syn Władysław, otoczony przez innych biskupów, przy nim ochrona, czyli „alabardnicy i piechota", a dalej królowa Konstancja w towarzystwie licznych senatorów. Przy wejściu do kościoła Władysław zatrzymał się, by przeczytać „pismo jakieś nowe do drzwi przybite". W ten sposób w orszaku powstała luka, a przy tym „gwar-

eprasa.pl 922094d2e9

dyja", czyli ochrona, także się zatrzymała, czekając, aż królewicz wejdzie do kościoła. Nikt nie przewidział, że za drzwiami świątyni czyha zamachowiec, który przez przypadek „miał plac goły i snadny przystęp" do króla, za którym chwilowo nikt nie szedł. Parricida (ojcobójca) – jak go potem nazwali kronikarze – „wypadł z okrzykiem wielkim" i zaatakował Zygmunta czekanem. Pierwszy cios obsunął się po wysokiej czapce króla, co obróciło ostrze „na płask". Drugie uderzenie także chybiło celu, raniąc jedynie powierzchownie skroń i policzek monarchy. Po tym ciosie król upadł, ale zamachowiec stracił dogodną chwilę na dokonanie swego zbrodniczego dzieła, bowiem przy drugim ataku od czekana odpadło ostrze. Zabójca „porwał się do szabli", lecz przy leżącym królu stanęli już obrońcy. Opaliński swą laską marszałkowską zablokował cios szablą, a sekundę potem królewicz „przypadłszy w łeb go tnie". W tym czasie słudzy odprawiającego poprzednią mszę w kolegiacie bp. krakowskiego Marcina Szyszkowskiego podnieśli króla z posadzki i odprowadzili do zakrystii, gdzie opatrzono mu rany, szczęśliwie niezbyt groźne. Królewicz i marszałek Opaliński pozostali przy zamachowcu, broniąc go przed „rozsiekaniem" przez świadków, którzy od osłupienia przeszli do ślepej furii. Niedoszły królobójca został zatrzymany i odprowadzony do więzienia. Według jednej z wersji pochwycić go miał pewien „karmelita z Lipia", który „z kościoła go wynioszszy ajdukom oddał".

Kara dla królobójcy

Zamachowcem okazał się niejaki Michał Piekarski. Przesłuchiwany i torturowany nie ujawnił żadnych wspólników, prócz anioła, który od siedmiu lat miał go nawiedzać i namawiać na uśmiercenie króla (tak powstało przysłowie „plecie jak Piekarski na mękach"). Prowadzone przez sąd sejmowy śledztwo wykazało, że podsądny miał zadawniony żal do króla o decyzję o ubezwłasnowolnieniu go ze względu na chorobę umysłową i powierzeniu opiece kuratorów, którzy nie opiekowali się chorym i pokrzywdzili go materialnie. Osoby badające więźnia doszły do wniosku, że jest on „niespełna rozumu" i działał samodzielnie, powodowany szaleństwem. Zygmunt III, któremu przekazano tę „diagnozę", stwierdził, że w tej sytuacji jest gotów ułaskawić Piekarskiego. Wstrząśnięci zamachem senatorowie i posłowie obecni na trwającym wciąż sejmie uznali jednak za konieczne surowe i przykładne ukaranie królobójcy. W efekcie 27 listopada 1620 r. został wydany wyrok skazujący zamachowca na utratę szlachectwa, konfiskatę dóbr i śmierć zadaną „w najsroższy sposób". Kaźń miała miejsce jeszcze tego samego dnia. Egzekucyjny „orszak" wyjechał z zamku i zatrzymywał się w czterech miejscach – pod zamkiem, na Krakowskim Przedmieściu, na rynku Starego Miasta i rynku Nowego Miasta – gdzie „siepał go kat rozpalonymi kleszczami". Na Nowym Mieście „teatrum było zbudowane", na którym odbywały się kolejne męki. Zdzieranie skóry, obcinanie rąk „rzuconych potem w ogień". Wreszcie oprawcy „cztyry konie wyprzągłszy z wozu, poprzywięzywali postronki do rąk i nóg, chcąc go roztargnąć, ale iż temu dosyć nie mogli uczynić, nacinał kat siekierą, a wycinając (poganiając) konie urwali mu nogę prawą". Nie wiadomo, w którym momencie Piekarski skonał. Po rozrywaniu końmi jego szczątki zostały spalone, a prochy według jednej z relacji rozsypane przez katów, zgodnie z inną zaś – wystrzelone z armaty.

O podobnej nikt w Polsce nie słyszał

Listopadowym wydarzeniom towarzyszyło wielkie społeczne wzburzenie. Historycy wiązali je często z tym, że zamach – chyba przypadkiem – wydarzył się kilka tygodni po klęsce hetmana Stanisława Żółkiewskiego w bitwie pod Cecorą z Turkami i Tatarami oraz jego śmierci w czasie odwrotu. W październiku nastąpił najazd tatarski, który dotarł aż za Lwów i wzniecił panikę w całym kraju. W dniu ataku Piekarskiego panika wybuchła podobno także w Warszawie, a to dlatego, że włoski kantor, widząc zamach z chóru kościoła, krzyknął: „Traditore!" (zdrajca), co zostało zrozumiane jako „Tartari" (Tatarzy). Jeśli nawet tak było, to strach przed Tatarami szybko okazał się mieć „wielkie oczy". Pozostało natomiast wzburzenie związane z niesłychanym w dziejach Polski zamachem na króla. Prawie wszystkie relacje eksponują fakt, że miało miejsce wydarzenie bez precedensu. „Doszło do okrutnego czynu, o którym dotąd nie słyszano w Polsce" (Jan Wielewicki). „Całą Polską wstrząsnęła nowa i straszliwa zbrodnia, o podobnej nigdy nikt nie słyszał" (Stanisław Kobierzycki). „Wzdryga się myśl, drętwieje ręka zapisując pamiątkę ohydnego zuchwalstwa, jakie utrapiło Polaków więcej, niż klęska multańska" (Paweł Piasecki). „Wtedy po raz pierwszy w Polsce usłyszano i zobaczono coś tak strasznego, że nie sposób nazwać tego przestępstwa" (Sebastian Petrycy). Bardzo emocjonalna była też reakcja warszawskiego pospólstwa, które „wielce się zatrwożyło", senatorowie prosili monarchę, by ukazał się poddanym w oknie zamku, co też uczynił. Jak zapisał Albrycht Stanisław Radziwiłł, „taka była troskliwość w pospólstwie o ocalenie króla, że wielu łzy boleści wylewali".

Francuskie wzorce

Zamach na „pomazańca Bożego" rzeczywiście nie mieścił się w głowach. Panowało bowiem powszechne przekonanie, że „naród polski [...] od pierwiastków swoich z żadnej bardziej cnoty nie słynął, jak z nieskażonej królom swoim wierności" (Piasecki). Nie na darmo kilkanaście lat wcześniej na sejmie 1605 r. w czasie wotów senatorskich najpierw Stanisław Żółkiewski, a potem Jan Zamoyski podkreślali, że „w inszych narodach pany swe kozikami kolą, a u nas z łaski Bożey nigdy nic takowego zamyślano nie było przeciwko Panu" i „każdy król Polski na łożu umarł". Słowa te odwoływały się do przykładu Francji, gdzie – jak powszechnie uważano – dziedziczna władza królewska cieszyła się znacznie większym autorytetem niż w obierającej króla w czasie elekcji Rzeczypospolitej, a jednak Henryk III zginął od noża zamachowca W 1610 r. niejaki Ravaillac zasztyletował Henryka IV. Pamięć o tym wydarzeniu wpłynęła znacząco na bieg spraw związanych z listopadowym zamachem w Warszawie. Niektórzy komentatorzy stawiali tezę, że Piekarski potraktował atak Ravaillaca jako swoistą inspirację. Kaźń dokonana na polskim szaleńcu była zaś wiernym naśladownictwem paryskiej egzekucji z 1610 r. Jak się zdaje, sąd sejmowy uznał, że zbrodnia królobójstwa – nawet nieudanego »

eprasa.pl 922094d2e9

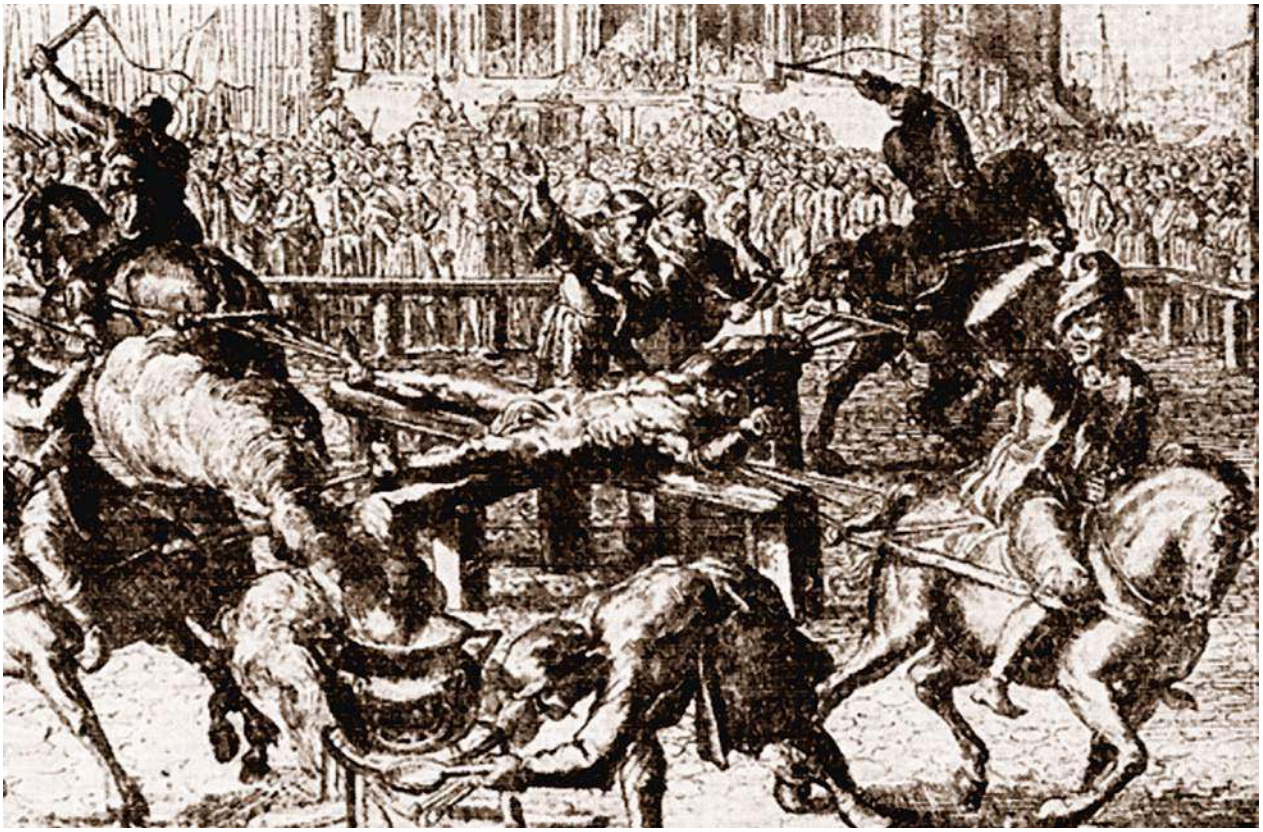

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Egzekucja Michała Piekarskiego

– musi być ukarana zgodnie z europejskimi standardami. Szarpanie ciała rozpalonymi obcęgami, odcinanie i palenie rąk, które dopuściły się zbrodni, rozrywania ciała końmi – wszystko to naśladowało francuski wzorzec. Różnica polegała tylko na reakcji tłumu. W Paryżu domagał się, by kaci wykonywali swe obowiązki wolniej, przedłużając cierpienia skazańca, a także nie pozwolił, by spowiednicy odmówili modlitwę za umierającego. W Warszawie gawiedź pozostała w pełnej zgrozy ciszy.

Monarsza godność dobrem nienaruszalnym

W Rzeczypospolitej podobne zdarzenia nie miały miejsca ani wcześniej, ani potem. Domniemane plany zabójstwa Stefana Batorego knute jakoby przez Zborowskich, które miałyby być rzeczywistą przyczyną egzekucji na słynnym Samuelu, pozostają jednak w sferze nieudowodnionych spekulacji. Próba porwania Stanisława Augusta przez konfederatów barskich w 1771 r. zakończyła się co prawda dwoma wyrokami śmierci, które zostały wykonane, ale zamachowcy byli „nadziani skrupułami jak kapłon kaszą" i w trakcie akcji przepraszali króla za swoje czyny. Fanatyzm, jaki charakteryzował zabójców francuskich Henryków, Jacques'a Clementa i François Ravaillaca, był w obywatelskim co do zasady społeczeństwie szlacheckim Rzeczypospolitej rzadko spotykany i nieznająca ograniczeń determinacja mogła się zdarzyć tylko człowiekowi szalonemu, jakim był Piekarski.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że tak okrutna publiczna egzekucja sprawcy zbrodni obrazy majestatu, jaka spotkała zamachowca z 1620 r., była w dziejach Rzeczypospolitej wydarzeniem wyjątkowym. Anglia Henryka VIII stała się świadkiem dziesiątek tysięcy publicznych egzekucji za zbrodnie kryminalne i setek spektakularnych kaźni domniemanych lub rzeczywistych spiskowców przeciwko królowi. Kara określana jako „hanged, drawn and quartered" była w Albionie często stosowana wobec ludzi uznanych za zdrajców. Co ciekawe, w czasach uznanej za „krwawą" Marii Tudor zdarzyło się to dwa razy. Natomiast w czasie panowania Elżbiety I kilkudziesięciokrotnie i dotyczyło głównie katolików, którzy nie chcieli pogodzić się z tzw. aktem supremacji, czyli uznaniem królowej za głowę Kościoła w miejsce papieża.

W Rzeczypospolitej monarcha cieszył się powszechnym szacunkiem, który nie był jednak bezwarunkowy. Jak to ujął na wspomnianym wyżej sejmie 1605 r. kasztelan podlaski Marcin Leśniowolski, by „principes malować bez wszelkiego grzechu, błędu, to być nie może, bo pobłądzieli i błądzą, dignitas jednak stała zostawa". W opinii staropolskiej szlachty autorytet monarchy nie zasadzał się na jego doktrynalnej nieomylności, ale na pojęciu królewskiej godności, która polegała na przestrzeganiu prawa. Zygmunt III przeszedł długą drogę od kwestionowania tej zasady do jej uznania. W 1620 r. był już władcą „monarchia mixta" i pogodził się ze swoją rolą króla „konstytucyjnego". Dlatego zamach Piekarskiego wzbudził wielkie emocje i został potraktowany jak świętokradztwo. W Rzeczypospolitej królewską nieomylność można było kwestionować, ale monarsza godność pozostawała pod ochroną.

eprasa.pl 922094d2e9

NAPAD NA BANK LANDAUA

„KURIER POLSKI" POINFORMOWAŁ SWOICH CZYTELNIKÓW 14 LIPCA 1920 r. O ROZBICIU SKARBCA W JEDNYM Z WARSZAWSKICH BANKÓW. SPRAWA DOTYCZYŁA FIRMY BANKOWEJ WILHELMA LANDAUA MIESZCZĄCEJ SIĘ PRZY UL. SENATORSKIEJ 28 W WARSZAWIE

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Budynek banku był przykładem pięknej secesyjnej architektury. Gmach stanął na miejscu dawnej oficyny na tyłach pałacu Mniszchów. Ze względu na sporo wymagań, które musiał spełnić budynek, ogłoszony został zamknięty konkurs – wygrał go Stanisław Grochowicz, a przy ostatecznym projekcie pracował także Gustaw Landau-Gutenteger. Budowa trwała dwa lata i wreszcie w 1906 r. bank otworzył swe podwoje dla klientów. A nie była to placówka byle jaka. Znajdujące się pośrodku wejście główne prowadziło do westybulu, a następnie do sporego pomieszczenia, w którym znajdowały się stanowiska kasowe. Na tym samym poziomie umieszczone zostały biura księgowych, działu weksli oraz gabinety dyrektora i głównego księgowego. Na pierwszym piętrze umieszczono jadalnię dla pracowników, kuchnię ze spiżarnią oraz archiwum. W budynku mieściły się również mieszkania dla osób pracujących w banku. Ale sercem instytucji był skarbiec główny, znajdujący się w podziemiu, a także sala ze skrytkami depozytowymi dla klientów.

A jednak sforsowany...

Oba skarbce były doskonale zabezpieczone. Ściany sejfu miały grubość 72 cm, a on sam był obudowany wewnątrz metalowymi płytami 1 cm grubości. Wyłożone nimi były: ściany, podłoga i sufit. W „Przeglądzie Technicznym" z 1907 r. znajdujemy jego »

FOT. PRZEGLĄD TECHNICZNY

Gmach banku Wilhelma Landaua przy ul. Senatorskiej w Warszawie

„Ilustrowany Kuryer Codzienny" z 15 lipca 1920 r.

FOT. BIBLIOTEKA UW

» dokładny opis: „Wokoło skarbca znajduje się korytarz dla kontroli i komunikujący się z mieszkaniem dozorcy. Mury otaczające skarbiec, jak również i podłoga zostały wykonane z betonu z szabru granitowego; strop przykrywający skarbiec, żelaznobetonowy. Wszystkie ściany, strop i podłoga wyłożone są płytami pancernymi o grubości 10 mm ze stali Siemens-Mart. [...] Drzwi, prowadzące do skarbca, są kasowe, grubości 260 mm i wiszą w ramie stalowej o przekroju stopniowym zamurowanej w murze. W dzień drzwi zamykane są kratą z prętów stalowych 26 mm grubości. Pancerz przykrywający podłogę, zalany jest betonem i przykryty linoleum". To wszystko miało sprawić, że sejf miał być najbezpieczniejszym miejscem dla wartościowych przedmiotów składanych w skrytkach przez klientów banku.

Niestety wszystkie te zabezpieczenia nie przeszkodziły w dokonaniu „niesłychanie bezczelnego włamania do banku" – jak określił to wydarzenie „Ilustrowany Kuryer Codzienny", w wydaniu z 15 lipca 1920 r. Historia ta wzbudziła wiele emocji i była szeroko komentowana. Co zatem wydarzyło się w budynku przy ul. Senatorskiej?

28 czerwca 1920 r., w poniedziałek, pracownicy banku próbowali dostać się do skarbca. Okazało się, że drzwi stawiają opór i nie dają się otworzyć. Dwa klucze otwierały zamki, ale nie można było przekręcić koła otwierającego żelazne rygle. Początkowo pracownicy podeszli do sprawy dość spokojnie, jednak z czasem pojawił się coraz większy niepokój. Próby otworzenia pomieszczenia trwały prawie dwa tygodnie (sic!), a gdy wszelkie dostępne metody nie przyniosły efektów i pomysły się skończyły, zdecydowano się na sprowadzenie mechanika z Gdańska. Tego samego, który kilkanaście lat wcześniej budował skarbiec. Zaczęto się mocno niepokoić, gdy po przewierceniu drzwi na podłogę wysypał się piasek. Nie miał prawa tam być. Dopiero wtedy zawiadomiono policję, która po przeprowadzeniu krótkiego rozpoznania potwierdziła włamanie. Po otworzeniu pomieszczenia zebranym ukazała się dziura, rozwalone skrzynki i sporo piasku. Policja rozpoczęła śledztwo, a prasa zaczęła dociekać, co takiego się wydarzyło. Drugie zadawane przez wszystkich pytanie brzmiało: co zniknęło? Włamywacze bowiem okradli 99 skrytek z 1050, ale za to te największe. Ich szczegółową zawartość znali tylko właściciele, którzy zgłosili zaginięcie monet, marek i znacznych sum w dolarach. Wiadomo również, że część łupu stanowiły kamienie szlachetne wydłubane z biżuterii. Jednakże pełnego zestawienia skradzionych rzeczy policja nie poznała nigdy.

Remont garażu

Na podstawie artykułów prasowych z ówczesnych gazet spróbujmy odtworzyć kolejność zdarzeń. I tu musimy cofnąć się aż do marca lub maja 1920 r., bowiem obie wersje pojawiają się w prasie. Wtedy to parter domu i szopę przy ul. Rymarskiej, w bliskiej okolicy banku, wynajęło dwóch eleganckich panów przedstawiających się jako Szulc i Kamiński. W szopie mieli zamiar zorganizować garaż dla kilku samochodów, ale wymagało to remontu. Podczas niego okazało się, że potrzebują również piwnicy, w której będą przechowywać pojemniki z benzyną. Otrzymali stosowne zgody i rozpoczęli prace. Sąsiadów nie

eprasa.pl 922094d2e9

dziwiło zatem wywożenie przez nich ziemi ani kolejne transporty desek. Ich prace nie wzbudzały podejrzeń. Jak czytamy w „Kurierze Warszawskim": „Praca trwała do 15 czerwca i w dniu tym włamywacze stanęli pod podłogą skarbca. Podkop mierzy około 300 metrów długości jest wzmocniony deskami i wąski, stanąć w nim nie można, można się tylko przeczołgać. Przebijanie otworu w podłodze skarbca, grubej na 1 ½ metra trwało tydzień czasu. Wiercąc otwór włamywacze doskonale słyszeli kroki chodzących nad nimi osób i bojąc się widocznie, aby się podłoga nie zarwała, podparli ją rusztowaniem". W nocy z soboty na niedzielę włamywacze dostali się do wnętrza skarbca. Ziemię wynieśli do sąsiednich piwnic i zasypali nią m.in. drzwi, które z banku prowadziły do skarbca. Właśnie te, które nie dały się otworzyć. Do poniedziałkowego ranka grasowali w banku, po czym z łupami uciekli do Piaseczna. Nie zdołali zabrać wszystkiego – jak informował „Kurier Polski" – jeden z policjantów śledczych, czołgając się, przemierzył cały podkop i znalazł porzucone papiery wartościowe, zegarki, dwa worki pełne gotówki oraz wyroby platerowe.

Po wezwaniu na miejsce zdarzenia policja rozpoczęła śledztwo. Oficerowie śledczy szybko zorientowali się, że mają do czynienia ze sprawnie przygotowanym włamaniem, zrobili rozeznanie terenu i znaleźli wejście do podkopu ukryte w szopie. Mieli świadomość, że za rabunkiem stoją doświadczeni i zaprawieni w takiej działalności kasiarze.

Spółka szwagrów

W dwudziestoleciu międzywojennym stanowili oni oddzielną grupę przestępczą – ich specjalnością były włamania do obiektów, w których przechowywano gotówkę, wartościowe dokumenty i biżuterię. W związku z koniecznością otwierania skarbców, szaf pancernych czy kas musieli posiadać sporą wiedzę techniczną i odpowiednie umiejętności. W numerze 1. „Przeglądu Policyjnego" ze stycznia 1936 r. możemy przeczytać, że „kasiarze w świecie przestępców uchodzą za elitę. Do ich grona i towarzystwa dostają się wyłącznie jednostki wybrane, które już przeszły dobrą zaprawę fachową". Natomiast w podręczniku „Służba śledcza" zwracano uwagę na to, że „zawód kasiarski jest koroną zawodów złodziejskich. [...] Muszą to być osobnicy silni, mający pewne wiadomości z dziedziny mechaniki, a czasem jak na przykład przy robieniu podkopów, muszą posiadać pojęcie o górnictwie".

„DRZWI, PROWADZĄCE DO SKARBCA, SĄ KASOWE, GRUBOŚCI 260 mm I WISZĄ W RAMIE STALOWEJ O PRZEKROJU STOPNIOWYM ZAMUROWANEJ W MURZE"

Mając na uwadze, z jakim przeciwnikiem śledczy muszą się zmierzyć, policjanci rozpoczęli przesłuchania osób, które poznały najemców lokalu przy ul. Rymarskiej. Już niebawem portrety pamięciowe pozwoliły na ustalenie, że za włamaniem stoją dwaj znani już policji kasiarze: Stanisław Ćwil i Hubert Krygier, którzy prywatnie byli szwagrami. Mieli na swoim koncie także inne włamania. Jak donosił „Kurier Warszawski": „Skradli oni z banku w Rostowie nad Donem 5 milionów rubli i z kasy pracowników handlowych w Charkowie 335 miliona". W obu miejscach posłużyli się podkopami.

Rozpoczęto ich poszukiwania, które dość szybko zakończyły się sukcesem, bo już 25 lipca 1920 r. „Kurier Warszawski" informował o tym, że „międzynarodowi" włamywacze są pod kluczem, i opisywał dokładnie sposób ich pojmania. Okazało się, że po dokonaniu kradzieży udali się do Piaseczna, gdzie ukryli część łupów, a następnie wyjechali do Radomia. Na ślad ukrywających się kasiarzy policja wpadła, śledząc siostrę żony Krygiera, z którą włamywacz był w nieformalnym związku. Wyjeżdżała ona kilkakrotnie do Radomia, co naprowadziło śledczych na trop.

Na karty podręcznika

„Kurier Warszawski" tak to relacjonował: „Ćwil przebywał w Radomiu pod nazwiskiem Stanisława Guza. W jego mieszkaniu znaleziono wisiorek brylantowy o wartości około 100 000 marek, skradziony w banku Landaua. Ujęto Ćwila, który wskazał na Krygiera jako swego wspólnika. Kierując się zeznaniami i wskazówkami w letnisku w Rejtanach pod Piasecznem pod kierunkiem komisarza śledczego wykopano z głębokości 1,15 metra okrągłą blaszankę wagi pięćdziesięciu funtów [ok. 15 kg], zawierającą około 25 000 rubli, perły i brylanty. Krygier miał ukryte w mieszkaniu w piecu 500 000 rubli, które znaleziono. Poza tym znaleziono przy nim u wylotu kiszki odchodowej 70 brylantów i 2 rubiny".

Śledztwo zostało zakończone, a napad na bank Landaua trafił do podręczników dla śledczych i na łamy „Przeglądu Policyjnego". Stał się przykładem, na którym uczono przyszłych śledczych, w jaki sposób pracują kasiarze oraz jakie są ich metody i narzędzia „pracy".

A sprawcy? Po aresztowani, zostali skazani na karę więzienia. Co ciekawe, jednemu z nich udało się uciec i wstąpił do szajki innego słynnego kasiarza Szpicbródki. Ale działalność tego pogromcy kas to już zupełnie inna historia.

Natomiast bank Landaua funkcjonował w tym miejscu do 1925 r., następnie w budynku zagościł Polski Bank Przemysłowy. W czasie II wojny światowej mieścił się w nim Szpital Maltański, słynny skarbiec był salą operacyjną. Gmach przetrwał wojnę, nadal widać w nim liczne secesyjne detale, takie jak chociażby posadzka z motywem liścia klonu, sztukatorska oprawa okien, pięknie zdobione motywami kwiatowymi barierki. Ale – co najważniejsze – do dziś w jego podziemiach możemy zobaczyć miejsce będące świadkiem tej niebywale zuchwałej kradzieży, która wywołała ogromne poruszenie wśród warszawskiego społeczeństwa.

eprasa.pl 922094d2e9

W PRZEMÓWIENIU NA PROCESIE TORUŃSKIM OSKARŻONY O ZABÓJSTWO KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI GRZEGORZ PIOTROWSKI ZARZUCIŁ BP. IGNACEMU TOKARCZUKOWI WSPÓŁPRACĘ Z GESTAPO PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ

HISTORIA JEDNEJ PROWOKACJI

MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

IPN oddział w Rzeszowie

Męczeńska śmierć ks. Jerzego Popiełuszki, kapłana głoszącego prawdę oraz służącego ludziom w duchu wartości ewangelicznych i w zgodzie z nauką Kościoła, wywołała wśród Polaków wstrząs i silne oburzenie. Uroczystości pogrzebowe ks. Jerzego, które odbyły się 3 listopada 1984 r., przybrały cechy manifestacji o wielorakim i zarazem głębokim znaczeniu: religijnym, politycznym i społecznym. Ich zasadniczy wydźwięk był wymownym znakiem sprzeciwu przeciwko terrorowi stosowanemu wobec własnych obywateli przez komunistyczne władze i podległy mu aparat bezpieczeństwa.

Ten ostatni – spełniając wolę swoich politycznych mocodawców – postanowił nawet wykorzystać rozpoczęty ponad miesiąc później (27 grudnia 1984 r.) przed Sądem Okręgowym w Toruniu proces oskarżonych o zabójstwo ks. Popiełuszki funkcjonariuszy Departamentu IV SB MSW w celu sponiewierania dobrego imienia i pamięci ofiary oraz dalszego atakowania Kościoła katolickiego. Podczas tego wyreżyserowanego spektaklu jeden z oskarżonych kpt. Grzegorz Piotrowski, bezpardonowo wykorzystując oszczerstwo, zaatakował bp. Ignacego Tokarczuka. Przemawiając 9 stycznia 1985 r. publicznie – co szybko podchwyciły i rozkolportowały ówczesne reżimowe media – oskarżył pasterza przemyskiego o współpracę z gestapo w okresie II wojny światowej.

Atak ten był elementem szerszej strategii dyskredytowania bp. Tokarczuka – w opinii władz komunistycznych – czołowego „antykomunisty" w Episkopacie Polski i wielkiego orę-

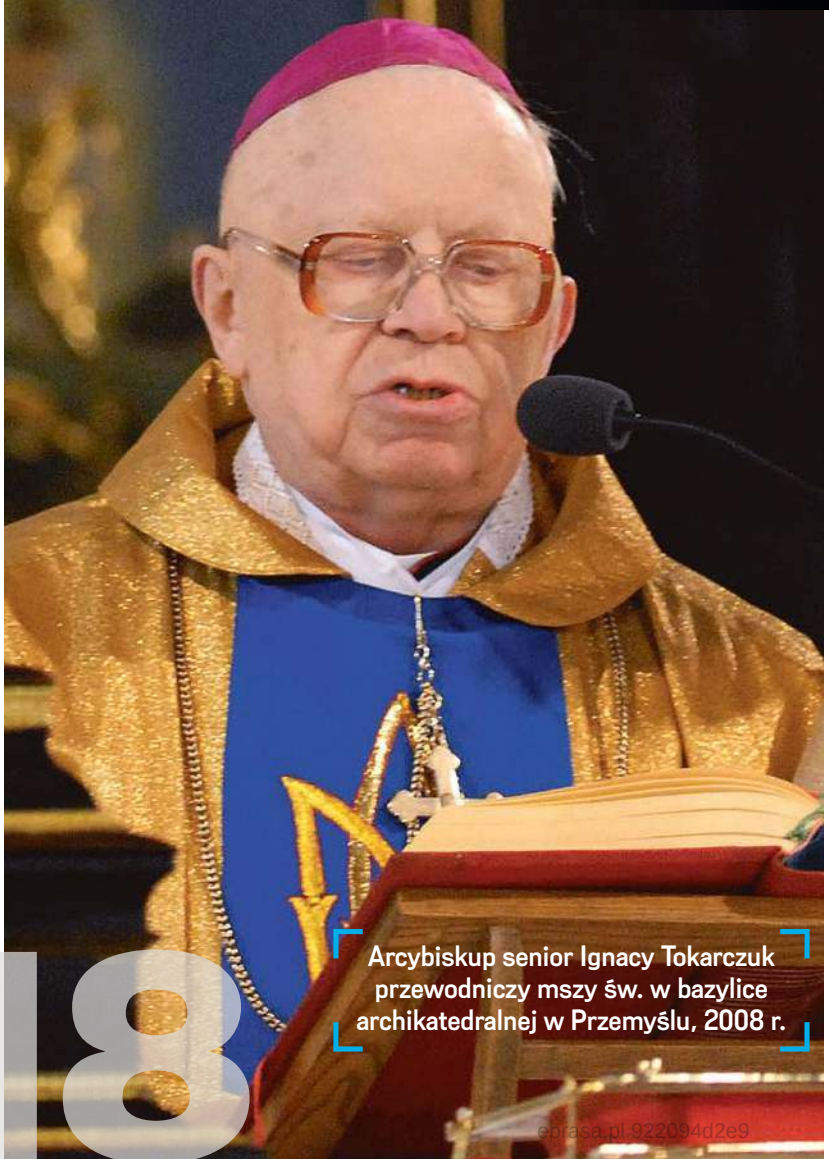

Arcybiskup senior Ignacy Tokarczuk przewodniczy mszy św. w bazylice archikatedralnej w Przemyślu, 2008 r.

FOT. PAP/DARIUSZ DELMANOWICZ

epresa.pl 922094d2e9

downika Solidarności, wobec którego prowadzono szereg działań o charakterze dezintegracyjnym. Dodatkowo bp Tokarczuk spełnił wobec ks. Popiełuszki rolę ojca duchowego. Spotykał się z nim i po przeanalizowaniu jego nauczania oraz treści kazań jednoznacznie utwierdził go w przekonaniu, że „linia posługi duszpasterskiej, którą obrał, jest zgodna z nauką Kościoła i potrzebami ojczyzny, że jego postępowanie jest słuszne, że nie ma racji ani SB, które mu zarzuca podburzanie obywateli, ani ludzie Kościoła, którzy posądzają go o osobiste ambicje".

Uderzenie z Moskwy przez Rzym

Uderzając personalnie w biskupa Tokarczuka, kpt. Piotrowski wykorzystał treści zawarte pierwotnie w wychodzącym w Katanii na Sycylii piśmie „Settegiorni", finansowanym formalnie przez socjalistów libijskich. Ten prawie nieznany i słabo dostępny periodyk ukazał się w listopadzie 1983 r. Wiązano w nim bp. Tokarczuka ze skandalem finansowym wokół banku Ambrosiano oraz wspominano o posiadaniu dokumentów niemieckich poświadczających jego współpracę z Niemcami w okresie pełnienia posługi wikariusza w parafii w Złotnikach. Próbując uwierzytelnić powyższe, w kalumnie w „Settegiorni" zamieszczono też sfałszowany list ks. Adama Bonieckiego, wówczas redaktora polskiej edycji „L'Osservatore Romano", do Zdzisława Najdera, dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa rzekomo stanowiący potwierdzenie tych fałszywych denuncjacji. Z perspektywy lat trudno nie zgodzić się z opinią bp. Tokarczuka wyrażoną w rozmowie z Tadeuszem Fredro-Bonieckim, iż za sprawą tej kombinacji operacyjnej „chciano uderzyć w punkt najczulszy, na stosunek do własnego kraju, do własnej ojczyzny, stosunek do człowieka. Chciano sponiewierać, podważyć zaufanie [...]. Prawda, to świadczy jeszcze o jednym, że tego nie mogła wymyślić krajowa Służba Bezpieczeństwa. Oni jednak znali polskie realia. W tym widać mentalność sowiecką. Do Rzymu przecież bardzo rzadko jeździłem, sami odmawiali mi paszportu. No, ale uderzyli w ten najczulszy punkt, w miłość ojczyzny [...]".

W obronie duszpasterza

Jak relacjonuje dalej ordynariusz przemyski, 9 stycznia 1985 r. przebywał w Zakopanem na konferencji Komisji Duszpasterskiej Episkopatu Polski. Wspomnianemu już powyżej dziennikarzowi o swojej reakcji na te oskarżenia powiedział: „Oczywiście, oskarżeniu rzuconemu przez Piotrowskiego nadano wielki rozgłos. Ale nie przerwałem pobytu. Konferencja trwała trzy dni. To oszczerstwo bardzo poruszyło ludzi. Skierowali protesty do władz. To była wielka satysfakcja, że ludzie umieli to wszystko odczytać we właściwy sposób. To miało wbić klin między ludzi a mnie, a zaowocowało jeszcze silniejszym związkiem. To była wielka próba i dziękuję za nią Bogu. Tak to przeżywałem. Przy tym przyjąłem wówczas wobec władz zdecydowaną postawę, władze zabiegały bardzo o kontakt z ordynariuszem, to było takie zachowywanie pozorów dialogu – postawiłem warunek, by oficjalnie na piśmie odwołali rzucone pod moim adresem oskarżenia".

Po wyartykułowaniu przez Piotrowskiego ponownie tych samych oszczerstw w obronie bp. Tokarczuka wystąpili biskupi polscy, wplątany celowo w całą prowokację przez aparat bezpieczeństwa ks. Boniecki, wierni diecezji przemyskiej oraz kapłani i dawni parafianie ze Złotnik.

Już 11 stycznia 1985 r. Biuro Prasowe Episkopatu Polski ustosunkowało się wobec kłamliwych informacji dotyczących bp. Tokarczuka. W jego stanowisku czytamy: „Biuro Prasowe jest upoważnione do oświadczenia, że ze względu na charakter tych pomówień, pochodzących od osoby nie ponoszącej, z powodu swojej sytuacji procesowej, odpowiedzialności prawnej za mówienie nieprawdy, nie widzi potrzeby ustosunkowania się do tych pomówień".

Abp Bronisław Dąbrowski, sekretarz Episkopatu Polski, 19 lutego 1985 r. wydał oświadczenie, w którym żądał udostępnienia materiałów, na podstawie których pomówiono bp. Tokarczuka. Hierarcha ten zwrócił też uwagę na fakt, że pismo „Settegiorni" kolportowane było wśród przedstawicieli korpusu dyplomatycznego ambasad krajów socjalistycznych oraz Trzeciego Świata. Podkreślił również, że trudno poszukiwać go „w normalnej sprzedaży".

Ks. Boniecki w numerze 9 z 3 marca 1985 r. „Tygodnika Powszechnego" w sposób zdecydowany zaprotestował, wskazując dowody na ewidentne fałszerstwa opublikowane w „Settegiorni". Jednym z nim był fakt, iż całym jego nakładem dysponowała ambasada Libii. W rezultacie żadne z opiniotwórczych włoskich pism nie powieliło kłamliwych rewelacji „Settegiorni".

Protest wiernych

Gwałtownie i zbiorczo zareagowali wierni diecezji przemyskiej, kierując już 13 stycznia 1985 r. protest do marszałka Sejmu PRL Stanisława Gucwy i premiera rządu PRL Wojciecha Jaruzelskiego. W dokumencie tym, pod którym podpisało się 200 tys. osób, żądano sprawiedliwego wyroku dla zabójców ks. Jerzego Popiełuszki, ale także wyjaśnienia kulis „tej potwornej zbrodni". W proteście tym czytamy m.in.: „Jak dotąd nie wiemy, w jaki sposób zamierza to uczynić Sąd, ale postarał się już o to jeden z oskarżonych m.in. w dniu 9 stycznia br. były kapitan Grzegorz Piotrowski, który za doprowadzenie go do zbrodni obciąża rząd, kierownictwo Kurii Warszawskiej, oraz szereg duchownych, w tym także biskupa ordynariusza przemyskiego, który zdaniem Grzegorza Piotrowskiego winien być pociągnięty do odpowiedzialności przez komisję do badania zbrodni hitlerowskich za współpracę z gestapo". W dalszej części protestu przypominano, że bp. Tokarczuka dyskredytowano anonimowymi ulotkami już w sierpniu 1984 r., kolportując je podczas rzeszowskiej pielgrzymki na Jasną Górę, w czasie odpustu w Starej Wsi i kolejnego w Kalwarii Pacławskiej. W paszkwilach tych powoływano się na prasę zagraniczną i archiwum watykańskie. W kolejnym passusie protestu napisano: „Obecnie z przerażeniem dowiadujemy się, że na ten temat ma wiadomości wydział MSW, w którym pracował Grzegorz Piotrowski. A więc MSW winno we własnym zakresie sprawę zbadać, skoro w czasie protestu wychodzą takie sprawy, a sprawozdawcy radia i prasy uważają za stosowne podać do publicznej wiadomości [...]". >>

eprasa.pl 922094d2e9

FOT. PAP/GRZEGORZ ROGIŃSKI

Proces przeciwko sprawcom uprowadzenia i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki. Na ławie oskarżonych oficerowie MSW, m.in. naczelnik wydziału Departamentu IV kpt. Grzegorz Piotrowski (zeznaje), Toruń, styczeń 1985 r.

» Kontynuując skargę, zwrócono uwagę na fakt, iż „nie po raz pierwszy księża i wierni diecezji przemyskiej zabierają głos na temat praworządności. Nigdy dotąd nie otrzymaliśmy odpowiedzi, wyjaśnienia. Okazuje się, że lekceważenie opinii publicznej prowadzi do potwornych wynaturzeń określonych ludzi, którzy w walce z tzw. »przeciwnikiem« nie przebierają w środkach, nie cofają się przed oszczerstwem, kłamstwem, pomówieniem, zabójstwem z premedytacją niewinnego człowieka i znieważaniem go po śmierci, kiedy już niestety sam nie może się bronić". Stanowisko wiernych diecezji przemyskiej zostało wysłane poza głównymi adresatami także do Sejmowej Komisji do Spraw Wewnętrznych, tygodników katolickich, kurii diecezjalnych i ówczesnych wojewodów: przemyskiego, krośnieńskiego, rzeszowskiego i tarnobrzeskiego.

Z kolei dawni parafianie bp. Tokarczuka z okresu jego pracy duszpasterskiej w parafii Złotniki 1943–1944 złożyli świadectwo potwierdzające jego prawość. Wskazywali w nim równocześnie na głęboko ewangeliczną postawę przyszłego biskupa przemyskiego, która polegała na wspieraniu najuboższych i dzieleniu się z potrzebującymi wszystkim, co posiadał. Delegacja dawnych mieszkańców Złotnik najpierw udała się do bp. Tokarczuka do Przemyśla, a następnie po spotkaniu z nim wystosowała datowane na 8 lutego 1985 r. oświadczenie, w którym stwierdzała, iż kalumnie rzucane na bp. Tokarczuka przez kpt. Grzegorza Piotrowskiego są wyssane z palca.

Operacja SB

Jak powiedział Tadeuszowi Fredro-Bonieckiemu w 1989 r. kpt. Piotrowski, osobą, która poleciła mu „uruchomić sprawę bp. Tokarczuka", był ówczesny dyrektor Departamentu IV SB MSW gen. Zenon Płatek. W ramach tej dezintegracyjnej akcji podjęto też inne kroki. 16 lutego 1983 r. próbowano bp. Tokarczukowi doręczyć przez podstawioną agentkę (udającą osobę z Instytutu Prymasowskiego) sfałszowany list szefa Kongregacji ds. Biskupów kard. Sebastiano Baggio, żądającego od przemyskiego pasterza ustosunkowania się do wysuwanych wobec jego osoby zarzutów. Opatrznościowo plan ten się nie udał. W innym przypadku projektowano przyjazd włoskiego dziennikarza (zwerbowanego już wcześniej przez wywiad PRL) do kraju i udostępnienie mu – w aurze zupełnej przypadkowości – dokumentów obciążających bp. Tokarczuka. W tej kombinacji operacyjnej chciano wykorzystać też jednego z „autentycznych księży", co służyć miało uwiarygodnieniu całej akcji. Ostatecznie jednak oszczerstwa kierowane wobec bp. Tokarczuka zostały upublicznione na łamach „Settegiorni".

Reagując na ich kolportowanie, osobno protestowali także wierni poszczególnych parafii diecezji przemyskiej, zbulwersowani wypowiedziami ministra Jerzego Urbana, rzecznika rządu PRL, który 19, 20 i 21 lutego 1985 r. publicznie powtarzał kalumnie głoszone wcześniej przez Piotrowskiego. O protestach wiernych informowała też ówczesna podziemna prasa opozycyjna. Oskarżenie o współpracę z gestapo było niezwykle bolesne dla bp. Tokarczuka, który w 2011 r. wspominał, iż w 1990 r. Piotrowski skontaktował się z nim za pośrednictwem Tadeusza Fredro-Bonieckiego. Napisał wówczas do niego list, w którym przepraszał za rzucane wobec ordynariusza przemyskiego oskarżenia. Jak jednak skonstatował po latach bp Tokarczuk: „Piotrowski rzucił troszkę światła na uwikłanie władzy itd. Potem to wszystko było zabronione i nie miał właściwie już kontaktu, a i Piotrowski wrócił do dawnego układu i nim się posługiwano w walce z Kościołem".

eprasa.pl 922094d2e9

ZŁOWROGI CIEŃ GILOTYNY

NA POLECENIE ADOLFA HITLERA MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI III RZESZY FRANZ GÜNTER WPROWADZIŁ 28 GRUDNIA 1936 r. ROZPORZĄDZENIE O WYŁĄCZNYM WYKONYWANIU KARY ŚMIERCI PRZEZ GILOTYNĘ

RAFAŁ SIERCHUŁA

IPN oddział w Poznaniu

W wyniku kampanii 1939 r. III Rzesza anektowała znaczną cześć terytorium Polski. Jednym z nich był utworzony z ziem Wielkopolski i Kujaw Okręg Rzeszy Kraj Warty – jedyny okręg składający się z ziem polskich w całości wchodzących w skład Rzeczypospolitej Polskiej przed wojną. Ludność tych ziem automatycznie objęło niemieckie ustawodawstwo prawne. W świetle powojennych badań ustalono, iż 2 mln obywateli polskich zamieszkałych na terenie Okręgu Rzeszy Kraj Warty podlegało niemieckim represjom. Wielu z nich stało się ofiarami niemieckiego sądownictwa karnego, którego reprezentantami były Sądy Specjalne, Sąd Wojenny Rzeszy, Trybunał Ludowy oraz senaty karne wyższych sądów krajowych. Wprowadzenie od września 1939 r. powyższego systemu na okupowane ziemie polskie przełożyło się na wzrost sankcji karnych, przede wszystkim ferowanie wyroków śmierci – głównie w sprawach o zdradę stanu i zdradę kraju.

FOT. ZBIGNIEW ZIELONACKI. ZE ZB. LECHA ZIELONACKIEGO, CYRYL.POZNAN.PL

Za zdradę III Rzeszy w Wielkopolsce...

Od jesieni 1939 r. na terenie Okręgu Kraju Warty (bo na nim chciałbym się skupić) rozpoczęło się gwałtowne tworzenie siatki konspiracyjnej. W jej skład wchodziły przede wszystkim organizacje wojskowe, kombatanckie, wywodzące się ze przedwojennych struktur politycznych (Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Ludowe), młodzieżowe, harcerskie. W 1940 r. rozpoczęła się budowa zrębów administracji Polskiego Państwa Podziemnego na tym terenie. Bez względu jednak na ich specyfikę – czy były to grupy małe, przeszkolone dywersyjnie przed wojną, czy też duże formacje konspiracyjne – w wyniku niemieckich kontrakcji, czy to dzięki agenturze we własnych szeregach, donosom lub działaniom policyjnym, ulegały one dekonspiracji i aresztowaniom. Przykładem takiej formacji jest np. komenda Okręgu Poznańskiego AK rozbijana pięciokrotnie przez gestapo.

Następstwami aresztowań były niemieckie śledztwa i brutalne przesłuchania, w wyniku których znaczna część przesłuchiwanych umierała lub popełniała samobójstwo. Od 1943 r. po zakończeniu śledztwa konspiratorzy najczęściej odpowiadali za antyhitlerowską działalność podziemną przed niemieckim sądem.

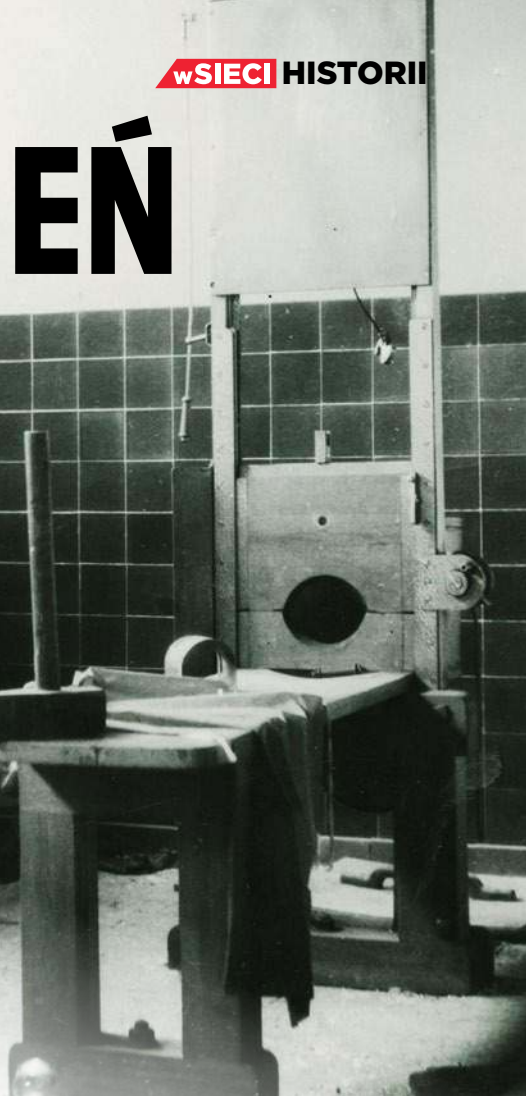

Cela śmierci z gilotyną w III Rzeszy

Oskarżeni w sprawach o zdradę stanu albo zdradę kraju stawali przed Trybunałem Rzeszy w Berlinie lub Wyższym Sądem Krajowym w Poznaniu. W rozprawach tych oskarżycielami najczęściej byli funkcjonariusze gestapo prowadzący śledztwa przeciwko oskarżonym, a wyroki zapadały bardzo surowe, np. dr Walter Borck, prezes Wyższego Sądu Krajowego w Poznaniu, skazał na karę śmierci 184 Polaków, dr Peter Huckenbroich, radca tego sądu, uczestniczył w skazaniu na karę śmierci 53, a dr Werner Artur Mohs – 104 Polaków.

W cieniu śmierci

Po uprawomocnieniu się wyroku sądowego, które następowało po odrzuceniu przez Hitlera prawa łaski, wszczynano procedurę przygotowawczą. Skazanych przewożono do więzienia, w którym miała być wykonana »

eprasa.pl 922094d2e9

kara śmierci. Konspiratorów z Kraju Warty gilotynowano w więzieniach w Poznaniu, we Wrocławiu, w Berlinie-Plötzensee i Dreźnie. Tam oczekiwali oni na przyjazd kata i jego pomocników. Najczęściej w przeddzień lub w dzień egzekucji skazańcy mieli prawo jedyny raz podczas sprawy karnej napisać list do rodziny w języku polskim. „Dzisiaj to jest w środę, 12 stycznia 1944 r., zostanę stracony – pisał z Drezna Romuald Szemiot, żołnierz NSZ. – Jest teraz popołudnie, pozostało mi kilka godzin życia. Wieczorem będzie egzekucja. Lecz się nie lękam śmierci, idę odważnie na stracenie. Szóstego stycznia wyspowiadałem się przed księdzem z wszystkich grzechów moich i nazajutrz przyjąłem komunię świętą. Mam głęboką wiarę i nadzieję, że Pan Jezus daruje mi grzechy i łaskawie przyjmie do chwały swojej. Dzisiaj także jest ksiądz z nami i w ostatniej godzinie będziemy mogli się godnie przygotować na drogę do wieczności". W przypadku egzekucji w Dreźnie wykonywano je w poniedziałki, środy i piątki. Dniami wolnymi od straceń były niedziele. Egzekucje wykonywano późnym popołudniem, między godz. 17.00 a 19.00.

Ciała zamordowanych jako zdrajców nie podlegały wydaniu rodzinie i bliskim. Były składane w masowych mogiłach bądź ulegały kremacji. Jednak przygotowując wykonanie egzekucji, władze więzienia kontaktowały się z akademickimi placówkami medyczno-anatomicznymi, które zabierały ciała i wykorzystywały je w celach naukowych. Były to m.in. Uniwersytet w Lipsku, instytuty w Halle i Jenie.

Spośród ponad kilkuset straconych na gilotynie polskich konspiratorów i męczenników w 1999 r. papież Jan Paweł II beatyfikował pięciu wychowanków oratorium salezjańskiego z Poznania: Czesława Jóźwiaka, Edwarda Kaźmierskiego, Franciszka Kęsego, Edwarda Klinika, Jarogniewa Wojciechowskiego i misjonarza werbistę Bolesława Frąckowiaka ściętych w więzieniu w Dreźnie.

Na terenie III Rzeszy polscy konspiratorzy gilotynowani byli w następujących ośrodkach egzekucyjnych: Berlin-Plötzensee, Brandenburg-Görden, Dresden (Drezno), Kattowitz (Katowice), Posen (Poznań), Danzig (Gdańsk) i Königsberg (Królewiec).

Po zakończeniu II wojny światowej sędziowie i prokuratorzy skazujący na śmierć polskich konspiratorów uniknęli odpowiedzialności. Kat Johann Reichhart, który w marcu 1942 r. w Berlinie ściął konspiracyjnych przywódców poznańskiego Stronnictwa Narodowego, po wojnie pracował na usługach amerykańskich władz okupacyjnych i wykonał 156 wyroków śmierci przez powieszenie zbrodniarzy nazistowskich w więzieniu Galgen. Wybudował także szubienicę dla skazanych w procesie norymberskim i przeszkolił sierż. US Army Johna Woodsa, kata sił alianckich.

Kat Johann Reichhart

FOT. ALAMY/BEW

Protokół wykonania kary śmierci na dowódcy NOB Antonim Wolniewiczu, ściętym w więzieniu Berlin-Plötzensee [odpis]

Berlin, 1942 marzec 20

Protokół wykonania kary śmierci

Niżej podpisani urzędnicy Prokuratury Rzeszy przy Trybunale Ludowym udali się dziś wcześnie rano do więzienia Plötzensee w Berlinie w celu wykonania prawomocnego wyroku śmierci wydanego przez 2. Senat Trybunału Ludowego w dniu 18 grudnia 1941 r. na byłym polskim magistrze polityki rolnej Antonim Wolniewiczu.

O godzinie 5:43 wkroczono do pomieszczenia przeznaczonego do wykonania wyroku. Kat Reichhart z Monachium zameldował odpowiedzialnemu za wykonanie wyroku pierwszemu prokuratorowi, że razem ze swoimi pomocnikami są gotowi do przeprowadzenia egzekucji. W przedniej części oświetlonego silnym światłem elektrycznym pomieszczenia znajdował się stół nakryty czarnym płótnem, na którym stał krucyfiks i dwie zapalone świece. Tylna część pomieszczenia, w której znajdowała się gilotyna, oddzielona była czarną kotarą.

Niżej podpisani zajęli stanowisko za stołem. Kat wraz ze swymi trzema pomocnikami ustawili się przed zasuniętą kotarą.

Dalej obecni byli: zastępca naczelnika więzienia inspektor Schmidt i katolicki duchowny proboszcz dr Blank.

Niżej podpisany pierwszy prokurator zarządził wprowadzenia skazanego Wolniewicza. O godz. 5:45 dwóch strażników więziennych doprowadziło go, mającego ręce związane z tyłu, do miejsca straceń. Drzwi pomieszczenia zostały zamknięte.

Następnie pierwszy prokurator odczytał wolno i wyraźnie skazanemu Wolniewiczowi formułę wyroku 2. Senatu Trybunału Ludowego z dnia 18 grudnia 1941 r. i decyzję Ministra Sprawiedliwości Rzeszy z dnia 6 marca 1942 r.

Potem kierujący egzekucją pierwszy prokurator polecił katowi Reichhartowi wykonać ciążący na nim obowiązek. Natychmiast rozsunięto kotarę, a trzej pomocnicy kata zastąpili miejsce dwóch strażników więziennych.

Skazany Wolniewicz nie dał nic po sobie poznać. Był spokojny i opanowany. Bez stawiania oporu pozwolił doprowadzić się do gilotyny i tam, obnażony do połowy, położyć. Niezwłocznie kat za pomocą gilotyny oddzielił głowę skazanego od korpusu i zameldował, że wyrok został wykonany.

Całe postępowanie od momentu wprowadzenia aż do przekazania w ręce kata trwało 35 sekund, a od momentu przekazania w jego ręce aż do meldunku kata, iż wyrok został wykonany 7 sekund.

(-) dr Wrede
Pierwszy Prokurator

(-) Gerstacker
Inspektor Sądowy

eprasa.pl 922094d2e9

1968 – początek dyktatury rewolucyjnej w Peru

PAWEŁ SKIBIŃSKI

3 października 1968 r. w Peru miał miejsce wojskowy zamach stanu, na którego czele stanął głównodowodzący peruwiańskich sił zbrojnych, gen. Juan Velasco Alvarado. W wyniku zamachu obalony został demokratycznie wybrany, centro-prawicowy prezydent Fernando Belaúnde Terry. Został on przez zamachowców wydalony do Argentyny, a kolejne kilka lat spędził w USA jako wykładowca uniwersytecki.

Bezpośrednią przyczyną dokonanego przez Velasco zamachu stanu była afera związana z rafinerią w Talarze i umową zawartą między rządem peruwiańskim a działającą na terenie kraju spółką córką amerykańskiej korporacji naftowej Standard Oil, będącą istotnym dłużnikiem skarbu peruwiańskiego. We wrześniu podano do publicznej wiadomości, że cenniki załączone do podpisanej przez obie strony umowy zostały zdekompletowane i zagubiona została ich 11. strona. Prasa sugerowała, że fakt ten oznaczał, iż rząd Belaúnde poddał się dyktatowi kapitału amerykańskiego. Jednak do tej pory nie wiadomo, co było na tajemniczej 11. stronie – możliwe nawet, że była to strona pusta.

Nowe władze powołały do życia Wojskowy Rząd Rewolucyjny. W sześć dni po przejęciu przez zamachowców władzy armia zajęła rafinerię w Talarze i dokonano nacjonalizacji złóż naftowych oraz całej infrastruktury służącej wydobyciu ropy. Było to posunięcie budujące wizerunek nowego, rewolucyjnego rządu jako patriotycznego, niezależnego od wpływów zagranicznego kapitału i skutecznego w działaniu. Velasco 9 października uznał za coroczne święto Godności Narodowej, obchodzone zresztą w Peru po dziś dzień.

Mimo jednak głośnych zapewnień propagandy rewolucyjnej, że państwo nie zapłaci ani jednego sola amerykańskim kapitalistom, Velasco po cichu doszedł do porozumienia ze Standard Oil i zapłacił 76 mln dol. odszkodowania. Natomiast powstałe wówczas państwowe przedsiębiorstwo Petroperú borykało się przez dłuższy czas z poważnymi problemami – przejęło bowiem wyeksploatowane w znacznej mierze złoża i przestarzałe instalacje, które nie przynosiły zakładanego zysku, zwłaszcza że Standard Oil wycofał swój wykwalifikowany personel, a USA nałożyły na Peru embargo na dostęp do nowocześniejszych technologii. Nie pomogło sprowadzenie sowieckich specjalistów – dopiero odnalezienie na północy kraju nowych złóż i podpisanie umów na budowę rurociągu z amerykańską firmą Bechtel pozwoliło na zwiększenie rentowności. Jednak rurociąg północny został uruchomiony już po odsunięciu od władzy Velasco.

Powstała w 1968 r. junta rewolucyjna rozpoczęła realizację ambitnego programu reform społecznych. Powołano do życia SINAMOS – socjalną instytucję państwową, która jednocześnie pełniła dla gen. Velasco funkcję namiastki partii politycznej. Przeprowadzono reformę rolną oraz reformę edukacji, mającą na celu poszerzenie dostępu do nauczania. Władze dokonały wywłaszczenia całego górnictwa, a także bankowości. W polityce gospodarczej Peruwiańczycy inspirowali się wzorami jugosłowiańskiego komunistycznego samorządu pracowniczego. Peruwiańska prasa została znacjonalizowana i poddana surowej cenzurze.

Choć sam Velasco był biały, to naczelnym hasłem jego dyktatury było upodmiotowienie rdzennej ludności indiańskiej. Język keczua zrównano z hiszpańskim, uznając go za język urzędowy. Głównym bohaterem propagandy reżimu został Tupac Amaru – spadkobierca inkaskich królów, który był przywódcą antyhiszpańskiego powstania ludności indiańskiej pod koniec XVIII w.

Głównodowodzący sił zbrojnych Peru gen. Juan Velasco Alvarado, 1973 r.

Rządy Velasco przeorientowały też peruwiańską politykę zagraniczną, inspirując się przykładem Kuby Fidela Castro i nawiązując bliskie relacje ze Związkiem Sowieckim, Czechosłowacją, Rumunią i Jugosławią. Wyrażało się to nie tylko w głośnym antyamerykanizmie propagandy peruwiańskiej, lecz także w gigantycznych zakupach broni, dokonywanych w ZSRR.

Peru prowadziło również intensywną propagandową politykę kulturalną, w ramach której – zwłaszcza na początku – miał współpracować Mario Vargas Llosa, wschodząca gwiazda literatury światowej, wówczas niekryjący swoich sympatii do marksizmu.

Rozmach polityki rewolucyjnej nadwerężył podstawy gospodarcze kraju – szalała inflacja, panowała recesja, rosło bezrobocie. W 1975 r. gen. Velasco został odsunięty od władzy przez innego oficera junty – gen. Francisca Moralesa Bermúdeza. Nowy szef rządu skierował schorowanego Velasco do aresztu domowego. Generał zmarł w 1977 r.

Rewolucyjna junta peruwiańska przez kolejnych kilka lat prowadziła negocjacje z MFW i łagodziła dawną politykę Velasco, m.in. zelżała cenzura i zlikwidowano SINAMOS.

W 1982 r. przekazano wadzę demokratycznie wybranemu prezydentowi, którym ponownie okazał się obalony w 1968 r. Belaúnde. W ten sposób historia Peru zatoczyła koło...

FOT. EAST NEWS/BRIDGEMAN IMAGES

eprasa.pl 922094d2e9

Listopad

MICHAŁ KOMUDA

1 XI 1893

W Krakowie w wieku 55 lat zmarł najwybitniejszy przedstawiciel polskiego malarstwa historycznego, pierwszy dyrektor krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, Jan Matejko. Spoczął na cmentarzu Rakowickim.

7 XI 1918

W oswobodzonym spod austriackiej okupacji Lublinie utworzono Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej. Na jego czele stanął socjalista Ignacy Daszyński.

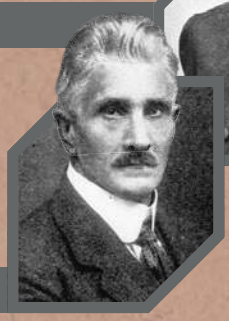

9 XI 2003

20 lat temu miała miejsce inauguracja publicznej zbiórki powstańczych pamiątek, które trafiły do zbiorów tworzonego decyzją ówczesnego prezydenta Warszawy, Lecha Kaczyńskiego, Muzeum Powstania Warszawskiego.

11 XI 1673

Polsko-litewskie wojska dowodzone przez hetmana wielkiego koronnego Jana Sobieskiego zdobyły turecki obóz pod Chocimiem. Zwycięstwo rozsławiło wodza, który pół roku później został obrany królem Rzeczypospolitej.

13 XI 1308

Wezwani na pomoc przez polskiego namiestnika Gdańska Krzyżacy wyparli oblegających gród Brandenburczyków. Następnie, po wkroczeniu do miasta, dokonali również rzezi polskich rycerzy oraz gdańskich mieszczan.

15 XI 1948

W Wojskowym Sądzie Rejonowym w Warszawie dobiegł końca proces cichociemnego, mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory", oraz siedmiu jego ludzi. Wyrokiem sądu niezłomny dowódca podziemia na Lubelszczyźnie okresu okupacji niemieckiej, a następnie sowieckiej, został skazany na siedmiokrotną karę śmierci.

16 XI 1918

Wraz z końcem I wojny światowej i rozpadem Austro-Węgier rozpoczęła się tzw. rewolucja astrów. W jej wyniku proklamowano Węgierską Republikę Ludową, która przetrwała zaledwie cztery miesiące.

25 XI 1813

Po wielomiesięcznym oblężeniu przez Rosjan zdziesiątkowany i głodujący polski garnizon opuścił twierdzę Zamość. Jej obroną, zakończoną honorową kapitulacją, dowodził gen. Maurycy Hauke.

eprasa.pl 922094d2e9

17 XI 1923

100 lat temu nastąpiło uroczyste otwarcie Transatlantyckiej Centrali Radiotelegraficznej. Była to nie tylko jedna z największych inwestycji okresu II Rzeczypospolitej, lecz także najnowocześniejsza tego typu w Europie.

W celu zapewnienia odrodzonej Polsce niezależności w przepływie informacji oraz jej lepszego skomunikowania ze Stanami Zjednoczonymi 4 sierpnia 1921 r. podpisano umowę z firmą Radio Corporation of America, w myśl której rozpoczęto budowę potężnego nadajnika w Babicach, odbiornika w Grodzisku Mazowieckim oraz mieszczącego się w Warszawie Centralnego Biura Operacyjnego. O skali inwestycji świadczył fakt, że sama radiostacja w Babicach składała się z 10 wież antenowych, mierzących po 126,5 m każda, rozmieszczonych na obszarze 4 km. Do 1931 r. była to najwyższa budowla w Polsce. Uroczyste otwarcie radiostacji odbyło się 17 listopada 1923 r. Wzięli w nim udział prezydent, marszałkowie, ministrowie, rektorzy wyższych uczelni, biskup polowy WP oraz dyrektor amerykańskiego partnera, firmy RCA. Z okazji tego wydarzenia prezydent Stanisław Wojciechowski wysłał pierwszą bezpośrednią depeszę do prezydenta USA Johna Calvina Coolidge'a, po czym po kilkunastu minutach otrzymał odpowiedź. Z kolei zabierający na uroczystości głos dyrektor RCA podkreślił, że: „porównując pracę stacji warszawskiej z innemi wielkimi stacjami w Europie [...] zajmuje ona pierwsze miejsce w szeregu radiostacji świata".

29 XI 1813

Po trwającym ponad 10 miesięcy oblężeniu napoleoński garnizon gdańskiej twierdzy podpisał akt kapitulacji. Wydarzenie to stanowiło kres funkcjonowania Wolnego Miasta Gdańska.

Na mocy postanowień traktatu pokojowego w Tylży 9 lipca 1807 r. kosztem pokonanych przez Napoleona Prus utworzono Królestwo Westfalii, Księstwo Warszawskie oraz Wolne Miasto Gdańsk. Ten ostatni organizm, choć oficjalnie autonomiczny, w rzeczywistości był uzależniony od Francji. Jego gubernatorem mianowano Francuza, gen. Jeana Rappa, a miasto wraz ze swoim portem stało się ważnym punktem tej części napoleońskiej Europy. Na jego terenie nie tylko stacjonował systematycznie rozbudowywany francuski garnizon, lecz także prowadzono prace mające na celu udoskonalanie fortyfikacji miejskich. Dzięki temu, gdy w 1812 r. pokonana Wielka Armia wycofywała się z Rosji, gdańska twierdza pozostawała silnym napoleońskim bastionem, przed którym musiały zatrzymać się nadciągające rosyjskie wojska. W połowie grudnia do Gdańska powrócił z przegranej moskiewskiej kampanii gubernator Rapp. Pomimo odniesionych ran rozpoczął energiczne przygotowania do obrony miasta. Jednak jego głównym problemem był brak zdrowych, zdolnych do walki ludzi. Warto zaznaczyć, że mimo to w szeregach broniących się znalazło się aż kilka tysięcy polskich żołnierzy, a wśród nich młody oficer Józef Bem. Miesiąc później, 15 stycznia 1813 r., pod miasto dotarły pierwsze rosyjskie jednostki. Na początku marca wzmocnione wrogie siły zdołały odnieść pierwsze sukcesy. Niebawem na ich czele stanął weteran wojen napoleońskich, książę Aleksander Wirtemberski. W tym samym czasie choroby zaczęły dziesiątkować obrońców Gdańska. Letnie zawieszenie broni, choć stało się sposobnością do naprawy fortyfikacji, dało również czas na wzmocnienie sił księcia Wirtemberskiego. Pod jego rozkazami oprócz wojsk rosyjskich znalazły się oddziały pruskie oraz niezbędna artyleria. Dodatkowo działania oblegających wspierała flota. Walki wznowiono z końcem sierpnia. Przyniosły one nie tylko kolejne sukcesy wojsk oblężniczych, lecz także nękający miasto ostrzał artyleryjski. W jego efekcie wybuchły pożary, które strawiły znaczną część spichlerzy z przetrzymywaną w nich żywnością. Wydarzenie to wraz z dramatycznie pogarszającymi się warunkami bytowania zmusiły obrońców do podpisania 29 listopada kapitulacji. Do tego czasu garnizon oraz cywilni mieszkańcy zostali zdziesiątkowani przez toczone walki, choroby oraz panujący głód. Zniszczeniu uległa również olbrzymia liczba budynków. Ostatecznie Rosjanie wkroczyli do nadbałtyckiej fortecy 3 stycznia 1814 r., kładąc jednocześnie kres funkcjonowaniu Wolnego Miasta Gdańska.

FOT.: BIBLIOTEKA NARODOWA (2X); NAC; ANDRZEJ WIKTOR; IPN; DOMENA PUBLICZNA; NAC; WIKIPEDIA

eprasa.pl 922094d2e9

Grudzień

2 XII 1963 W ogrodzie zoologicznym w Edynburgu odszedł słynny miś Wojtek. Wraz z 22 Kompanią Zaopatrywania Artylerii przeszedł podczas II wojny światowej szlak 2. Korpusu Polskiego, zostając awansowanym do stopnia kaprala.

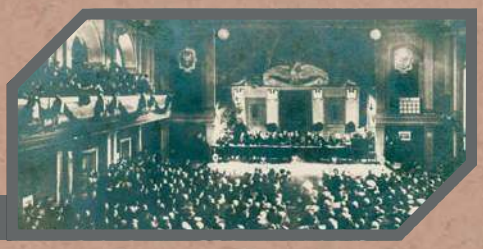

3 XII 1918 W Poznaniu rozpoczęły się obrady Polskiego Sejmu Dzielnicowego skupiającego przedstawicieli Polaków zamieszkujących zabór pruski.

4 XII 1798 Pod Civita Castellana wojska francusko-polskie pokonały kilkukrotnie liczniejszych Neapolitańczyków. W bitwie odznaczył się dowodzący I Legią gen. Karol Kniaziewicz.

8 XII 1953 70 lat temu w Stoczku Warmińskim więziony od ponad dwóch miesięcy przez komunistyczne władze prymas Polski Stefan Wyszyński złożył „Akt Osobistego Oddania się Matce Bożej".

11 XII 1618 W Dywilinie zawarto rozejm pomiędzy Rzeczpospolitą a Moskwą. W oparciu o jego postanowienia Polska zyskiwała Siewierszczyznę i Czernihowszczyznę, a Litwa Smoleńszczyznę, dzięki czemu Rzeczpospolita osiągnęła szczyt swojego rozwoju terytorialnego.

24 XII 1983 40 lat temu w wigilię Bożego Narodzenia Andrzej Bieluń i Tadeusz Piotrowski jako pierwsi zdobyli zimą siedmiotysięcznik Api.

31 XII 1873 Powołano do życia Galicyjskie Towarzystwo Tatrzańskie. Była to najstarsza organizacja, która dała początek późniejszemu Polskiemu Towarzystwu Turystyczno-Krajoznawczemu (PTTK).

eprasa.pl 922094d2e9

13 XII 1943

W samym centrum okupowanej Warszawy żołnierze oddziału Kedywu KG AK „Agat" wykonali wyrok na niemieckim kierowniku Urzędu Kwaterunkowego, Emilu Braunie. Pomimo bezpośredniej bliskości licznych posterunków wroga akcję przeprowadzono bez strat własnych.

W lutym 1940 r. niemieccy architekci opracowali szczegółowy plan, który przewidywał zniszczenie ponad milionowego miasta, stolicy przedwojennej Polski. Z jej pozostałości zamierzano utworzyć prowincjonalną miejscowość dla nowych osadników z Rzeszy. Realizacja tzw. planu Pabsta, noszącego nazwę od nazwiska okupacyjnego naczelnego architekta Warszawy, Friedricha Pabsta, wymagała wcześniejszego usunięcia lub zamordowania praktycznie wszystkich polskich i żydowskich mieszkańców stolicy. Zadanie to realizował właśnie Braun, stojąc za terroryzującymi życie Warszawy łapankami oraz eksmisjami z mieszkań. Na wieść o planowanych na masową skalę wysiedleniach warszawiaków Kedyw wydał rozkaz likwidacji tego urzędnika. Wywiad kierowany przez ppor. Aleksandra Kunickiego „Rayskiego" ustalił, jak wygląda Braun, że mieszka przy ul. Górnośląskiej 33 i pracuje przy ul. Daniłowiczowskiej 1/3. Obliczono, ile zajmuje mu droga z domu do pracy, oraz zaobserwowano, że używa do jej pokonywania samochodów o trzech różnych tablicach rejestracyjnych. Wykonanie wyroku powierzono II plutonowi, dowodzonemu przez kpr. Kazimierza Kardasia „Orkana". Pomimo silnych posterunków wroga w urzędzie przy ul. Daniłowiczowskiej 1/3, a także w pobliskim pałacu Blanka oraz mieszczącej się obok bramie więziennej, postanowiono zlikwidować Brauna w momencie, gdy będzie wysiadał do pracy. Akcję przeprowadzono rankiem 13 grudnia. Zespół pięciu łączniczek sprawnie przekazał informację o wyruszeniu Brauna z domu oraz o numerze rejestracyjnym używanego przez niego tego dnia samochodu. Następnie potwierdził jego przybycie na miejsce. Wówczas dowódca kpr. „Orkan" dał znak rozpoczęcia akcji. Jej wykonawcy, Jerzy Kozłowski „Kastor" i Jerzy Sarnowski „Polluks", zlikwidowali Brauna wraz z towarzyszącym mu uzbrojonym, ostrzeliwującym się cywilem. Tym ostatnim okazał się być osławiony niemiecki architekt Pabst. W celu identyfikacji zlikwidowanego zabrali teczkę Brauna. W tym czasie żołnierze ubezpieczenia oraz dowódca akcji za pomocą granatów i broni maszynowej uniemożliwili niemieckim posterunkom podjęcie kontrakcji. Następnie wszyscy wykonawcy odjechali jednym z dwóch oczekujących na nich samochodów, po czym w ustalonym punkcie zdali broń. Perfekcyjnie zaplanowana i przeprowadzona przed samym niemieckim urzędem operacja trwała niespełna minutę.

Aleksander Kunicki

Kazimierz Kardaś

Jerzy Kozłowski

Jerzy Sarnowski

Pałac Blanka, Warszawa

30 XII 1888

W Krakowie urodził się przyszły wicepremier i minister Eugeniusz Kwiatkowski. Jego energii oraz niezwykłym talentom Polska zawdzięczała szereg strategicznych inwestycji, na czele z budową portu w Gdyni.

W trakcie studiowania na Politechnice Lwowskiej związał się z Polskimi Drużynami Strzeleckimi oraz niepodległościowymi organizacjami „Zet" i „Zarzewie". Studia kontynuował w Monachium. Podczas I wojny światowej walczył w szeregach Legionów Polskich i działał w Polskiej Organizacji Wojskowej. Następnie podczas wojny polsko-bolszewickiej służył w oddziale chemicznym Głównego Urzędu Zaopatrzenia Armii. W wolnej Polsce jego działalność w pełni rozkwitła po przewrocie majowym w 1926 r., gdy powierzono mu funkcję ministra przemysłu i handlu. Piastując to stanowisko, m.in. walnie przyczynił się do rozwoju portu w Gdyni, polskiego handlu morskiego oraz budowy Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Mościcach. Gdy w 1935 r. objął funkcję wicepremiera oraz ministra skarbu, zaangażował się w realizację wielkiej inwestycji, jaką był Centralny Okręg Przemysłowy. Jego wszystkie działania miały na celu wzmacnianie niezależności gospodarczej kraju. Podczas II wojny światowej był internowany w Rumunii. Po powrocie do komunistycznej Polski jego potencjał i olbrzymie doświadczenie zostały zmarnowane przez nową władzę. Zmarł w 1974 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA (6X); BIBLIOTEKA NARODOWA (3X); NAC (2X); JACEK HALICKI/WIKIPEDIA

eprasa.pl 922094d2e9

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

W DZIEJACH ARCHIWUM PAŃSTWA POLSKIEGO SZCZEGÓLNĄ ROLĘ ODEGRAŁ JÓZEF SIEMIEŃSKI, DYREKTOR ARCHIWUM GŁÓWNEGO AKT DAWNYCH W LATACH 1920–1939. JEGO ZASŁUGĄ BYŁO PRZEKSZTAŁCENIE AGAD W NOWOCZESNĄ INSTYTUCJĘ NAUKOWĄ I EDYTORSKĄ

JÓZEF SIEMIEŃSKI (1882–1941)

JACEK KROCHMAL

Wiedzę przydatną do pracy w archiwach Józef Siemieński zdobył podczas studiów prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim, a następnie historycznych we Lwowie, które w 1906 r. zakończył, uzyskując tytuł doktora. Ze źródłami historycznymi zetknął się jeszcze w trakcie studiów, pracując w Archiwum Krajowym Aktów Grodzkich i Ziemskich, mieszczącym się w dawnym klasztorze bernardynów we Lwowie. Praca ta bardzo mu odpowiadała, toteż po powrocie do Warszawy zatrudnił się w Bibliotece Ordynacji Zamojskiej. Trafił tam pod opiekę wybitnego historyka Wacława Sobieskiego i pod jego kierunkiem zaczął przygotowywać do druku edycję źródłową „Archiwum Jana Zamoyskiego". Z obowiązków wywiązywał się wzorowo, dlatego powierzono mu samodzielne wydanie drugiego i trzeciego tomu tej ważnej publikacji. Tomy ukazały się drukiem w 1908 i 1913 r. Dwa lata później prace nad tomem czwartym zostały przerwane z powodu wkroczenia do Warszawy wojsk niemieckich. Tom ten wydano dopiero w 1948 r. dzięki staraniom Kazimierza Lepszego. Po wypędzeniu Rosjan i zajęciu Warszawy przez Niemców nowe władze okupacyjne zezwoliły na utworzenie nowego polskiego Uniwersytetu Warszawskiego. W prace organizacyjne włączył się Siemieński, który po inauguracji zajęć został nauczycielem akademickim. Od jesieni 1915 r. do marca 1919 r. wykładał historię ustroju Polski. Siemieński pilnie obserwował zmiany polityczne zachodzące pod koniec wojny. Już wówczas zaczęła tworzyć się administracja polska stopniowo przygotowująca się do przejęcia władzy. Po ukonstytuowaniu się Rady Regencyjnej pierwszymi urzędami polskimi zostały archiwa. Ich organizacji dotyczył reskrypt wydany przez Radę 31 lipca 1918 r. Następnie po odzyskaniu przez Polskę niepodległości treść tego aktu powtórzył naczelnik państwa w dekrecie z 7 lutego 1919 r. W obu dokumentach wymieniono Archiwum Główne Akt Dawnych jako centralne archiwum odrodzonej Polski. W tym czasie Siemieński pracował w Prokuratorii Generalnej RP, a podczas wojny polsko-bolszewickiej pełnił służbę w oddziałach obrony Warszawy. W dniach największego zagrożenia stolicy objął stanowisko dyrektora AGAD, w którym pracę rozpoczął 1 sierpnia 1920 r.

Polityka interesowała Siemieńskiego od dawna. W młodości był zwolennikiem Romana Dmowskiego, jednak jego koncepcje polityczne porzucił w proteście przeciwko planom związania Polski z Rosją. Już wtedy był przekonany, że Polska odzyska niepodległość, a nadzieje na jej odrodzenie wzrosły po wybuchu I wojny światowej. Siemieński oczekiwał, że niepodległość nadejdzie wraz z nastaniem nowego ładu powojennego. Jako historyk prawa wiedział o konieczności przygotowania różnorodnych materiałów, które po wojnie będą niezbędne do udowodnienia na forum międzynarodowym praw Polski do własnego państwa. W tym duchu przystąpił do prac w zespole naukowym przygotowującym dokumenty, które w oparciu o źródła historyczne potwierdzały prawa terytorialne i polityczne państwa polskiego. Materiały te polscy dyplomaci wykorzystali później podczas rokowań pokojowych kończących I wojnę światową. Doświadczenia eksperckie połączone

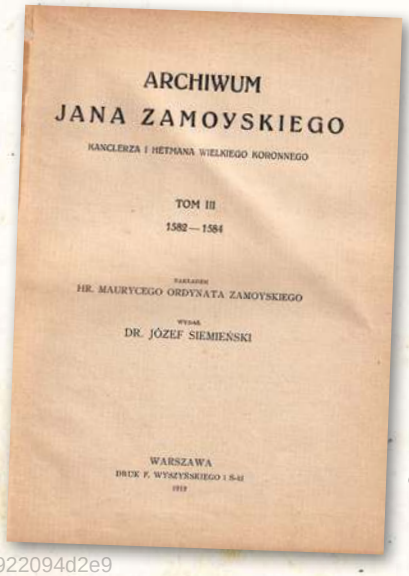
ARCHIWUM
JANA ZAMOYSKIEGO
KANCLERZA I HETMANA WIELKIEGO KORONNEGO
TOM III
1582 — 1584
NAKŁADEM
HR. MAURYCEGO ORDYNATA ZAMOYSKIEGO
WYDAŁ
DR. JÓZEF SIEMIEŃSKI
WARSZAWA
DRUK F. WYSZYŃSKIEGO I S-ki
1919

FOT. KAROL ZGLIŃSKI

eprasa.pl 922094d2e9

z wiedzą archiwalną, przede wszystkim zaś piastowanie stanowiska dyrektora AGAD, sprawiły, że po traktacie ryskim, kończącym zwycięską wojnę z bolszewicką Rosją, Siemieński został ekspertem Mieszanej Komisji Specjalnej do spraw rewindykacji archiwaliów polskich z Rosji Sowieckiej. Jej zadaniem było odzyskanie „Archiwum Państwowego Rzeczypospolitej Polskiej" (Archivum Generale Regni). Było to wyzwanie ogromne. Rozpoczęta w 1922 r. akcja rewindykacyjna była prowadzona aż do 1935 r., gdy została przerwana z przyczyn politycznych. Działając w komisji, Siemieński z jednej strony wykorzystywał doświadczenia zdobyte podczas pracy w archiwach, z drugiej zaś uczył się postępowania z ogromnymi ilościami materiałów archiwalnych, które należało rozpoznać, zakwalifikować do rewindykacji, przetransportować do Polski i tu opracować. Aby wyobrazić sobie skalę przedsięwzięcia, trzeba przypomnieć, że akcją rewindykacyjną objęto wszystkie archiwalia polskie zrabowane i wywiezione do Rosji, począwszy od 1772 r. Co istotne, w przeciągu następnych dziesięcioleci były one wielokrotnie przemieszczane między różnymi archiwami rosyjskimi. Ich odnalezienie wymagało więc żmudnych poszukiwań, a po ustaleniu aktualnego miejsca ich przechowywania należało udowodnić ich polską proweniencję, a potem wyodrębnić z innych kolekcji, do których niekiedy były celowo dołączane. Wszystkie te prace wymagały ogromnej wiedzy, doświadczenia i wytrwałości w pokonywaniu przeszkód stwarzanych przez władze sowieckie. Dodatkowym wyzwaniem było odzyskanie dokumentacji ewakuowanej w głąb Rosji w początkowym okresie I wojny światowej. Większość archiwaliów rewindykowanych z Rosji Sowieckiej przywożono do AGAD.

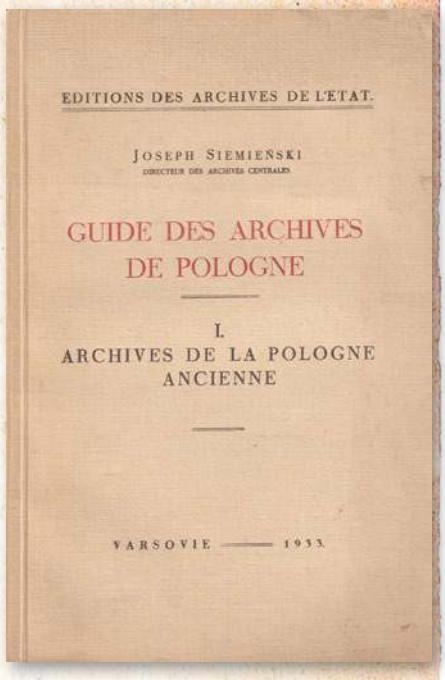
EDITIONS DES ARCHIVES DE L'ETAT.

JOSEPH SIEMIEŃSKI
DIRECTEUR DES ARCHIVES CENTRALES

GUIDE DES ARCHIVES DE POLOGNE

I.
ARCHIVES DE LA POLOGNE ANCIENNE

VARSOVIE — 1933.

Gromadzone w nim materiały należało rozpoznać i pogrupować zgodnie z ich pierwotną przynależnością kancelaryjną. Doświadczenia zdobyte podczas akcji rewindykacyjnej wzbogaciły wiedzę Siemieńskiego, który chętnie upowszechniał ją w wielu publikacjach naukowych i referatach wygłaszanych na konferencjach w Polsce i na forum międzynarodowym. Siemieński był zwolennikiem scalania archiwaliów rozproszonych w zasobach różnych archiwów, bibliotek i muzeów, zgodnie z zasadą niepodzielności zespołu archiwalnego, a gdy nie było to możliwe, tworzenia inwentarzy idealnych. Poglądy te zaprezentował podczas Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Poznaniu w 1925 r. i na Kongresie Nauk Historycznych w Zurichu w 1938 r. Jego pomysły dotyczące niepodzielności zespołu archiwalnego przyjmowano krytycznie, jednak z czasem przyznano mu rację i dziś należą do podstawowych zasad archiwistyki. Głośny był referat Siemieńskiego zaprezentowany w 1930 r. na Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Warszawie. Przedstawiając charakterystykę i znaczenie zasobu, AGAD określił go mianem „podstawy źródłowej naszej historiografii". Siemieński przekształcił Archiwum Główne w nowoczesną instytucję, usystematyzował i zinwentaryzował jego zasób, szeroko udostępniając go badaczom z kraju i ze świata. W 1929 r. zgłosił propozycję rozmieszczenia zasobu archiwalnego i organizacji polskiej „sieci archiwalnej". Dzięki niemu określenie to wprowadzono do polskiej terminologii archiwalnej i jest obecnie powszechnie używane. Józef Siemieński był autorem wielu edycji źródłowych oraz publikacji dotyczących dziejów ustroju Polski, prac z zakresu teorii archiwalnej oraz przewodników po zasobie archiwów.

Wiosną 1939 r. został on profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdzie objął katedrę historii prawa polskiego. Po wybuchu II wojny światowej wrócił do Warszawy, by chronić budynek AGAD przed pożarem. Wraz z pracownikami dyżurował na dachu archiwum, mieszczącego się wówczas na rogu ul. Długiej i pl. Krasińskich. Podczas jednego z nalotów ugasił bombę zapalającą, która ugrzęzła na strychu. W 1941 r. Delegatura Rządu na Kraj zleciła Siemieńskiemu opracowanie memoriałów o polskich zbiorach rękopiśmiennych i ustroju powojennej Polski. Nie ukończył ich, bo 19 czerwca 1941 r. został aresztowany przez gestapo i wywieziony najpierw do więzienia w Radomiu, a 26 sierpnia do niemieckiego obozu koncentracyjnego KL Auschwitz. Otrzymał więzienny numer 21 944. Józef Siemieński nie wytrzymał obozowych męczarni. Zmarł w Auschwitz 14 października 1941 r. Pamięć o profesorze przetrwała wśród archiwistów. Jego imieniem nazwano ulicę na warszawskiej Ochocie.

Dyrektor Józef Siemieński i pracownicy AGAD, 1931 r.

„Komendant Józef Piłsudski wraca z inspekcji 4 Pułku Piechoty Legionów Polskich, 1915 r."

DOKUMENTY NIEPODLEGŁEJ!

ODZYSKANIE NIEPODLEGŁOŚCI PRZEZ POLSKĘ W WYMIARZE POLITYCZNYM, DYPLOMATYCZNYM, MILITARNYM, SPOŁECZNYM I KARTOGRAFICZNYM... JEST RÓWNIEŻ ZAPISANE W ZASOBIE ARCHIWUM AKT NOWYCH!

RAFAŁ KIERZKOWSKI

11 listopada 1918 r. jest dla wszystkich Polaków datą o potężnym wymiarze symbolicznym – ziszczeniem okupionych krwią, cierpieniem, walką i ciężką pracą marzeń kilku pokoleń naszego narodu. Musimy pamiętać, że odzyskiwanie niepodległości, a w zasadzie ostatni zwycięski odcinek trwających ponad wiek zmagań również był procesem. W okresie, od kiedy nocą z 2 na 3 sierpnia 1914 r. sławna ułańska siódemka Beliny przekroczyła granicę zaboru rosyjskiego, a w kilka dni później żołnierze Pierwszej Kompanii Kadrowej wymaszerowali w bój z krakowskich Oleandrów, do 14 listopada 1918 r., kiedy bryg. Józef Piłsudski odebrał z rąk Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego akt przekazania władzy z poleceniem przekazania jej dalej Rządowi Narodowemu, wydarzyło się wiele. Każdemu z etapów towarzyszyła czynność będąca od najdawniejszych czasów jednym z elementów budowania struktury państwowej. Wytwarzanie dokumentów.

Mogłoby się wydawać, że zmienność frontowych losów I wojny światowej, wojna polsko-bolszewicka, a następnie hekatomba II wojny światowej i dekady rządów komunistów wypaliły bezpowrotnie czarne dziury wśród najważniejszych polskich archiwaliów. W znacznej mierze niestety faktycznie tak jest. Rabunek i celowe niszczenie polskich zasobów, również w wymiarze dokumentacyjnym, ze strony Niemców i Sowietów wyrządziły straszliwe szkody. Z poczuciem ulgi, ale też archiwalną dumą możemy jednak powiedzieć, że dzięki skrupulatności pokoleń polskich archiwistów i dużej odwadze, a nierzadko konspiracyjnej pomysłowości i wcześniejszym systemowym rozwiązaniom bezpieczeństwa II RP lub późniejszym zabiegom dyplomatycznym oraz procesom rewindykacji, do naszych czasów przetrwały i trwają bezpiecznie w zasobie Archiwum Akt Nowych dokumenty, które obiektywnie można uznać za najważniejsze świadectwa odzyskania niepodległości. Kilka z nich mają Państwo przed sobą!

Tymczasowa Rada Stanu

Do naszych czasów zachowała się bogata dokumentacja Tymczasowej Rady Stanu – polskiego organu funkcjonującego od stycznia do sierpnia 1917 r. w ramach okupowanego przez siły niemieckie i austro-węgierskie Królestwa Polskiego jako realizacja ustaleń z tzw. aktu 5 listopada. Wśród jej członków, którzy objęli referaty będące zalążkami przyszłych ministerstw, znaleźli się tacy ludzie jak Józef Piłsudski, Wojciech Rostworowski czy Michał Łempicki.

Dyplom pamiątkowy otwarcia Tymczasowej Rady Stanu

Rada Regencyjna

Potężny zbiór unikatowych dokumentów z procesu odradzania się państwa

FOT. AAN

eprasa.pl 922094d2e9

Papeteria służbowa i pieczęć Gabinetu Cywilnego Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego

polskiego stanowi Gabinet Cywilny Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego w Warszawie. Kilkaset teczek zespołu zawiera m.in. archiwalia dotyczące wojskowości, oświaty czy spraw społecznych, korespondencję, projekty urzędów centralnych i przejmowania administracji, akty nominacji, a nawet dokumentację wczesnych działań rewindykacyjnych względem Rosji. Archiwalia te są bezcennym świadectwem ciężkiej pracy prowadzonej od października 1917 r. do listopada 1918 r. przez gabinet abp. Aleksandra Kakowskiego, Józefa Ostrowskiego i Zdzisława ks. Lubomirskiego. Odezwa Rady Regencyjnej z 7 października 1918 r. jest traktowana jako jedno ze świadectw odzyskania niepodległości. Podobnie jak dokumenty przekazania władzy – 11 listopada wojskowej, a 14 listopada 1918 r. zupełnej – Józefowi Piłsudskiemu z poleceniem przekazania jej następnie Rządowi Narodowemu.

Kancelaria Cywilna Naczelnika Państwa

Naczelnik Państwa Józef Piłsudski już 11 grudnia 1918 r. powołał specjalną kancelarię, która zajęła się bieżącą obsługą wszelkich aspektów administrowania odbudowywanym państwem. Zachowana korespondencja, treść dekretów i akty nominacji, wypełniające setki teczek zespołu, są obrazem tego, jak żmudnym dziełem było budowanie rzeczywistego połączenia wszystkich terytoriów, gdzie jesienią 1918 r. zawisły biało-czerwone flagi, w jeden organizm z jego administracyjnym sercem – Warszawą.

Akt przekazania władzy Józefowi Piłsudskiemu przez Radę Regencyjną 14 listopada 1918 r.

Komitet Narodowy Polski

Bez wątpienia jednym z najcenniejszych zespołów jest Komitet Narodowy Polski w Paryżu. W zasobie Archiwum Akt Nowych znajduje się ponad 2 tys. jednostek archiwalnych dokumentacji wytworzonej przez to polskie przedstawicielstwo przed ententą budowane od sierpnia 1917 r. w Lozannie i Paryżu przez środowisko Romana Dmowskiego, Ignacego Jana Paderewskiego, Jana Rozwadowskiego czy Erazma Piltza. To właśnie Komitet Narodowy Polski wystawił trzon delegacji, która wywalczyła uznanie Polski na arenie międzynarodowej podczas konferencji pokojowej w Paryżu.

Mistrzowski wirtuoz... polityki

Wśród wielkich zespołów zawierających materiały dotyczące odzyskania niepodległości nie możemy pominąć archiwum Ignacego Jana Paderewskiego. Stanowi ono wybitny zapis dążeń niepodległościowych widzianych i współkreowanych przez jednego z największych Polaków wszech czasów. Pozwala ono zrozumieć niuanse polityki prowadzonej na poziomie światowym, wśród najwyższej dyplomacji mocarstw, w której Mistrz udowodnił, że jest w stanie rozgrywać kluczowe sytuacje równie dobrze jak najbardziej skomplikowane utwory swych koncertów.

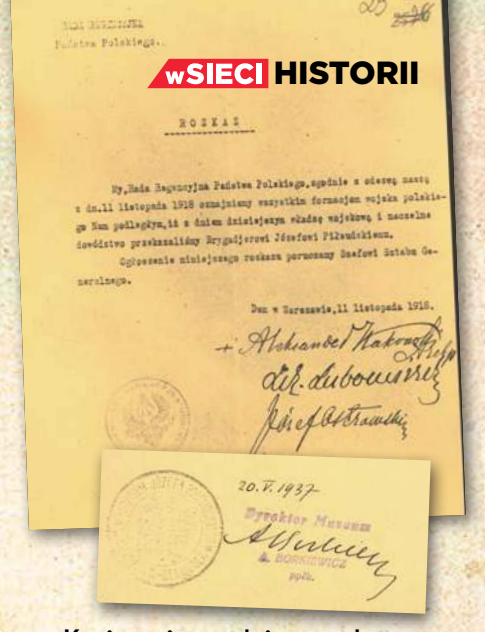

Kopia uwierzytelniona rozkazu Rady Regencyjnej przekazania władzy wojskowej Józefowi Piłsudskiemu z 11 listopada 1918 r., sporządzona w 1937 r. przez dyrektora Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze ppłk. Adama Borkiewicza

Co ważne, wszystkie wspomniane wyżej zespoły Archiwum Akt Nowych stoją przed Państwem otworem – są dostępne online na portalu www.szukajwarchiwach.gov.pl. Warto pochylić się nad nimi, aby zrozumieć, jak ważna, potrzebna oraz wymagająca w utrzymaniu jest niepodległość Polski. I nauczyć się traktować ją z takim poświęceniem, troską i sumiennością jak Oni.

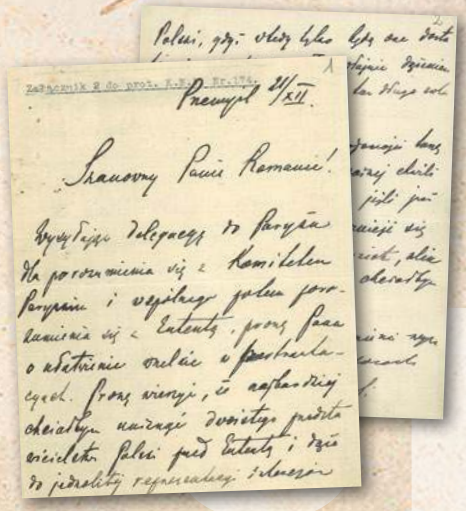

List Józefa Piłsudskiego do Romana Dmowskiego z 21 grudnia 1918 r. w sprawie wyłonienia jednolitej reprezentacji państwa polskiego przed ententą

eprasa.pl 922094d2e9

POLONEUTICHIA
Andrzeja Lubienieckiego.
Z RĘKOPISMÓW ZAKŁADU NAUKOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH.
Wiadomość o tém rękopismie i życiu Lubienieckiego zebrał
Alex. Batowski.
Wydanie zakładu naukowego imienia Ossolińskich.
WE LWOWIE.
1843.

POLONEUTICHIA
ROZDZIAŁ XIV.
Opisanie Interregni Króla Augusta.

POLONEUTICHIA
CZĘŚĆ WTORA
ROZDZIAŁ I.
O szwankowaniu w sławie.

ANDRZEJ LUBIENIECKI – ARIAŃSKI SARMATA

W DZIEJACH EUROPEJSKIEJ I POLSKIEJ REFORMACJI SZCZEGÓLNĄ UWAGĘ BADACZY SKUPIAŁA NA SOBIE GRUPA WYZNANIOWA, KTÓRA PRZESZŁA DO HISTORII POD NAZWĄ ARIAN LUB BRACI POLSKICH

HENRYK LITWIN

Wyodrębniła się ona z kalwińskiego nurtu protestantyzmu w latach 50. i 60. XVI w. przede wszystkim poprzez odrzucenie doktryny o Trójcy Świętej. Ruch ariański wypracował przy tym własną naukę społeczną, w której eksponowano hasło równości całego ludu Bożego. Bracia polscy na skutek swojego „antytrynitaryzmu" już w latach 70. XVI w. znaleźli się na marginesie ruchu protestanckiego w Rzeczypospolitej, a radykalne nauczanie o „ludzkiej naturze Chrystusa" poskutkowało ostrymi atakami ze strony katolickiej, kwestionującymi ich przynależność do chrześcijaństwa. Doktryna ariańska szerzyła się jednak i to głównie wśród szlachty, a jej myśl teologiczna rozwijała się intensywnie dzięki pracom rodzimych i napływowych intelektualistów. Rzeczpospolita pozostawała dla „antytrynitarzy" jednym z nielicznych bezpiecznych miejsc w Europie. Prześladowania spotykały ich bowiem zarówno w innych krajach katolickich, jak i pod panowaniem kalwinizmu oraz luteranizmu.

FOT. POLONA.PL

eprasa.pl 922094d2e9

W stanie świeckim

W galerii postaci braci polskich z XVI i XVII w. Andrzej Lubieniecki wyróżnia się zarówno ze względu na wielki szacunek, jakim cieszył się wśród swoich współwyznawców, jak i swój oryginalny dorobek pisarski. Urodził się w 1550 r. w jednym z majątków swojego ojca Stanisława, w województwie lubelskim. Wczesne dzieciństwo spędził w domu rodzinnym przenikniętym duchem protestantyzmu. W 1560 r. trafił do szkoły w Bychawie, prowadzonej przez miejscowy zbór ewangelicki. W latach 60. wprawiał się do działalności publicznej, towarzysząc ojcu uczestniczącemu w lokalnych synodach kalwinistów małopolskich, a także sejmikach i sejmach, m.in. sejmie unijnym w 1569 r. W 1572 r. udał się w podróż edukacyjną do Francji. Jej szczegółów nie znamy. Późniejsze wzmianki o Francji w pismach Lubienieckiego mogą świadczyć o jego służbie na dworze Karola IX i uczestnictwie w wykładach na akademii paryskiej. Był świadkiem uroczystego wjazdu poselstwa Rzeczypospolitej przysłanego do Paryża z oficjalną wiadomością o wyborze na tron polski księcia Henryka Andegaweńskiego i pertraktacji toczonych przez tę delegację na dworze Walezjuszy. Być może wrócił do kraju razem z poselstwem. W każdym razie był już w ojczyźnie w momencie niesławnej ucieczki króla Henryka z Krakowa i brał żywy udział w wydarzeniach drugiego bezkrólewia, kiedy opowiedział się za kandydaturą Stefana Batorego. Został dworzaninem nowego władcy i uczestniczył w co najmniej jednej z wypraw wojskowych tego monarchy w czasie wojny z Moskwą.

W stanie duchownym

Wojskowa i dworska kariera młodego szlachcica została jednak nieoczekiwanie przerwana, gdyż Lubieniecki postanowił poświęcić się służbie Bożej. Został duchownym ariańskim i rozpoczął pracę duszpasterską. Brak jest danych o dokładnej dacie jego „nawrócenia", ale wiadomo, że w 1584 r. pełnił już obowiązki kaznodziei w Śmiglu, w Wielkopolsce. Od tego momentu rytm jego życia wyznaczały obowiązki duszpasterskie i udział w sporach teologicznych – publicznych dysputach toczonych z duchownymi katolickimi, w czasie których bronił ariańskich poglądów kwestionujących istnienie Trójcy Świętej i uzasadniających doktrynę o ludzkiej naturze Chrystusa. Pracował jako ariański minister w Lublinie, Hoszczy na Wołyniu i wreszcie w Rakowie, czyli stolicy braci polskich w Rzeczypospolitej. Tu w latach 1612–1616 powstało jego najważniejsze dzieło „Poloneutichia abo Królestwa Polskiego szczęście, a przy tym i Wielkiego Księstwa Litewskiego...", zawierające wykład historii Polski od czasów Lecha do 1616 r.

DZIEŁO ANDRZEJA LUBIENIECKIEGO BYŁO PRACĄ HISTORYCZNĄ AFIRMUJĄCĄ OSIĄGNIĘCIA USTROJOWE SZLACHTY POLSKIEJ

Afirmacja ustroju, pochwała Zygmunta III, hołd dla wolności sumienia

Braci polskich uważa się często za prekursorów oświeceniowego racjonalizmu i zwykle ustawia w kontrze do szlacheckiej ideologii sarmackiej. Dzieło Andrzeja Lubienieckiego pozwala jednak na dostrzeżenie nieco innego wymiaru myśli ariańskiej. „Poloneutichia..." było bowiem pracą historyczną, afirmującą osiągnięcia ustrojowe szlachty polskiej. Uwypuklić trzeba przede wszystkim zamieszczony przez Lubienieckiego, naocznego świadka tych wydarzeń, entuzjastyczny opis dokonań króla Zygmunta Augusta i sejmu lubelskiego w 1569 r. Autor „Poloneutichii..." uznawał dzieło unii polsko-litewskiej za święte, co wyłożył w pompatycznej frazie, przypominającej mickiewiczowski zapis rozmowy o unii między Gerwazym i Protazym („Wszak to jak małżonków dwoje / Bóg złączył, czart rozłącza"): „Bo jako państw tych złączenie się zaczęło, zawżdy się szatan o to starał, aby je rozerwał". Jego pozytywna ocena unii objęła zresztą nie tylko umocnienie związków Polski i Litwy. Przedstawił on też własny pogląd na znaczenie inkorporacji Wołynia i Kijowszczyzny do Korony, pisząc: „Obywatele wołyńscy [...] do wolności całych przypuszczeni, bo do onego czasu byli na poły osłami lub niewolnikami litewskimi".

Władysław Jagiełło

Niezwykle ciekawe są dokonywane przez Lubienieckiego oceny poszczególnych władców polskich. Jego ulubionymi bohaterami są Władysław Jagiełło, Zygmunt August i Zygmunt III. Najciekawszym fragmentem dzieła są właśnie peany arianina wypisywane na cześć Zygmunta III, który przez historyków XIX- i XX-wiecznych piętnowany był często jako uosobienie nietolerancji. Lubieniecki nie mógł się nachwalić potomka szwedzkich władców, o którym pisał, że „wszystko w królu jego miłości jest nasze [...], niechże mi wolno będzie króla jego miłość i zacne potomki jego zwać familią Jagiełłową". Apologia Zygmunta dokonana przez autora „Poloneutichii..." nie była retorycznym chwytem, ale opierała się na licznych konkretnych argumentach. Dziejopis przypisał monarsze szereg zasług w polityce zagranicznej i działaniach militarnych – zwycięstwo nad Moskwą i odzyskanie Smoleńska, zlikwidowanie zagrożenia, jakie dla Rzeczypospolitej i jej interesów w regionie naddunajskim stanowił Michał zwany później Walecznym, zatrzymanie agresji »

Zygmunt August

FOT. POLONA.PL (2X)

eprasa.pl 922094d2e9

Szwedów w Inflantach. Uznał za wielkie wzmocnienie międzynarodowego prestiżu Rzeczypospolitej zwycięstwa, które uczyniły więźniami króla arcyksięcia Maksymiliana, a potem cara Wasyla Szujskiego: „Czyż nie miało to być sławno po wszystkim chrześcijaństwie?”. Znalazł też wiele powodów do pochwał za politykę wewnętrzną monarchy: „Nawigacja do czterech miast portowych (Gdańsk, Królewiec, Elbląg, Ryga) w rezę wprawiona”, „Ukraina nasza kijowska, bracławska i podolska tak osiadła i zbudowała się [...], ze to stoi jak wielki mur od Tatar”, „wiele miast i zamków w krótkim czasie stanęło”, „kilka rzek dobrych przeprawiono dla nawigacyjej”, „zniesiono duella (pojedynki) chrześcijanom nieprzystojne”, „obostrzono prawo [...] na mężobójce, na swawolniki i najezdniki”. Wielkie uznanie Lubienieckiego wzbudziły też inne regulacje wprowadzone przez Zygmunta: „włożył to na się i potomki swe, że nie ma na dworze swym cudzoziemców chować”, „obmyślił dochody swe z dobrego sporządzenia żup, ceł, myt” i innych przychodów, „także rząd co dalej to lepszy z strony poborów (czyli podatków od dóbr ziemskich)”, „na każdym sejmie przyzwala na wszystko, co do poprawy praw i wolności naszych i do sprawiedliwości sobie być pożytecznego rozumiemy” itd. Jak widać, Lubieniecki stworzył niezwykle pozytywny obraz panowania Zygmunta III, okresu politycznej stabilizacji i gospodarczego rozwoju.

Zygmunt III Waza

Najciekawsze były jednak uwagi arianina o polityce wyznaniowej Zygmunta III. Przypomniał, że król poprzysiągł „konfederacją inter dissidentes in religione christiana i do niej obiecał proces albo egzekucją na violatores (gwałcicieli) tej konfederacyjej przydać”. „Czyż nie cichoż nam było w Polszcze i w Litwie za tymi przysięgami?” pytał dalej retorycznie, przyznając wprawdzie, że „tu i ówdzie dostało się gwałtu ścianom zborowym od swawolników”. Pointa była jednak ostrożnie pozytywna, „ale patrząc na to co w postronnych królestwach się działo [...], jeszcze to nie za największą krzywdę ludzie baczni mają”.

Przypominając apologiczny ton Lubienieckiego w opisie dziejów panowania Zygmunta III, nie można zapominać, że ta deskrypcja była wstępem do opisania tragicznych wydarzeń z 1611 r., kiedy doszło do procesów i okrutnej kaźni dwóch działaczy reformacyjnych – arianina Iwana Tyszkowica i kalwinisty Franco de Franco. Obaj zostali skazani na śmierć za bluźnierstwo, obaj odmówili konwersji na katolicyzm, która mogła uratować ich życie i w obu przypadkach wyroki wykonano. Lubieniecki opisał oba procesy, a ich ofiary uznał za męczenników za wiarę. Orzekł także, iż stanowiły one naruszenie tej wolności, która stanowiła opokę Rzeczypospolitej, zaś liczne nieszczęścia spadające na kraj w kolejnych latach zinterpretował jako karę Bożą – „szwankowanie szczęścia Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego w roku 1612 i 1613”. Niemniej wykład historii sformułowany przez Lubienieckiego stanowi manifestację arianizmu uczestniczącego w budowaniu „wspólnego pożytku”, a nie ideologii dysydenckiej. Autor „Poloneutichii...” widział możliwość współistnienia wyznań i – jak się zdaje – gotów był nawet akceptować realną dominację katolicyzmu, domagając się jednak zaniechania wszelkich prześladowań mniejszości. W jego przekazie dominowała nie tyle solidarność wyznaniowa, ile wierność zasadzie swobody sumienia.

Dodać trzeba, że Lubieniecki nie zdecydował się nigdy na publikację swojej pracy. Przetrwała ona w rękopisie, który uległ zniszczeniu w 1944 r., kiedy spłonęła w czasie powstania warszawskiego Biblioteka Krasińskich. Z trzech znanych rękopiśmiennych odpisów kroniki do naszych czasów przetrwały dwa, które stały się podstawą edycji krytycznej, wydanej drukiem w 1982 r. Istnienie odpisów może potwierdzać fakt, że mimo braku publikacji za życia autora, jego dzieło było znane przynajmniej w środowisku braci polskich.

Piewca wolności i różnorodności

W 1620 r. Lubieniecki opuścił Raków i poniechał pełnienia funkcji ministra zborowego. Przeszedł na swoistą emeryturę i mieszkał odtąd w majątkach swojej rodziny, przyjaciół i współwyznawców. Najpierw w Wysokiem u brata Pawła, potem w Krupem u Orzechowskich, a wreszcie w Siedliskach u Suchodolskich. Tam też zmarł 6 lutego 1623 r.

Lubieniecki nie odwoływał się w swej księdze do mitu sarmackiego. Pisząc o genezie państwa polskiego, przypisywał zasługę jego utworzenia „Lechowi, książęciu słowieńskiemu”. Jednocześnie za największe osiągnięcie państwa, w którym żył, poczytywał „wielkie szczęście, gdy Pan Bóg [...] tak wielu synów różnych matek, różnego ćwiczenia i języków i nabożeństw [...] w dobrym rządzie, swobodzie, opatrzeniu, zgodzie i wczasie (spokoju) zachowywa”, a panującej w tym państwie wolności „od stworzenia świata aż do naszych czasów nic równego w żadnym państwie nie widzimy”. Wewnętrzne zróżnicowanie Rzeczypospolitej w połączeniu ze spajającą państwo ideą wolności ariański dziejopis uznawał za wielką zdobycz, czym wpisywał się w szereg wielbicieli „Korony sarmackiej”.

Dom ministra ariańskiego w Rakowie wzniesiony w pobliżu zboru Braci Polskich na początku XVII w.

FOT. WŁODZYMIERZ KRZYSZTOF/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, ARIANUS/WIKIPEDIA

eprasa.pl 922094d2e9

JAN SŁOMKA, ZNANY PRZED WOJNĄ, DZIŚ – POZA TARNOBRZEGIEM – JEST PRAWIE NIEZNANY. W 1912 r. W KRAKOWIE UKAZAŁY SIĘ JEGO „PAMIĘTNIKI WŁOŚCIANINA OD PAŃSZCZYZNY DO DNI DZISIEJSZYCH"

Jan Słomka – *wójt z Dzikowa i chłopski pozytywista*

FOT. NAC

JACEK JAKUBIEC

Bohater tego artykułu to – po tzw. kądzieli – mój pradziadek. Chcę uniknąć konstatacji i ocen subiektywnych, o co łatwo, gdy narracja wkracza w wątki rodzinne piszącego. Proszę cię zatem, czytelniku, o wyrozumiałość.

Gospodarz Jan Słomka

W Galicji z końca XIX w. z przysłowiową nędzą na wsi szła w parze autonomia i możliwość kultywowania polskości. To w tej dzielnicy, a konkretnie w Dzikowie, 22 czerwca 1842 r. w rodzinie włościańskiej urodził się Jan Słomka. Ojciec Józef, pochodzący zza Wisły, po ślubie z Jadwigą z Gierczyków osiadł na sześciomorgowym gospodarstwie, które było ślubnym wianem małżonki. Jan był najstarszym z ośmiorga dzieci tej pary. Pracy było dużo tylko zimą, w czas wolny od prac polowych wysyłała go więc matka do szkoły. Przymus szkolny nie istniał, a wielu gospodarzy nie czuło potrzeby posyłania dzieci po naukę.

U Słomków było inaczej. Sprzyjało temu sąsiedztwo dworu Tarnowskich. Początki edukacji pobierał Jan w dworskiej szkółce hr. Gabrieli Tarnowskiej, potem w szkole ludowej w Tarnobrzegu. Musiała to być dobra nauka, skoro przy tak skromnej dawce edukacji wyrósł na osobowość wybitną, znawcę lokalnych obyczajów i – szerzej – ówczesnych problemów ojczyzny. Miały na to wpływ katolickie wychowanie i przede wszystkim osobiste walory ducha, umysłu oraz charakteru. Nasuwa się określenie „self-made man", opisujące taki typ członków nacji amerykańskiej.

Los wcześnie zmusił Jana do radzenia sobie. Miał 10 lat, gdy stracił ojca, który został zastrzelony nad Wisłą, podobno omyłkowo, przez straż graniczną. Pięć lat później zmarł jego dziadek Józef Gierczyk, a następnie jego młoda, 33-letnia matka. Miał 15 lat, gdy wspomagany radami babki i stryja przejął całe gospodarstwo i opiekę nad siedmiorgiem młodszego rodzeństwa. Podołał tym trudom, stając się dobrym, samodzielnym i cenionym w okolicy gospodarzem. Kiedy miał 19 lat, mógł się „dobrze ożenić". Wybranką serca została Maria Tworek, bogata panna z pobliskiego Miechocina. Oboje głęboko religijni, stworzyli mocną rodzinę. W tym małżeństwie przyszło na świat dwanaścioro dzieci. Czworo zmarło wcześnie, a wychowało się ośmioro: trzej synowie i pięć córek. Słomka przyszłość dzieci wiązał z dobrym wykształceniem.

Gospodarstwo Jana powiększyło się z 6 do 13 mórg (ok. 7,5 ha). Nie był to wielki areał, ale Słomka nie byłby sobą, gdyby jako rolnik nie działał nowocześnie. Stosował płodozmian i nieraz wbrew opiniom doświadczonych sąsiadów wdrażał postęp w uprawie roli oraz hodowli zwierząt. Szukał też dodatkowych źródeł dochodu. Uruchomił cegielnię i piece do wypalania wapna, a także handlował »

eprasa.pl 922094d2e9

» drewnem. Zarówno ekonomiczna baza bytowania, jak i szczególna potrzeba dawania przykładu innym sprawiły, że jako pierwszy rolnik w Dzikowie postawił murowany dom, zwany kamienicą Słomkową, stojący dziś przy ul. Jasińskiego w Tarnobrzegu. Inną sensacją, jaką wywołał, był zakup nieznanego sprzętu. Był to duży zegar ścienny – powód wizyt i obiekt podziwu sąsiadów.

Społecznik, samorządowiec, obywatel

Jan umiał łączyć troskę o sprawy rodziny i gospodarstwa z publicznymi obowiązkami. W 1873 r., gdy miał 31 lat, powierzono mu urząd wójta gminy Dzików. Po niepiśmiennym poprzedniku przejął pieczęć gminną, parę dokumentów, a całą wójtowską pracę musiał zorganizować od zera. Pełnił funkcję wójta 45 lat z przerwami i był ceniony w całej Galicji. Miał nie byle jakie osiągnięcia. Jak pisze jego biografka Bożena Staszczak, wtedy właśnie wybudowano siedzibę urzędu gminnego, utworzono kasę pożyczkową, rzeźnię i cegielnię. Uregulowano drogi w gminie, osuszono błota i bagna, wytyczono i ogrodzono pastwiska, zagospodarowano nieużytki. Słomka duży nacisk kładł na edukację młodzieży i poprawę bytu współmieszkańców. Zorganizował Kasę Oszczędności i Pożyczek, Kółko Rolnicze i Straż Ogniową. Był człowiekiem światowym. „Chętnie uczestniczył we wszelkich uroczystościach o charakterze patriotycznym i narodowym. W roku 1883 był z żoną w Krakowie na uroczystościach dwusetnej rocznicy odsieczy Wiednia. [...] w roku 1890 na uroczystościach sprowadzenia zwłok Adama Mickiewicza na Wawel, a w 1910 roku brał udział w obchodach 500-nej rocznicy zwycięstwa Polaków pod Grunwaldem. Zwiedził też wielką wystawę krajową zorganizowaną we Lwowie w 1894 roku [...], był uczestnikiem obrad XIII Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego odbywającego się w 1912 roku w Wiedniu" – czytamy u Bożeny Staszczak.

Za całokształt pracy administracyjnej i działalność społeczną wójt dzikowski został dwukrotnie nagrodzony. W 1899 r. otrzymał od cesarza Franciszka Józefa Srebrny Krzyż Zasługi z koroną, który zwrócił na znak protestu wobec polityki austriackiej w stosunku do ziem polskich w 1918 r. A 11 lat później wraz z grupą kilkuset włościan z całego kraju otrzymał polski Złoty Krzyż Zasługi. Miał wtedy 88 lat. Jak pisze Bożena Staszczak – to odznaczenie „potraktował nie tylko osobiście, ale też jako docenienie przez najwyższe władze państwowe całej warstwy chłopskiej, tych co »żywią i bronią«, a także rolnictwa jako podstawowej gałęzi bogactwa narodowego".

Pamięć o długoletnim wójcie Dzikowa utrwala tablica odsłonięta przez bp. Ignacego Tokarczuka w 1977 r. na frontonie tarnobrzeskiego kościoła oo. Dominikanów.

Pamiętnikarz

Opus vitae wójta z Dzikowa to „Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych". Dzieło cenione przez etnologów i badaczy polskich dziejów. Norman Davies przywołuje je w „Bożym igrzysku", gdy dowodzi, iż rzeczywista świadomość narodowa i patriotyzm na polskiej wsi narodziły się w II połowie XIX w., ergo w epoce Jana Słomki, a on sam miał w tym swój udział. Nie dysponując warsztatem badawczym, umiał gromadzić i utrwalać obfite dane oraz informacje z wielu dziedzin życia.

W warstwie historycznej „Pamiętniki" sięgają do „rabacji" Jakuba Szeli, opisany jest dramat powstania styczniowego, a w wydaniu z 1929 r. także czas wojny z epizodem „republiki tarnobrzeskiej" i pierwsze lata Polski już niepodległej. Akcentem końcowym jest pożar, który w noc wigilijną 1927 r. strawił dwór hrabiów Tarnowskich w Dzikowie.

Historia interesowała autora „Pamiętników", ale główna materia dzieła to jakże wiarygodny opis dzikowskiego „tu i teraz". Poza kronikarską faktografią dowiadujemy się o warunkach życia, zwyczajach, obyczajach i kulturze wsi galicyjskiej, o plonach, cenach, a także o handlu i rzemiośle. Jak rozwijał się polski sektor gospodarczy, bo był też żydowski. Z problemem żydowskim musiał wójt Słomka zmierzyć się w niebagatelnej skali. Opis współbycia dwóch nacji, podany językiem kronikarskiego zapisu, nawet przy złej woli nie pozwala autora posądzić o prymitywną żydofobię. On sam mocno angażował się w obronę polskiego interesu narodowego, a jako wójt działał

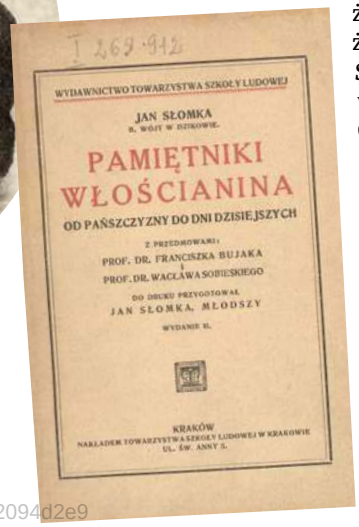

Pierwszy Zarząd Spółkowej Kasy Oszczędności i Pożyczek w Tarnobrzegu, Jan Słomka 1. z prawej

FOT. JACEK HALICKI/WIKIPEDIA; BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl 922094d2e9

FOT. NAC

Dwór Tarnowskich w Dzikowie

zręcznie, można powiedzieć z klasą i był szanowany przez obydwie nacje. Wartość – powtórzmy tytuł w pełnym brzmieniu – „Pamiętników włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych" jest oczywista i trudna do przecenienia. Wybitny historyk literatury prof. Stanisław Pigoń (1885–1968), również mający chłopskie pochodzenie, uznał „Pamiętniki" za najbardziej bogate i miarodajne dzieło opisujące polską wieś i jej przemiany w II połowie XIX w. i na początku XX w. W książce „Złowrogi cień Marszałka" wspomniał go też Rafał A. Ziemkiewicz, polemizując z przypisywaniem Piłsudskiemu nadmiaru, jeśli nie wyłączności zasług w odzyskaniu niepodległości, i przypominając ludzi wytrwałej pracy organicznej, mających udział w budowaniu świadomości narodowej na polskiej wsi. Słomka oczywiście miał swoje polityczne credo. Ten katolik i patriota, przeciwny próbom bolszewizacji Polski, praktykował dekalog republikański. Był konserwatystą, ale konserwatystą światłym, otwartym na postęp i osobiście wdrażającym go na dostępnych mu polach. Czy można go zaliczyć do formacji endeckiej? Poniekąd tak. Ale czy postawę wójta z Dzikowa kształtowała doktryna Dmowskiego? Roman Dmowski (1864–1939) był dużo młodszy od Jana Słomki. Może raczej znany samorządowiec był jakąś inspiracją dla Dmowskiego? To luźna hipoteza, ale jest tu dodatkowy trop. Otóż syn dzikowskiego wójta, Jan Słomka II (Jan Słomka Młodszy), był z Narodową Demokracją związany jako sekretarz Romana Dmowskiego. Bliskim mu, skoro Dmowski był ojcem chrzestnym jego syna, Jana Słomki III (nieżyjący już geofizyk, klimatolog).

Wartość literacka „Pamiętników" zasługuje na odrębne oceny. Poruszę tylko istotną kwestię związaną z autorstwem. Jest ono oczywiste, ale godzi się przywołać osobę syna autora. W pierwszych wydaniach, na stronie tytułowej, jest adnotacja, iż „Do druku przygotował Jan Słomka Młodszy". W przedmowie do pierwszego wydania autor wyjaśnia: „Przy tym syn mój, gdy odbywał studia uniwersyteckie, przysłuchując się moim opowiadaniom o dawniejszych czasach, zachęcał mnie niejednokrotnie do pisania Pamiętników, a skoro zabrałem się do tej pracy, porządkował wzrastający materiał uzupełniał miejscami na podstawie moich wyjaśnień, zaopatrywał w przypisy, słowem, przygotował do druku [...]".

Czytając „Pamiętniki", można się zastanawiać, czy to język ojca, czy syna. Ojciec – zdolny i stale poszerzający horyzonty intelektualne samouk – był obyty w różnych środowiskach i obok chłopskiej gwary (ślady są w „Pamiętnikach") władał dobrą polszczyzną, czego dowodzą jego dokumenty i listy. Ale syn, student, a potem historyk z uniwersyteckim cenzusem, mógł mieć placet ojca, aby język dzieła, gdzie trzeba, nieco „podrasować". Adnotację ze strony tytułowej można więc odczytać jako podziękowanie ojca dla syna, ale też jako dyskretny sygnał o roli młodego Słomki, poniekąd współtwórcy unikatowego dzieła.

Rodzina, potomkowie

Pisząc o wójcie z Dzikowa, godzi się wspomnieć o jego rodzinie. Była dla ówczesnych polskich realiów typowa, ale też pozytywnie wyjątkowa. Wspominany Jan Słomka II (1877–1945), historyk po UJ, był w latach 30. dyrektorem gimnazjum w Żninie. Nauczycielskie tradycje kontynuowała też najmłodsza z córek dzikowskiego wójta, Maria ze Słomków Jędralowa (1985–1972), moja babka. Wspólnie z mężem, także nauczycielem, Walentym Jędralem, prowadziła ludowe szkoły we Wrzawach, a potem w sąsiadującym z Dzikowem Zakrzowie. Moja matka również wybrała nauczycielski fach. W latach 70. uczyła we wrocławskim Technikum Żeglugi Śródlądowej. Pamięć zasłużonego dla Zakrzowa kierownika szkoły uczcili jego mieszkańcy, czyniąc Walentego Jędralę patronem jednej z ulic. Kolejna postać, którą przypomnę, to wnuczka Jana Słomki, Róża Farbisz-Kijankowa (1903–1983). Ukończyła ona Wydział Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. Uprawiała malarstwo sztalugowe, malując martwą naturę, kwiaty i pejzaże. Przez wiele lat mieszkała w Jeleniej Górze. Ponadto również praktykowała fach nauczycielski, ucząc rysunku i plastyki.

Podsumowanie

Postać wójta z Dzikowa nie przystaje do dzisiejszych realiów. Od czasu, gdy pisał „Pamiętniki", minęło ponad 100 lat, ale... ileż dziejowych epok minęło po drodze, nie mówiąc o szalonym tempie przemian technologicznych! A jednak! Gdy rozglądamy się za sprawdzonymi wzorcami obywatelskości czy – po prostu – zacnego życia, warto o Janie Słomce pamiętać. Jest tam, gdzie żył i pracował. Upamiętniająca go tablica w kościele w Tarnobrzegu poza innymi zasługami Jana Słomki zawiera wymowny adres „apostołowi trzeźwości". To, co autor „Pamiętników włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych" uważał za ważne przesłanie, oddaje dedykacja wpisana do egzemplarza, który podarował jednemu z członków rodziny.

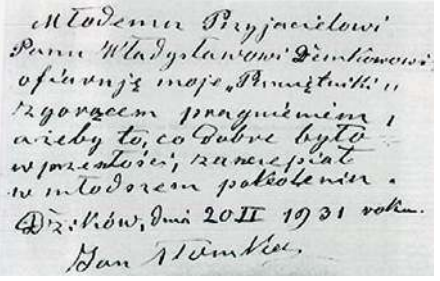
Młodemu Przyjacielowi
Panu Władysławowi Dziemkowowi
ofiaruję moje „Pamiętniki"
z gorącem pragnieniem,
ażeby to, co Dobre było
w przeszłości, zaszczepiał
w młodszem pokoleniu.
Dzików, dnia 20 II 1931 roku.
Jan Słomka

Młodemu Przyjacielowi Panu Władysławowi Dziemkowowi ofiaruję moje „Pamiętniki" z goracem pragnieniem, ażeby to co Dobre było w przeszłości zaszczepiał w młodszem pokoleniu.

Dzików, dnia 20 lutego 1931 roku.
Jan Słomka

eprasa.pl 922094d2e9

„DZIEŁO" JUDY BATALION

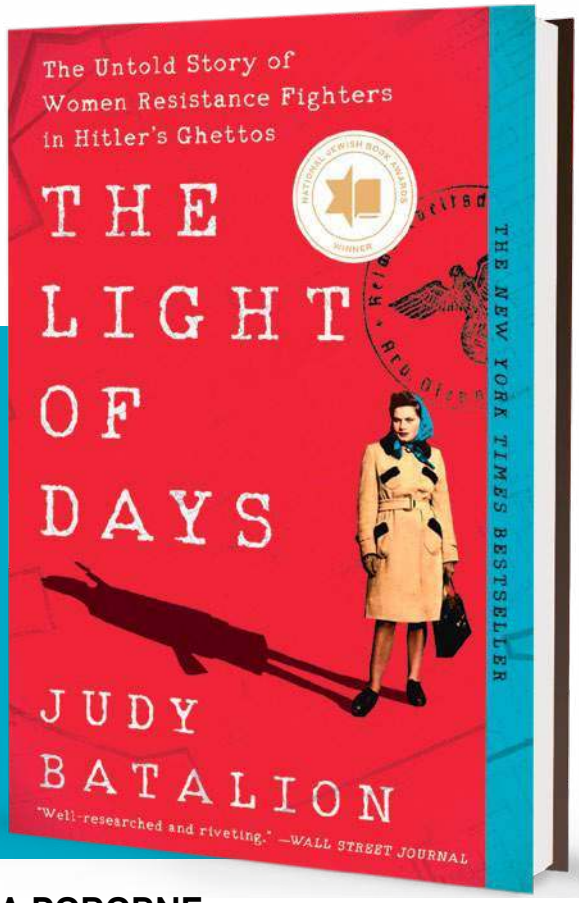

MUSI BYĆ OGROMNE ZAPOTRZEBOWANIE NA PODOBNE PUBLIKACJE W USA. DLACZEGO JEDNAK TEN TANDETNY IMPORT JEST PROMOWANY PRZEZ INSTYTUCJE POLSKIE?

LESZEK ŻEBROWSKI

Publikacja książki Judy Batalion pt. „The Light of Days. The Untold Story of Women Resistance Fighters in Hitler's Ghettos" stała się ewenementem. Na całej przedniej stronie „The New York Times – Sunday Review" (21 marca 2021 r.) zamieszczono fotografię z krzyczącym napisem: „Kobiety walczące z nazistami z żydowskiego ruchu oporu: rzucały koktajlami Mołotowa, bombardowały linie kolejowe i flirtowały z nazistami, a następnie ich zabijały". Wewnątrz podano epizody nawiązujące do tej treści, o czym poniżej.

Są liczne tłumaczenia tej opasłej książki na różne języki (ukazało się dotychczas 18 obcojęzycznych wydań, mają być kolejne). Będzie film wyreżyserowany przez samego Stevena Spielberga. Książka jest promowana na uczelniach oraz w United States Holocaust Memorial Museum. Mamy więc do czynienia z szeroko zakrojoną i szczodrze finansowaną akcją. Wkrótce ma się ukazać polskie wydanie. Do promocji książki dołączyły się m.in. Instytut Polski w Brukseli oraz Muzeum Getta Warszawskiego.

Oto charakterystyczne przygody bohaterek książki Judy Batalion. Próba weryfikacji tych spektakularnych wydarzeń natrafiła jednak na poważne problemy.

Niuta samodzielnie sprzątnęła pięciu nazistów

„W roku 1943 Niuta Teitelbaum weszła do mieszkania gestapowców przy Chmielnej w centralnej Warszawie, gdzie natknęła się na trzech nazistów. 24-letnia Żydówka, przed wojną studentka historii na UW, była zapewne w charakterystycznym przebraniu chłopki, z chustą splecioną wokół blond włosów z warkoczami. Zarumieniła się, uśmiechnęła się, a potem wyciągnęła broń i zaczęła strzelać. Dwóch gestapowców zginęło, jeden został ranny. Niuta jednak nie odpuściła. W lekarskim fartuchu weszła do szpitala, w którym leżał ranny, i zabiła zarówno nazistę, jak i pilnującego go policjanta". W tym opisie brawury Niuty (Rywy) Tajtelbaum Judy Batalion powołuje się na hagiograficzną książkę Anki Grupińskiej oraz na podobne publikacje pozbawione jakiejkolwiek bazy naukowej. Natomiast wiarygodne źródła twierdzą coś innego.

Akcja specgrupy Sztabu Głównego Gwardii Ludowej na ul. Chmielnej opisywana jest zwykle bez daty, podania dokładnego lokalu, konkretnych danych o zabitych. Bazując na nieujawnionych źródłach, Tomasz

FOT. KONRAD TOMASZEWSKI/RADIO WNET

eprasa.pl 922094d2e9

Strzembosz w książce „Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939–1944” (Warszawa 1983) podał, że było to działanie wymierzone przeciwko trzem agentom Gestapo. Oprócz Niuty („Wandy”) w tej operacji mieli brać udział Franciszek Bartoszek („Jacek”) oraz Jan Wyszyński („Wyga”). Niedoszłą ofiarę (mężczyznę) przewieziono do lecznicy „Omega” w Al. Jerozolimskich, gdzie po kilku dniach jego oraz pilnującego go policjanta Niuta miała zastrzelić.

Najwięcej o tej akcji napisał Jerzy Duracz („Felek”), jedyny członek specgrupy, który przeżył wojnę. Jego opis nie pasuje jednak do danych Strzembosza. W rozległej relacji nagranej w Izraelu w 1972 r. Duracz ujawnił szczegóły: „Trudno mi dziś jest ustalić dokładną datę akcji, o której będę mówił. W każdym razie miała ona miejsce gdzieś między 25 marca a 1 maja – chyba. A na pewno między 25 marca a 15 maja. Była to akcja na trzech żydowskich agentów Gestapo, którzy ukrywali się na Chmielnej w pobliżu Żelaznej. Byli to ludzie z kręgu Kohna i Hellera, i trudnili się rozpoznawaniem Żydów ukrywających się poza gettem. Wyrok na nich zapadł z ramienia naszej organizacji. W wykonaniu wyroku brali udział: »Jacek« [Franciszek Bartoszek], »Tadek« [Zygmunt Bobowski], Niuta Tajtelbaum i ja. Weszliśmy na pierwsze piętro, do mieszkania zajmowanego przez tych gestapowców i po [sic] odczytaniu im wyroku w języku polskim i przez Niutę w języku żydowskim – ostatecznie »Jacek« i »Tadek« wykonali wyrok”.

Duracz wspomina o incydencie w klinice „Omega” w całkiem innym kontekście, w związku z wcześniejszą nieudaną likwidacją gestapowca, który ranny i nieprzytomny trafił do tej kliniki: „Niuta poszła z kwiatami do »Omegi«, dostała się do pokoju, gdzie leżał gestapowiec. [...] a kiedy [dyżurna] siostra wyszła, Niuta ostatecznie dobiła tego gestapowca”.

Czy istnieje potwierdzenie opisanych akcji? W niekompletnej kronice policyjnej z tego okresu znajduje się wpis o przybliżonej akcji dokonanej 22 marca 1943 r. przez niesprecyzowaną grupę, ale na mieszkanie żydowskich agentów Gestapo przy Al. Jerozolimskich (Dariusz Libionka, „Zapisy dotyczące Żydów w warszawskich kronikach policyjnych z lat 1942–1944”, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały”, nr 10 (2014): „O godz. 20-ej do mieszkania nr 22 domu 26 przy Al. Jerozolimskich przybyło 7-miu uzbrojonych w rewolwery mężczyzn, którzy po sterroryzowaniu domowników weszli do pokoju Tadeusza i Marii Rembowskich (znanych agentów Go żydów). W pokoju u Rembowskich pozostali do godz. 7.30 rano następnego dnia. Przed wyjściem zastrzelili Rembowskiego i ciężko ranili Rembowską, która została przewieziona do lecznicy Omega”.

MAMY DO CZYNIENIA Z AKCJĄ ZMYŚLONĄ. JEŚLI W OGÓLE PODJĘTO SIĘ WYSADZENIA POCIĄGU, BYŁ TO RACZEJ CAŁKOWITY NIEWYPAŁ

Czyżby to byli kolejni agenci żydowscy zlikwidowani w tym samym miesiącu? Nie za bardzo wiemy, jak przebiegła akcja na Chmielnej. Z całą pewnością nie była przeprowadzona tak, jak przedstawiła to Judy Batalion.

Rzekome wysadzenie pociągu pod Wilnem

„W Wilnie Rużka Korczak znalazła w bibliotece fińską broszurę o tym, jak robić bomby – stała się ona książką kucharską konspiracji. Jej towarzyszka Witka Kempner włożyła pod swój płaszcz prymitywny ładunek wybuchowy, wymknęła się z getta i wysadziła niemiecki pociąg zaopatrzeniowy w 1942 roku. Wileński ruch oporu uciekł z getta do walki w lasach, gdzie obie kobiety dowodziły oddziałami”.

Kolejny przykład jest bardziej problematyczny, i to z kilku względów. Powstały równolegle dwie sprzeczne wersje spektakularnego wysadzenia pociągu pod Wilnem, dokonanego przez żydowskie podziemie: Abrahama Suckewera oraz Aby Kownera. Obaj byli związani z Farejnikte Partizaner-Organizacje (FPO) – Zjednoczoną Organizacją Partyzancką. Rzekoma eksplozja wykoleiła mnóstwo wagonów, spowodowała śmierć wielu żołnierzy niemieckich i ponoć okrutny odwet na pobliskiej ludności.

Według Suckewera (opis pochodzi z „Czarnej księgi” I. Ehrenburga i W. Grossmana) wysadzenie pociągu miało miejsce w maju 1942 r. (data niesprecyzowana). Decyzję w tej sprawie podjął Icchak Wittenberg, komendant FPO, w obecności Suckewera. Zadanie zrobienia miny oddano Boruchowi Goldsteinowi, „ekspertowi od produkowania broni”. Kiedy grupa sabotażystów oddaliła się od torów i znalazła schronienie w lesie, położona przez nich mina wybuchła. Eksplozja miała spowodować zniszczenie 12 wagonów, zginęło jakoby 200 Niemców!

Kowner twierdzi natomiast, że to on własnoręcznie skonstruował minę na podstawie owego fińskiego pisemka. Wysadzenie pociągu miało mieć miejsce 8 czerwca 1942 r. (Zob. Y Bauer, N. Rotenstreich, „The Holocaust As Historical Experience. Essays and a Discussion”). Mamy więc do wyboru dwie daty: maj lub czerwiec. Historyk Arūnas Bubnys podaje pierwszą datę, a Dina Porat z Yad Vashem – drugą.

Powołując się na pamiętnik Szmerke Kaczergińskiego, też członka FPO, historyk Yitzhak Arad, były dyrektor Yad Vashem, przyjmuje trzecią datę: 8 lipca (Zob. Y. Arad, „Ghetto in Flames. The Struggle and Destruction of the Jews in Vilna in the Holocaust”). W ręcznie napisanym zeszycie Witki Kempner data akcji została wymazana.

Jak to wszystko pogodzić? Czy istnieje potwierdzenie tej akcji w jakichkolwiek niezależnych źródłach?

W kronikach Żydów zamieszkałych w getcie wileńskim – Zelig Kalmanovitch („A Diary from the Ghetto in Nazi Vilna”), Herman Kruk („The Last Days of the Jerusalem of Lithuania. Chronicles of the Vilna Ghetto and the Camps, 1939–1945”) oraz Grigorii Shur (Jewrei w Wilno. Chronika 1941–1944 gg.) »

eprasa.pl 922094d2e9

» – w ogóle nie ma wzmianki o takiej akcji – rzekomo opisanej w prasie podziemnej, choć ci autorzy zanotowali inne sabotaże z tego okresu.

Polska prasa konspiracyjna („Niepodległość", „Droga Wolności") oraz raporty wywiadowcze AK („»Korweta«. Referat 999 Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II Komendy Głównej Armii Krajowej. Raporty XII 1941–V 1943") również milczą na ten temat, choć zawierają informacje o innych wykolejeniach pociągów. Także w niemieckich meldunkach nie ma śladu akcji pod Wilnem, choć podaje się tam informacje o innych zamachach kolejowych, np. w Kalnėnai 21 maja 1942 r. (Zob. „Deutsche Berichte aus dem Osten 1942–1943. Dokumente der Einsatzgruppen in der Sowjetunion. Band III".)

Prawdopodobnie mamy więc do czynienia z akcją zmyśloną. Ale jeśli w ogóle podjęto się wysadzenia pociągu, był to raczej całkowity niewypał.

Jest jeszcze gorzej

Czy mogłoby być nawet gorzej? Niestety. Judy Batalion nie cytuje źródeł historycznych. Nawet nie podaje miesiąca, w którym pociąg wysadzono. W kilku swych relacjach Witka Kempner wyraźnie zaznaczyła, że po podłożeniu miny uczestnicy oddalili się od torów. Natomiast Batalion powtarza przebieg akcji wprost fantastyczny – rozpowszechniony przez amerykańskiego żurnalistę Richa Cohena („The Avengers", 2000). Kiedy nadjechał pociąg, doszło do gigantycznej eksplozji, która wykoleiła wagony. Witce to nie wystarczyło: jeszcze podbiegła do pociągu i rzucała granaty wzdłuż wagonów! „Witka biegła wzdłuż wraku, rzucając gettowe granaty – blaszane puszki wypełnione śrubami i nakrętkami odpalane przez lont. Niemieccy żołnierze wyszli z pociągu i zaczęli strzelać z pistoletów. [...] Jeden z Niemców ustawił karabin maszynowy i strzelał w drzewa. Witka poprowadziła patrol na bagna kilkaset metrów od wraku".

MIMO ŻE HISTORIA KOBYLCÓW ZOSTAŁA OPISANA SZCZEGÓŁOWO W KSIĄŻCE „TEN JEST Z OJCZYZNY MOJEJ", BATALION NIE ZNA ANI PRAWDZIWEGO NAZWISKA RATUJĄCYCH, ANI ICH TRAGICZNEGO LOSU

Podczas rozprawy Adolfa Eichmanna w 1961 r. Kowner twierdził, że na całej Litwie „żaden inny pociąg nie został wysadzony ani przez Polaków, ani przez Litwinów, ani przez Rosjan, ale wysadziła go Żydówka". Ale wiadomo na podstawie meldunków niemieckich, że jest to informacja nieprawdziwa.

Według Richa Cohena – oraz za nim Judy Batalion – rzekoma akcja sabotażowa pod Wilnem była pierwszą taką akcją w całej Europie! Czy ta nacjonalistyczna mitologia ma coś wspólnego z rzetelnością naukową? Cóż z tego, że francuskie podziemie komunistyczne wykonało dwie głośne akcje sabotażowe koło Moult-Argences (w pobliżu Caen) już 16 i 30 kwietnia 1942 r. Tamte wykolejenia pociągów spowodowały śmierć 38 żołnierzy niemieckich, było ponad 40 rannych, co wywołało okrutny odwet Niemców.

Choć Witka Kempner wraz z Ruźką Korczak wstąpiły do partyzantki sowieckiej w Puszczy Rudnickiej po ucieczce z getta wileńskiego latem 1943 r., wbrew temu, co pisze Batalion, oddziałami one nie dowodziły. Oddziały żydowskie – w tym kobiety – brały udział w okrutnej pacyfikacji ludności cywilnej 29 stycznia 1944 r. Z ich rąk zginęło ok. 40 mieszkańców wsi Koniuchy – głównie kobiety i dzieci. Dowodził nimi Genrikas Zimanas (Henoch Ziman), odznaczony orderem Virtuti Militari przez władze komunistyczne w Polsce. O Koniuchach Batalion jednak przezornie nie wspomina.

Kolejne przykłady

Przez pewien czas jedna z bohaterek tej książki, Renia Kukiełka, korzystała z pomocy polskiej rodziny zwanej „Kobiletz" w Michałkowicach w pobliżu Katowic. Aż pięciu członków tej rodziny (właściwie Kobylec) zostało uznanych przez Yad Vashem. Trafili do Auschwitz za pomoc okazaną wielu Żydom. Mimo że historia Kobylców została opisana szczegółowo w książce „Ten jest z ojczyzny mojej", Batalion nie zna ani prawdziwego nazwiska ratujących, ani ich tragicznego losu.

Twierdzi za to, że Polacy nie chcieli ukrywać pewnego chłopca żydowskiego nawet za miesięczną opłatę 2,5 tys. zł! (rzekomo równowartość obecnie 8 tys. dol.). W latach 1943-1944, kiedy ukrywanie zapewne miało miejsce, kurs jednego dolara amerykańskiego wynosił ok. 100 zł. Ówcześnie więc 2,5 tys. zł wynosiło ok. 25 dol. Według CPI Inflation Calculator, w 2021 r. byłoby to... 383 dol., czyli 20 razy mniej, niż podaje Batalion. Jej kalkulacja jest nie tylko fantastyczna, lecz także bezsensowna. Bo ile dóbr można było kupić wówczas za 2,5 tys. zł na czarnym rynku?

Podobnych bezpodstawnych twierdzeń pełno jest w jej „dziele". Rzekomo Armia Krajowa nie przyjmowała Żydów do swych oddziałów podczas powstania warszawskiego. W kontekście uratowania ŻOB-owców przez dr. Stanisława Świtala Batalion nie ma świadomości, że należał on do AK. Rzekomo w lutym 1943 r. Frumkę Płotnicką wysłano z Warszawy do Hagi z misją do... Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości ONZ, mimo że ONZ powstała dopiero po wojnie! Natomiast istniejący przed II wojną światową Stały Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej Ligi Narodów nie funkcjonował już od 1940 r.

Oprócz dużej dozy kłamstwa Holokaustu znajomość historii polskiej przez autorkę jest śmieszna: Piłsudski nie był „monarchistą", a Narodowa Demokracja nie promowała czystości rasowej.

eprasa.pl 922094d2e9

ŻYDOWSKO-SOWIECKO--POLSKA AFERA W MEKSYKU 1943 r. (cz.2.)

W GRUDNIU 1942 r. PREMIER RZĄDU RP ODWIEDZIŁ MEKSYK, BY ZINTENSYFIKOWAĆ KONTAKTY MIĘDZYPAŃSTWOWE ORAZ PRZYGOTOWAĆ GRUNT POD PRZYJĘCIE PRZEZ TEN KRAJ KOLEJNYCH POLSKICH UCHODŹCÓW

ZBIGNIEW IZDEBSKI

Oprócz spotkań na najwyższym szczeblu z władzami meksykańskimi premier gen. Władysław E. Sikorski spotkał się również z Żydami. Po spotkaniu tym wybuchł skandal prasowy i polityczny. 9 lutego 1943 r. z ambasady polskiej w Waszyngtonie napłynął list do premiera i ministra informacji. W liście ambasador napisał: „Prasa oraz organizacje żydowskie są od paru dni coraz bardziej podniecone wiadomościami z Meksyku, nadesłanymi przez tamtejszą federację Żydów polskich, o rzekomym szorstkim potraktowaniu delegacji przez Pana Premiera. Na skutek tego ukazały się w prasie »

Gen. Władysław Sikorski oraz prezydent Meksyku Manuel Ávila Camacho

» bardzo nieprzyjemne artykuły. Zabiegi o przeniesienie sprawy do prasy amerykańskiej są tylko chwilowo wstrzymane. Sprawa nabrała rozgłosu podsycanego przez wrogie czynniki".

Na informacje z Waszyngtonu gen. Sikorski zareagował bardzo szybko, wysyłając depeszę wyjaśniającą całą sprawę. W depeszy do Waszyngtonu pisał: „Delegacji Żydów polskich w Meksyku zwróciłem uwagę, że tytuł obywatela polskiego zagranicą zobowiązuje szczególnie w dzisiejszych czasach. Wezwałem ją, ażeby uważała na swych członków, z których niektórzy zajmują się jakoby nie zawsze czystymi interesami. Nie jest to pociągnięcie polityczne, ale dbałość Premiera o imię polskie zagranicą. Dr Rettinger żadnego wywiadu nie dawał. Tym uważam sprawę za wyjaśnioną".

„DELEGACJI ŻYDÓW POLSKICH W MEKSYKU ZWRÓCIŁEM UWAGĘ, ŻE TYTUŁ OBYWATELA POLSKIEGO ZAGRANICĄ ZOBOWIĄZUJE SZCZEGÓLNIE W DZISIEJSZYCH CZASACH"

Sowiecka intryga

Sprawa jednak nie zakończyła się, ale zatoczyła szersze kręgi od Meksyku po Chicago i Nowy Jork. Z lokalnej mało istotnej sprawy rozdmuchano incydent o charakterze międzynarodowym, niekorzystnym dla samego premiera i rządu. W lutym 1943 r. Władysław Sikorski był już w Londynie po wizycie w Ameryce, która okazała się korzystna dla polskiego rządu, szczególnie wzmacniała pozycję Polski w USA. Alarmowanie Żydów amerykańskich o Zagładzie wzmocnione przez szefa rządu polskiego i Naczelnego Wodza ofensywą dyplomatyczną odbierały broń propagandową Sowietom. Równolegle dziennik „New York Times" ogłosił, że działacze Bundu, Wiktor Alter i Henryk Ehrlich, pochodzący z Polski, zostali rozstrzelani w ZSRR jako agenci polskiego wywiadu, jak głosiła radziecka propaganda. Było to niekorzystne wizerunkowo dla ZSRR, zwłaszcza że działacze byli Żydami. Dlatego Związek Sowiecki potrzebował skandalu politycznego i medialnego uderzającego we władze polskie, a jednocześnie przykrywającego kompromitującą ZSRR egzekucję dwóch żydowskich działaczy Bundu. Ponadto prasa amerykańska, w tym wspomniany „New York Times", choć z dużym opóźnieniem, ogłosiła to na kilka tygodni przed zerwaniem stosunków dyplomatycznych przez ZSRR z rządem RP na uchodźstwie. Sowieci potrzebowali skandalu na terenie Ameryki, by odciągnąć uwagę opinii publicznej od publikacji w „New York Timesie".

Meksykański skandal dotarł zatem do Chicago, do organizacji żydowskich. W lutym tego samego roku przebywający wówczas w USA Karol Estreicher w liście do premiera Sikorskiego pisał: „Koła żydowskie podniosły tutaj krzyk wokół sprawy jakiegoś rzekomego oświadczenia Pana Jenerała w Meksyku. Histeria z tego powodu jest nieprawdopodobna".

Rozdmuchany incydent w Meksyku prowadził do ambasadora ZSRR w USA, a następnie w Meksyku Konstantina Umanskiego. Na wpływy sowieckie na rozgrywające się wydarzenia w Meksyku rzucają światło dwa dokumenty mające charakter poufny. Pierwszym źródłem jest sprawozdanie polityczne Delegatury Ministerstwa Prac Kongresowych w Nowym Jorku z 15 grudnia 1943 r. W sprawozdaniu czytamy: „Natomiast pewien agent sowiecki obecny wówczas w Mexico i odpowiedzialny za całą hecę, a będący w bliskim kontakcie z Umanskim, starał się pozyskać wpływową osobę, dobrze nam znaną w Nowym Jorku, dla umieszczenia tych informacji w „New York Times". Znajomy mój odmówił dając mi znać o tym. Agent nadal stara się obecnie w N.J. o poparcie wśród osób autorytatywnych".

Dalsze publikacje zostały wstrzymane przez Arie Tartakowera oraz dr. Szoskiesa, którzy spowodowali zamieszczenie wyjaśniającego artykułu w „Morning Journal". Na terenie Chicago aferę zahamował przebywający wówczas w USA Julian Tuwim, który według K. Estraichera wszystko wyjaśnił i uspokoił tamtejszych Żydów. Mimo nieprawdziwości oskarżeń nadal były rozpowszechniane przez osoby sympatyzujące z komunizmem jako dowód na antyżydowskie nastawienie rządu polskiego. Wymienieni dwaj działacze żydowscy Arie Tartakower i dr. Szoskies należeli do organizacji żydowskich w Ameryce, ale byli przeciwni prosowieckiemu nastawieniu Nahuma Goldmanna w Światowym Kongresie Żydów. Dlatego najlepiej współpraca środowisk polskich w czasie II wojny światowej układała się ze środowiskami żydowskimi, które były antykomunistyczne oraz religijne. Drugim dokumentem łączącym aferę w Meksyku z czynnikami radzieckimi jest list adwokata Ludwika Seidenmana do ministra spraw zagranicznych Tadeusza Romera z 30 listopada 1943 r. W liście autor relacjonuje rozmowy ze środowiskami żydowskimi w Ameryce i Palestynie. Po spotkaniu z Feliksem Frankfurterem z Sądu Najwyższego, Benem Cohenem, autorem programu Lend-Lease, i doradcą prezydenta Roosevelta Sol Blumem z Kongresu USA określa sytuację w Palestynie i w Stanach Zjednoczonych jako sprzyjającą ZSRR, a niekorzystną dla Polski: „Na terenie tutejszym oportunizm polityczny w stosunku do ZSRR w niektórych sferach politycznych żydowskich istnieje i połączony jest ze spekulacją na przyciągnięcie żydostwa rosyjskiego do współpracy międzynarodowej oraz na pozyskanie ZSRR dla polityki syjonistycznej w Palestynie. Negatywne skutki w opinii i postępowaniu wielu czynników, które nie chcą się angażować w popieranie sprawy polskiej, obawiając się możliwej kolizji ze stanowiskiem rosyjskim".

Sowiecka kultura polityczna

Jeszcze więcej światła na stosunki polsko-sowiecko-żydowskie rzuca roz-

eprasa.pl 922094d2e9

mowa przedstawiciela MSZ z Gershonem Agronskym, właścicielem i redaktorem „Palestine Post". Agronsky, krytycznie nastawiony do władz polskich, był zdania, iż konflikty polsko-żydowskie są spowodowane negatywnym nastawieniem Żydów do władz polskich na uchodźstwie: „Częste i głośne konflikty polsko-żydowskie są jego zdaniem, po największej części wynikiem braku rozumu politycznego, jednostronności i krótkowzroczności różnych małych polityków żydowskich, którzy nie dostrzegają, że we wszystkich niemal incydentach dają się używać jako narzędzie w rękach polityki i propagandy sowieckiej".

Wróćmy do osoby ambasadora ZSRR, który był zainteresowany rozdmuchiwaniem incydentu w Meksyku. Konstanty Umanski w 1936 r. został radcą ambasady sowieckiej w Waszyngtonie. Od maja 1939 r. pełnił obowiązki ambasadora w USA. Nie zdobył tam dobrej opinii jako dyplomata. Według podsekretarza stanu Sumnera Wellesa był sprawcą przecieku o złamaniu przez Amerykanów szyfrów japońskich. Amerykanie poinformowali ambasadę ZSRR o przechwyceniu japońskich informacji, według których Niemcy planują zaatakować w najbliższym czasie ZSRR. Umanski przekazał te informacje ambasadzie niemieckiej, ujawniając tym samym fakt złamania szyfrów japońskich. Po ataku Niemiec na ZSRR w czerwcu 1941 r. popadł w konflikt z prezydentem Rooseveltem, który nazwał ambasadora „męczącym, małym kłamcą". Został odwołany ze stanowiska ambasadora w USA i skierowany na placówkę w Meksyku.

Podsumowanie

Rząd polski na uchodźstwie premiera i gen. Władysława Sikorskiego roztoczył opieką konsularną i społeczną obywateli polskich rozsianych po całym świecie, od Skandynawii po Afrykę, od Japonii i Chin po kontynenty obu Ameryk. Mimo ogromnych kłopotów i ogromu potrzeb opieki dyplomatyczna i socjalna organizowane były z dużym rozmachem i wymagały dużych środków finansowych oraz poprawnych relacji dyplomatycznych z państwami, w których przebywali polscy uchodźcy. Zważywszy na brak własnego terytorium, ograniczenia finansowe i bezprecedensową skalę wyzwań nieistniejących dla rządów innych państw rząd polski wypełniał tę funkcję wyśmienicie, a polskie władze i Polacy byli bardzo dobrze zorganizowani.

Wiosną 1942 r. stosunki polsko-sowieckie weszły w nową fazę. Stalin uznał rząd polski na uchodźstwie i tworzącą się na terenie ZSRR armię polską jako przeszkody w relacjach z Wielką Brytanią i USA oraz bariery dla realizacji imperialnych celów w Europie Środkowo-Wschodniej. W wyniku przyjęcia przez Stalina koncepcji, według której rząd premiera Sikorskiego był przeciwnikiem w obozie aliantów, stosunki polsko-sowieckie zaczęły się komplikować. Strona sowiecka stosowała rozmaite środki i metody w celu realizacji tej koncepcji. Ważnym instrumentem w osłabieniu zaufania do władz polskich na arenie międzynarodowej była kwestia żydowska. W kwietniu 1943 r. Stalin zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim na uchodźstwie. Dla stosunków polsko-sowieckich i polsko-żydowskich rozpoczął się nowy rozdział.

Reklama | 14/0923/F

eprasa.pl 922094d2e9

Wspomnienia NAUCZYCIELA – EMIGRANTA

POD KONIEC 1984 r. ZASZCZUTY PRZEZ SB, ROZGLĄDAJĄCY SIĘ TYLKO, Z KTÓREJ STRONY PADNIE STRZAŁ KOŃCZĄCY ŻYCIOWĄ PRZYGODĘ, WSZEDŁEM DO AMBASADY NORWESKIEJ W WARSZAWIE

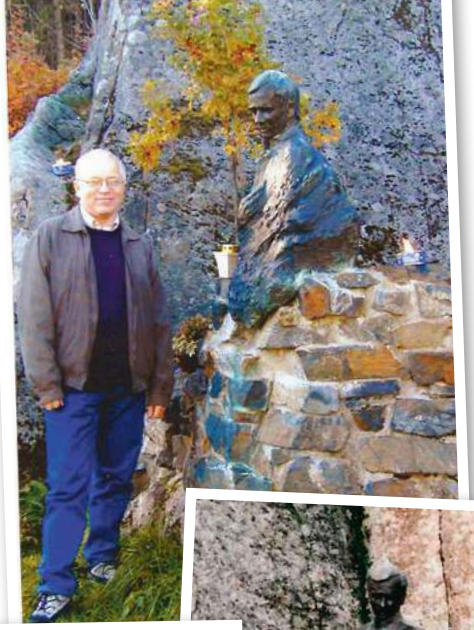

Autor przy popiersiu ks. Jerzego Popiełuszki w Mariaholm. Po lewej: Ojciec Święty Jan Paweł II przed kościołem św. Olava w Oslo, 1989 r.

ZBIGNIEW TYSZKO

18 grudnia 1982 r. zwolnili mnie z więzienia (internowania). Okazało się, że dyrektor Zespołu Szkół w Rzekuniu Żebrowski, gdzie byłem „zawieszony" na etacie, miał szereg różnych karnych kontroli za fakt zatrudnienia mnie. Chciał, bym podpisał się pod wyznaniem, że nie zgłosiłem się po „internowaniu" do pracy. Tę pułapkę ominąłem. Poproszony o pomoc lekarz psychiatra dr Gadzała musiał po mojej wizycie przekazać SB kartoteki pacjentów, by poznali treść moich dolegliwości. Nigdy nie spotkał się z czymś podobnym w swojej praktyce lekarskiej. Z kolei podczas wizyty u dentysty otrzymałem z rąk lekarza list zaadresowany do niego „podpisany moim imieniem i nazwiskiem, z moim adresem nadawcy", opisujący wulgarną rozmowę p. Lecha Wałęsy ze swoim bratem. Okazało się, że sporo takich listów „miałem rozesłać" po Ostrołęce i w województwie.

Codzienna nienormalność

Któregoś dnia przyszedł do naszego pokoiku (stancji) przy ul. Juranda 2 w Ostrołęce właściciel domu. Wyraźnie poruszony poprosił, byśmy jak najszybciej opuścili jego mieszkanie. Sterroryzowany przez SB przeraził się konsekwencji ewentualnej odmowy, jako że prowadził warsztat i miał rodzinę na utrzymaniu. Pomocy udzielili nam państwo Ulewiczowie i Godlewscy. Pod koniec stycznia 1983 r. śledzony przez SB z dwóch prowadzących mnie samochodów doszedłem do mieszkania naszych przyjaciół. W chwilę za mną wpadli trzej funkcjonariusze SB i milicjant w mundurze, którzy zabrali mnie na komendę.

Łapali mnie za brak zameldowania, wsadzali do celi i skazywali przez podległe sobie kolegia na areszt. Z ludźmi zasiadającymi w kolegiach mogli zrobić dosłownie wszystko. Tu dopiero miałem studium strachu i jego efektów. Ciekawe to wszystko, prawda. Gdy Kuroń czy Michnik beknęli, już im wieczorem krzyczeli „na zdrowie" w polskich rozgłośniach na Zachodzie. Kogo interesował los ludzi na prowincji, walczących o wolność kraju, a nie o „socjalizm z ludzkim obliczem"?! Co sądzić o ludziach, o tłumie, na oczach którego porywa się człowieka, wrzuca do samochodu i wiezie gdzie chce? To wszystko przeżywałem. Takim tłumem można manipulować, wciskać socjalizm i rzekomą demokrację, poprawne myślenie i każdą głupotę. Takimi można sterować aż do wyboru Kwaśniewskich czy Millerów... Czołowych kiedyś „socjalistów", dziś „demokratów", a jutro?!

W latach 1983–1985 tylko nieliczni księża nieśli nam rzeczywistą pomoc.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

eprasa.pl 922094d2e9

Komitet Pomocy Osobom Represjonowanym z siedzibą przy ul. Piwnej w Warszawie wspierał, czym mógł. Sprzedawałem książki religijne i produkowane w podziemiu, miałem procent dla siebie. Wbili mi do dowodu pieczątkę pracownika miesięcznika „Powściągliwość i Praca", otrzymywałem grosze za kolportaż. Żyłem podziemiem: prasa, książki, znaczki, zebrania, wykłady, ucieczki, łapanki i sporo szczęścia. Wpadłem kiedyś z dużą torbą. Ośmiu SB obstawiło mnie szczelnie w Ostrołęce, poczynając od dworca autobusowego aż do każdego miejsca, gdzie wszedłem. Był późny wieczór. Nie dało się ich zmylić. Zatrzymali mnie u państwa U. W samochodzie warczeli, że mają mnie na kilka lat za tę właśnie torbę. Myślę, że płk Sołyga i jego stajnia byli zachwyceni, gdy w torbie znaleźli kilkanaście rolek papieru toaletowego. Szukali w nich mikrofilmów. W prasie podziemnej pisaliśmy, że braki papieru toaletowego odczuwają nawet SB, skoro aż ośmiu ganiało za facetem, któremu udało się je kupić w Suwałkach.

Pod koniec 1984 r. zaszczuty przez SB, rozglądający się tylko, z której strony padnie strzał kończący życiową przygodę, wszedłem do ambasady norweskiej w Warszawie. Opowiedziałem o swej drodze, przedstawiłem jej potwierdzenie przez Komitet Pomocy Osobom Represjonowanym. Dwa tygodnie później otrzymałem wizę do Norwegii i adres, pod którym miałem zamieszkać. Blisko rok czekałem na paszport dla całej rodziny, w jedną stronę.

Dlaczego do Norwegii? Czysty przypadek

Dlaczego wyjazd, emigracja? Nie odpowiem jednym zdaniem. Byłem znerwicowany ukrywaniem się, ucieczką przed SB, poszedłem do psychiatry. Andrzeja Brzostka zwolniono ze stanowiska, bo w trakcie godzin pracy przewiózł samochodem służbowym „element antysocjalistyczny". Robiłem prawo jazdy w Ostrołęce. Za samochodem jeździła „nadzorująca" nas nyska milicyjna, kartoteki kierownika kursu zabrała SB, by sprawdzić moje „postępy". „Kim pan jest – pytano – że się tak na pana uwzięli?" lub... „Niech pan przewodzi" – słyszałem dość często. Miłe to z jednej strony, ale z drugiej zwykłego ludzkiego strachu nie brakowało.

Starsi koledzy, pamiętający powstanie warszawskie i represje komunistyczne po II wojnie światowej, mówili, iż powinienem zniknąć na jakiś czas z pola widzenia SB. Zostawiłem mój pseudonim, moje struktury. Może najważniejsze było to, że urodził się mój syn. Chciałem, by wzrastał w normalnych warunkach, a nie w codzienności tworzonej przez Kiszczaka, Jaruzelskiego czy ich trąbę propagandową Urbana. Zdarzeń z lat 1983–1985 starczy na obszerną powieść.

Jeszcze w przeddzień wyjazdu do Norwegii odebrałem pakiet gazet wydanych w podziemiu i porozrzucałem je w umówione miejsca, skąd inni wieźli je w głąb kraju. Od czasu do czasu przejmowałem prasę czy książki na przystanku tramwajowym przed Komitetem Centralnym PZPR. Nie można było strzelać do Moskali i ich polskich pachołków z armat, więc choć wolne słowo prawie na ich oczach... Takie młodzieńcze, romantyczne marzenia o walce z tym szczególnie zmasowanym złem.

Na lotnisku w dniu wyjazdu myślałem o tym, że wrócimy – jeżeli jest jakakolwiek logika na świecie, to musi dojść do Norymbergi II i światowego sądu nad komunizmem.

W Norwegii... gubiliśmy się na każdym kroku. Żona skupiła się na wychowaniu syna, ja na marzeniach o wolnej Polsce. Przede wszystkim dokuczała nam okropna pustka i cisza bijąca wręcz w uszy. Wydawało się, choć były to pozory, że nic się nie dzieje wśród mieszkających tu Polaków.

Codzienna polskość

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1985 r. dyrygował orkiestrą symfoniczną w Oslo Kazimierz Kord. Wraz z Hanią Jastrzębską stanęliśmy przed salą koncertową z ulotkami mówiącymi o zbrodniach Jaruzelskiego, całej WRON, o konieczności popierania polskiej walki o wolność. Co najmniej kilkudziesięciu Norwegów pokazało nam z dumą znaczki Solidarności z Polską. Jeden z polskich plastyków skomentował ulotkę: „Co, chcesz dołożyć Kordowi?". I tak jest przez wszystkie emigracyjne lata.

Pomnik ks. Popiełuszki, a właściwie popiersie, potrzebne mi było do programu poświęconego jego pamięci oraz idei wolności narodu i ojczyzny. Znalazłem je w czyimś garażu między oponami. Przewieźliśmy je do Baerum. Wieczór wypadł okazale. Przyszło 106 osób. Popiersiem ks. Jerzego Popiełuszki zaopiekował się Mariusz Zapałowicz. Przy współpracy z różnymi osobami, m.in. z Barbarą Tubylewicz-Olsnes, doprowadził do zamontowania go w skale w odległym o 42 km od Oslo Mariaholm. Polacy spotykają się przy pomniku, kończąc coroczne, jednodniowe piesze pielgrzymki właśnie do Mariaholm. Od kilku lat upamiętnialiśmy tam rocznicę porwania ks. Jerzego, 19 października 1984 r., specjalnymi spotkaniami. Pięknie przedstawiło to Radio Maryja, goszcząc właśnie tam i w Oslo.

Najpiękniejszą, najbardziej autentyczną pracę na rzecz niepodległości Polski prowadził Andrzej Jachowicz, współzałożyciel Solidaritet Norge-Polen, wspierany przez Władysława Gauzę. Ukrywali tę pracę przed rodakami, zwłaszcza czołowymi „działaczami" Towarzystwa Polonia, którzy węsząc na każdym kroku, donosili najmniejsze głupstwa do ambasady PRL. Gdybym pisał historię polskiej walki niepodległościowej z terenu »

Ambasador Litwy i Ambasador Polski żegnają transport darów do Mejszagoły, 1996 r.

eprasa.pl 922094d2e9

Norwegii, te dwa nazwiska umieściłbym na pierwszym miejscu. I odwrotnie, gdybym pisał historię polskiej podłości i ohydnego donosicielstwa olbrzymi materiał i doświadczenie znalazłbym w Towarzystwie Polonia. Poznałem tu ludzi, którzy nawet członków własnych rodzin nie oszczędzili... A dziś dumnie wypinają pierś i rozpisują się o własnych „osiągnięciach".

W Norwegii współpracę z Radiem Wolna Europa prowadził z kolei Paweł Gajowniczek. Nagrywał i wysyłał im swoje korespondencje. Ja zarabiałem na robieniu wywiadów z Polakami przyjeżdżającymi do Norwegii. Nadto gromadziłem i przekazywałem różnymi drogami do Polski kilogramy niezależnej literatury, najczęściej w miniaturowych wydaniach.

W 1986 r. stary emigrant Bronisław Lubiński poprosił, żeby przejąć od niego przedstawicielstwo „Kultury" paryskiej na Norwegię. Poparł go Wiesław Wika-Czarnowski, wówczas przewodniczący Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Norwegii. Nie mogłem odmówić. Od tej pory moje nazwisko widniało na kartach paryskiej „Kultury". W ich imieniu pojechałem także na zjazd Światowej Federacji Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, bodajże w 1987 r. Ponownie Bronisław Lubiński i Wika Czarnowski prosili... i ponownie nie odmówiłem. Dobrze zrobiłem. Wikę cofnięto z lotniska w Londynie, bo nie miał ważnego paszportu, zaś Lubiński zmarł wkrótce po moim powrocie. Zdołałem mu tylko zrelacjonować spotkania ze starą wojenną gwardią. Co to byli za ludzie! Jak oni oddychali Polską, jak oni ją czuli! Prezydent Kazimierz Sabbat zaproponował mi przedstawicielstwo w Norwegii polskiego rządu na uchodźstwie. Nie przyjąłem tego stanowiska, nie czułem się dostatecznie zaznajomiony z zagadnieniami emigracji. Widziałem tę funkcję np. dla Władysława Gauzy.

Za to zaangażowałem się w powstanie w Oslo Polskiej Rady Katolickiej. Nie zastanawiając się nad sensem tej nazwy (później zamieniliśmy ją na Radę Polskich Katolików), powołaliśmy taką radę w mieszkaniu Krystyny i Mariusza Zapałowiczów. Na czele stanęła Barbara Tubylewicz-Olsnes. Tamten czas, 1986 r., daleko odbiegał od tego, co obecnie widzimy co tydzień w kościele św. Olava w Oslo. Ks. Kowal przyjeżdżał tu raz w miesiącu i szybko przenosił się w inne miejsca, gdzie też był potrzebny. Brakowało nam polskiego kapłana do codziennej posługi. W styczniu 1986 r. przyjechali trzej zakonnicy ze Zgromadzenia Najświętszych Serc Jezusa i Maryi. Nie mieli zielonego pojęcia o problemach emigrantów, nie mówiąc już o problemach z językiem czy aklimatyzacją. Przyjechali do pracy w Kościele katolickim, a my chcieliśmy mieć duszpasterza emigranta. Nic też dziwnego, że dochodziło do wielu niepotrzebnych nieporozumień i podejrzeń rzucanych pod adresem zakonników. Jakoś to się wszystko uładziło w czasie.

„Kronika"

Równolegle wraz z Bogdanem Kulasem i Elżbietą Nowińską zabiegaliśmy o przyjazd z Londynu ks. Józefa Kozłowskiego. Przybył ostatecznie w 1988 r. Nie spotkał go nikt z przedstawicieli norweskiego Kościoła. To dużo mówi o tutejszym zimnie, dystansie, dziwnym zwyczaju... Przyjęliśmy go my, emigranci.

Rzadko zdarza się taki człowiek, kapłan, który każdą chwilę spędza na tworzeniu czegoś, na wymyślaniu rzeczy, które są potrzebne innym. Trafia bardzo często w tzw. dziesiątkę.

Spotykaliśmy się codziennie. Opowiadałem mu o Klubie Polaków w Baerum, o szkole im. św. Sunnivy w Oslo. Postanowiliśmy założyć szkołę sobotnią. Z jego wieloletniego doświadczenia wynikało, że takie szkoły najbardziej jednoczą Polaków. Umieściliśmy ją w szkole im. św. Sunnivy w Oslo. Włączyli się różni ludzie. Znalazłem i zatrudniłem nauczycieli. Dzięki Krystynie Erlandsen pozyskałem źródła finansowania. Z polskiego Londynu przywiozłem podręczniki.

Spotkania w 1987 r. z licznymi członkami Światowej Federacji Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, rozrzuconymi po II wojnie światowej w ponad 19 krajach na wszystkich kontynentach, były wręcz nakazem przekazania ich spraw i naszych solidarnościowych tęsknot możliwie szerokiemu gronu rodaków. Założyłem więc „Kronikę Katolików Polskich w Norwegii", zmienioną później na „Kronikę. Polskie Czasopismo w Norwegii". Miałem szczęście spotkać Bogdana Strażyńskiego, który znakomicie rozwinął i ukierunkował nasz miesięcznik. Kilkanaście osób zaufało nam, ofiarując pewne kwoty na zakup kopiarki.

Ponadto Janusz Krzeski udzielił nam znaczniej pożyczki i... mogliśmy wyjść z „podziemia". Rozgrzeszenia udzielił ks. Józef Kozłowski, wzbogacając nas swymi kazaniami i wspaniałymi pomysłami (m.in. Szkołą sobotnią im. Jana Pawła II, Fundacją Charytatywną na Rzecz Polski, pomocą przy Statku Przyjaźni do Polski). Dołączyli Polacy kochający – podobnie jak my – Norwegię. Wędrowaliśmy z nimi po ciekawych i pięknych miejscach naszej drugiej ojczyzny i po języku norweskim, np. w kąciku językowym Henryka Malinowskiego.

Nieraz zwracaliśmy się do naszych polskich i... okazuje się norweskich czytelników z takim wyjaśnieniem, które – ze względu na prawdę w każdym słowie – pozwolę sobie zacytować: „Drodzy Państwo, ze względu na skromne środki finansowe i coraz bardziej odczuwalny brak czasu nie możemy uczestniczyć w wielu ważnych uroczystościach na terenie całej Norwegii. Zależni jesteśmy od Waszych relacji i korespondencji. Z założenia »Kronikę« tworzymy wspólnie, finansować, dosłownie wszystko, musimy z własnych środków. Proszę więc darować zdarzające się tu i ówdzie błędy wynikające nierzadko ze źle odczytanej korespondencji".

„Bóg, Honor, Ojczyzna" dominowały w każdym ze 193 numerów naszego skromnego miesięcznika. W grudniu 2003 r., po blisko 17 latach, zakończyliśmy wydawanie „Kroniki". Przyczyny są po części podane wyżej. Nie mogliśmy pogodzić się ze zdradą dokonującą się w naszej ojczyźnie od 1989 r. i naszą niemocą w Norwegii.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

eprasa.pl 922094d2e9

STAN WOJENNY (1981–1983)

DEMART

eprasa.pl 922094d7e9

AFERA, KTÓRA SWÓJ POCZĄTEK MIAŁA 22 KWIETNIA 1983 r. NA JEDNEJ ZE SZTOKHOLMSKICH ULIC, DO DZIŚ PORUSZA SZWEDZKICH DZIENNIKARZY, HISTORYKÓW ORAZ PASJONATÓW SŁUŻB SPECJALNYCH. W POLSCE ZAŚ POZOSTAJE NIEZNANA

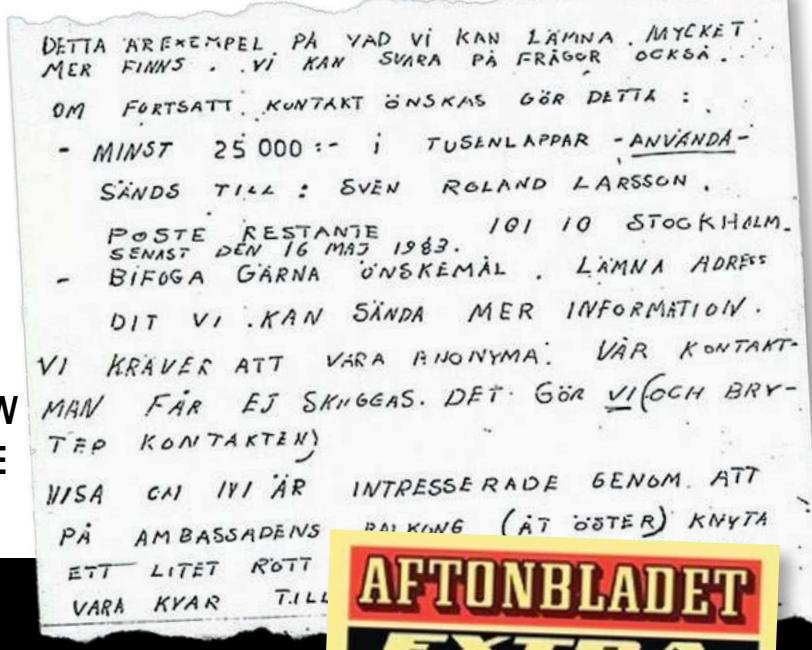
DETTA ÄR EXEMPEL PÅ VAD VI KAN LÄMNA. MYCKET MER FINNS. VI KAN SVARA PÅ FRÅGOR OCKSÅ.
OM FORTSATT KONTAKT ÖNSKAS GÖR DETTA:
- MINST 25 000:- I TUSENLAPPAR - ANVÄNDA -
SÄNDS TILL: SVEN ROLAND LARSSON.
POSTE RESTANTE 101 10 STOCKHOLM.
SENAST DEN 16 MAJ 1983.
- BIFOGA GÄRNA ÖNSKEMÅL. LÄMNA ADRESS
DIT VI KAN SÄNDA MER INFORMATION.
VI KRÄVER ATT VÅRA ANONYMA VÄR KONTAKTMAN FÅR EJ SKUGGAS. DET GÖR VI (OCH BRYTER KONTAKTEN)
VISA GÅ IVI ÄR INTRESSERADE GENOM ATT
PÅ AMBASSADENS PARKING (ÅT ÖSTER) KNYTA
ETT LITET RÖTT
VÅRA KVAR TILL

KIEDY STRACH MA WIELKIE OCZY

PAWEŁ SKUBISZ

IPN w Warszawie

Tego właśnie wiosennego dnia jeden z lokalnych taksówkarzy został wynajęty przez nieznanego mężczyznę w sile wieku w celu zawiezienia wniosku wizowego do ambasady PRL. Była to w ówczesnej Szwecji codzienna praktyka i kierowca za kurs zainkasował standardowe 50 koron. Przesyłka trafiła w ręce polskich pracowników konsulatu generalnego PRL, choć nadawca pomylił adresy. Tego typu sytuacje zdarzały się często, więc dla nikogo nie stanowiły problemu. Pracująca w poczekalni konsulatu sekretarka Ada Kupczyk otworzyła korespondencję, w której znajdowała się mniejsza koperta ze szwedzkim opisem „Ściśle tajne, przekazać attaché wojskowemu lub ambasadorowi". Obecny na miejscu konsul PRL Paweł Lewandowski próbował bezskutecznie porozumieć się z taksówkarzem, jednak ten niemal natychmiast opuścił placówkę. W tej sytuacji dało się już wówczas wyczuć pewne napięcie i przeświadczenie, że jednak zdarzyło się coś nieoczywistego.

„Bomba" w liście

Sytuację zmieniło dopiero przybycie konsula generalnego w Szwecji Waleriana Bołtacza, który jako jedyny z wyższego personelu placówki znał język szwedzki na tyle, aby zrozumieć treść listu. Po jego pobieżnym przeczytaniu nakazał natychmiastowe przekazanie korespondencji na ręce ambasador PRL w Szwecji Marii Regent-Lechowicz, ewentualnie do radcy ambasady Waldemara Wawrzyniaka. Pięć dni później, tj. 27 kwietnia 1983 r., ambasada PRL wystosowała do szwedzkiego MSZ notę, do której dołączyła otrzymaną korespondencję. A w niej niejaki Sven Roland Larsson za cenę 25 tys. koron szwedzkich, czyli ok. 3,5 tys. dol., deklarował gotowość przekazywania tajnych informacji. Dla zachęty ujawnił kilka szczegółowych informacji z zakresu łączności wojskowej, które – jak się później w śledztwie okazało – były prawdziwe. Dodatkowo oferent prosił, aby zgodę na rozpoczęcie współpracy z wywiadem PRL zasygnalizować powieszeniem czerwonej

AFTONBLADET
EXTRA
Gripen som SPION
Överstelöjtnant Bertil Ströberg, 51
Arbetargrabb som gick den långa vägen • Bäst i klassen • Hjälte i flygkrasch • Skild tvåbarnsfar
VANN DU PÅ BELLMAN?
DROTTNING ELIZABETH – första dagen i Sverige

List do Ambasady PRL w Szwecji z kwietnia 1983 r. z ofertą odpłatnego przekazywania tajnych informacji. W trakcie procesu, o którym obszernie pisała szwedzka prasa, oskarżony pułkownik Bertil Ströberg nie przyznał się do zarzutu szpiegostwa

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 922094d2e9

wstążki na balkonie ambasady, a pieniądze przekazać do skrytki w głównym urzędzie pocztowym w Sztokholmie przy ul. Vasagatan 1.

Pocztowa pułapka

List w ciągu zaledwie dwóch dni trafił ze szwedzkiego MSZ do centrali SÄPO (szw. Säkerhetspolis), czyli Policji Bezpieczeństwa. Pełniła ona m.in. funkcję szwedzkiej służby kontrwywiadu. Tam zdecydowano o objęciu budynku pocztowego ścisłą obserwacją. Kolejne tygodnie upływały w nerwowym oczekiwaniu. Po niemal miesiącu nastąpił przełom. 20 maja w urzędzie pojawił się mężczyzna i zapytał, czy na jego skrytkę przyszedł list. Urzędniczka wydała mu przesyłkę na nazwisko Larssen z materiałami i pieniędzmi przygotowanymi przez funkcjonariuszy centrali SÄPO. Mężczyznę ujęto. Zatrzymanym okazał się płk szwedzkiego lotnictwa Bertil Ströberg – pełniący obowiązki kierownika w jednej z komórek organizacyjnych w sztabie Szwedzkich Sił Powietrznych (szw. Svenska flygvapnet). Mężczyzna tłumaczył się, że przesyłkę odebrał na prośbę znajomego o nazwisku Larssen i miał ją przekazać dalej w Hotelu Continental. We wskazanym miejscu zaaranżowano więc spotkanie z potencjalnym odbiorcą materiałów. Nikt jednak na Ströberga nie czekał. W tych okolicznościach kierownictwo SÄPO poinformowało premiera Olofa Palme, a ten liderów partii politycznych. Następnego dnia do opinii publicznej dotarła pierwsza sensacyjna informacja o zatrzymaniu polskiego szpiega.

Irracjonalne wyjaśnienia

Płk Bertil Johan Olof Ströberg (ur. 1932 r.) służył w wojsku szwedzkim od czasu ukończenia szkoły podstawowej. W momencie zatrzymania był u szczytu swojej kariery. Znajomi i przyjaciele charakteryzowali go jako zdyscyplinowanego, spokojnego, pracowitego i bardzo ambitnego człowieka, samotnika z małżeńskimi problemami. Rzekomo miał odejść od żony i związać się z inną kobietą, przez co popadł w kłopoty finansowe. Na nowy życiowy start nie było go stać, mimo że otrzymywał miesięcznie 15 tys. koron żołdu. Szpiegostwo uznał za łatwą formę zarobku, nie przywiązując prawdopodobnie znaczenia, któremu wywiadowi miałby służyć.

Zatrzymany uparcie podtrzymywał historię o znajomym Svenie Rolandzie Larssenie, którego jednak nigdy nie udało się odnaleźć, zidentyfikować i zatrzymać. Nie potrafił nawet wskazać adresu zamieszkania kolegi. Mężczyźni mieli się poznać w marcu 1983 r., kiedy Ströberg rzekomo uratował Larssena przed bliżej nieokreślonymi napastnikami. Od tego czasu łączyła ich niezobowiązująca relacja koleżeńska. Całość wyjaśnień w tym zakresie była niewiarygodna i oficerowie SÄPO wraz z prokuratorem uznali ją za wymyśloną linię obrony.

Poszlakowy proces

Proces płk. Bertila Ströberga toczył się przed Miejskim Sądem w Sztokholmie. Tam 13 lipca 1983 r. zapadł wyrok skazujący go na 6 lat pozbawienia wolności z powodu działalności szpiegowskiej, a koronnym dowodem stał się list przekazany przez ambasador PRL w Szwecji Marię Regent-Lechowicz. Skazany odwołał się do Sądu Apelacyjnego (szw. Svea hovrätt), lecz sąd podtrzymał decyzję pierwszej instancji. Dodatkowo zdecydowano o degradacji Ströberga do stopnia szeregowego i wydaleniu z armii. Wyrok nie zapadł jednomyślnie, dwie z pięciu osób składu sądu wniosły głos odrębny. Sam proces miał charakter poszlakowy, a oskarżony konsekwentnie przez całe śledztwo do niczego się nie przyznawał, poza faktem odbioru przesyłki 20 maja 1983 r. i to w imieniu Larssena.

Bertil Ströberg, lata 50. XX w.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Bertil Ströberg trafił do więzienia o zaostrzonym rygorze w Kumla. Tam przebywał w ścisłym odosobnieniu, a jedynym jego zajęciem była praca przy klejeniu kartonowych pudeł, za co otrzymywał 1,5 tys. koron szwedzkich wynagrodzenia. Odsiedział z wyroku tylko trzy lata i został warunkowo zwolniony. Na wolności podjął pracę maklera giełdowego. Do końca życia próbował oczyścić się z zarzutu szpiegostwa. W kilku kolejnych procesach sądowych starał się udowodnić swoją niewinność, chociaż trudno mu było zdobyć i zaprezentować nowe dowody w sprawie. Zmarł po ciężkiej chorobie w 2012 r., nie doczekawszy rehabilitacji.

Polskie wątki

Kilka dni po ujawnieniu afery Ströberga szwedzkim dziennikarzom udało się przycisnąć pytaniami ambasador Marię Regent-Lechowicz. Towarzyszący jej Waldemar Wawrzyniak stwierdził, że w jego ocenie doszło do prowokacji, choć uniknął odpowiedzi na pytania, kto ją miał zorganizować. Zachowawcza postawa polskich dyplomatów spowodowała, że prasa szwedzka początkowo ich chwaliła za przyczynienie się do schwytania niedoszłego szpiega. Z biegiem czasu narracja ta zmieniła się i stawiana za wzór przestrzegania dyplomatycznych standardów ambasador Regent-Lechowicz została oceniona jako osoba niedoświadczona, która dopiero rozpoczyna zawodową karierę w MSZ. Jednak w placówce w Sztokholmie ulokowani byli bardzo doświadczeni oficerowie Departamentu I MSW (czyli komunistycznego, cywilnego wywiadu). Pracą kilkuosobowej rezydentury o krypt. „Viking" kierował radca ambasady PRL, kilkukrotnie już wspomniany w artykule, płk dr Waldemar Wawrzyniak „Jordan". Realizował on już wcześniej wiele zadań wywiadowczych w placówkach dyplomatycznych w Waszyngtonie i Wiedniu. »

eprasa.pl 922094d2e9

Jemu doświadczenia, świadomości i wyobraźni w pracy wywiadowczej odmówić nie można, bo w komunistycznej bezpiece służył od 1946 r.

Przesyłka z ofertą od Ströberga znajdowała się w polskich rękach niemal tydzień. To wystarczający okres, aby skontaktować się (nawet osobiście) z centralą wywiadu w Warszawie i ustalić dalsze etapy postępowania. Dlaczego nie skorzystano z oferty szwedzkiego oficera lotnictwa? Znając realia ówczesnej Służby Bezpieczeństwa, można by założyć, że kierownictwo resortu spraw wewnętrznych świadomie odrzuciło możliwość współpracy z oferentem z obawy przed prowokacją i kolejnymi stratami wizerunkowymi, gdyby doszło do zdekonspirowania pracowników bezpieki na szpiegostwie w Szwecji. Miało to niebanalne znaczenie dla PRL rządzonego przez reżim komunistycznej junty Wojciecha Jaruzelskiego i słabych międzynarodowych notowań po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r.

Ale czy tak było? Rzeczywistość okazuje się bardzo trywialna. List Ströberga trafił do płk. Waldemara Wawrzyniaka, który zamiast skontaktować się z centralą wywiadu w Warszawie, udał się do attaché wojskowego, lotniczego i morskiego akredytowanego przy ambasadzie PRL w Sztokholmie kmdr. por. Ryszarda Lewickiego. Z raportu Wawrzyniaka wynika, że sprawa została przedyskutowana tylko na poziomie ambasady i kierowników wywiadowczych rezydentur „Viking" i „Mamut". Ustalili oni wspólnie, że zachodzi duże prawdopodobieństwo prowokacji ze strony SÄPO i przekonali ambasador Marię Regent-Lechowicz do ujawnienia oferenta poprzez wysłanie noty dyplomatycznej do szwedzkiego MSZ. Żaden z rezydentów nie poinformował swoich przełożonych w kraju o zaistniałej sytuacji w kluczowym, pierwszym tygodniu od otrzymania listu. Co więcej, na podstawie zachowanej dokumentacji można wywnioskować, że żaden z nich nie dostrzegł w ofercie Ströberga operacyjnej szansy na pozyskanie wysoko ulokowanego agenta w Szwedzkich Siłach Powietrznych. List z ofertą potraktowano niczym gorący kartofel – nikt nie chciał się nim poparzyć. Ostatecznie raporty o sprawie wysłano do Warszawy z tygodniowym opóźnieniem. Zbiegło się to niestety z medialną wrzawą, która lotem błyskawicy obiegła świat. Oto ambasador PRL odesłała władzom szwedzkim list oferenta. Informację o tym podały nawet media w kraju, skrzętnie unikając polskiego kontekstu. W Warszawie zawrzało. Zarówno kierownictwo MSW, jak i Zarząd II Sztabu Generalnego WP zażądali pisemnych wyjaśnień. Od początku negatywnie oceniając podjętą w Szwecji decyzję rezydentów, a szczególnie brak konsultacji z kierownictwem wywiadu.

FOT. GOV.PL

Ambasada RP w Sztokholmie

Po wyjaśnieniach złożonych przez kmdr. por. Ryszarda Lewickiego w Zarządzie II SG WP wydawało się, że sprawa „rozeszła się po kościach". Niemniej w 1984 r. kierownictwo wywiadu wojskowego podjęło decyzję o ściągnięciu rezydenta do kraju. Głównie z powodu niezadowalających efektów pracy wywiadowczej. Zasadniczą jednak przyczyną była oczywiście zaprzepaszczona szansa na pozyskanie cennego szpiega w strukturach szwedzkich sił zbrojnych, czyli Bertila Ströberga.

W przypadku płk. Waldemara Wawrzyniaka postąpiono bardziej zdecydowanie. Już w sierpniu 1983 r., niejako prawem czarnej serii, z ambasady PRL w Sztokholmie uciekł zatrudniony w niej funkcjonariusz Departamentu I MSW na niejawnym etacie ppłk Jerzy Koryciński „Tarłowski". Ten podwładny Wawrzyniaka mógł ujawnić Amerykanom nawet 100 kadrowych pracowników PRL-owskiego wywiadu. Z dużą dozą prawdopodobieństwa przyczynił się też do zdemaskowania Jamesa D. Harpera, zdradzającego komunistom tajemnice technologiczne z amerykańskiej Doliny Krzemowej. Możliwe, że pośrednio naprowadził FBI na działającego w USA agenta Mariana Zacharskiego. W efekcie już we wrześniu Wawrzyniaka odwołano do kraju i ukarano naganą z ostrzeżeniem, a kilka miesięcy później wysłano na resortową emeryturę. Wszystko to w związku ze sprawą szwedzkiego oferenta. Nic nie dały tłumaczenia ani raport napisany do szefa Służby Wywiadu i Kontrwywiadu MSW gen. dyw. MO Władysława Pożogi. W piśmie tym płk Wawrzyniak zauważa dość trafnie: „Sprawę tę traktowałem od samego początku jako temat zainteresowań operacyjnych rezydenta Zarządu II Szt[abu] Gen[eralnego], wierząc i ufając mu, iż przyjęte zespołowo decyzje o dalszym postępowaniu uzgodnione są i mają potwierdzenie jego władz zwierzchnich". Założenie słuszne, ale sam też nie nawiązał kontaktu z centralą i nie ustalił, czy jest ona zainteresowana pozyskaniem oferenta.

Przez kolejne lata rezydentura wywiadowcza SB „Viking" w Sztokholmie była najgorzej oceniana ze wszystkich placówek działających poza granicami PRL na rzecz Departamentu I MSW. I chyba nie powinno to nikogo dziwić. Oficerom wywiadu wojskowego z „Mamuta" zabrakło odwagi i wyobraźni, a także naturalnej potrzeby przekucia swojej żmudnej, codziennej pracy w sukces, dzięki informacjom, jakie mogli pozyskać od szwedzkiego oficera. Co gorsza już nie po raz pierwszy, biorąc pod uwagę odrzuconą w podobny sposób ofertę Borkera Hermera, przedstawiciela firmy Aimpoyt w Malmö w października 1975 r. Wówczas ostrożną postawę attaché wojskowego kierownictwo Zarządu II SG WP oceniło jako właściwe zachowanie, obawiając się prowokacji szwedzkich służb specjalnych z handlem oprzyrządowaniem wojskowym w tle.

eprasa.pl 922094d2e9

ZROBIŁA TAK WIELE. *Janina Wehrstein* (1930–2023)

WALKA O PRAWA CZŁOWIEKA, A ZWŁASZCZA O PRAWA WIĘŹNIA, STAŁA SIĘ TREŚCIĄ JEJ ŻYCIA. TE TRUDNE ZMAGANIA CAŁKOWICIE JĄ POCHŁONĘŁY, ZABRAŁY JEJ TEŻ ŻYCIE OSOBISTE

FOT. ARCHIWUM JANINY WEHRSTEIN

ELŻBIETA ROMANOWSKA

Janina Wehrstein, działaczka opozycji demokratycznej, członkini NSZZ „Solidarność", była osobą znaną i budzącą szacunek. Oddana i wierna swojej idei, bo do wolności potrzeba prawości i odwagi cywilnej, potrzeba konsekwencji i cierpliwości, która w swej pokorze jest deklaracją ludzi ambitnych, upartych, deklaracją nieugiętej nadziei.

Przerwane dzieciństwo

Janina Wehrstein urodziła się 30 września 1930 r. w Stryju (ówczesne województwo lwowskie) w rodzinie inteligenckiej. Od dzieciństwa otaczała ją patriotyczna atmosfera. Jej ojciec, Władysław Wehrstein, był inżynierem, właścicielem fabryki odlewni metali, komendantem obwodu Stryj (w 1918 r.), kapitanem Wojska Polskiego. W lipcu 1920 r. brał udział w walkach o odbicie Stryja z rąk bolszewików. 1 listopada 1939 r. został aresztowany przez NKWD. Był namawiany do współpracy i żądano od niego uruchomienia fabryki (która była wyposażona w nowoczesne technologie) na potrzeby zbrojeniowe Armii Czerwonej. Odmówił. Uznany za „wroga ludu", został wiosną 1940 r. zamordowany przez NKWD w Bykowni strzałem katyńskim (w tył głowy). Janina miała wtedy 10 lat. Matki nie pamiętała, bowiem rodzice rozwiedli się, gdy miała trzy lata. »

» Świat, który znała Janina, runął jak domek z kart. „Urodziłam się w innym świecie. W II Rzeczypospolitej, w niewielkim miasteczku Stryj opodal Lwowa. Trudno dziś oddać klimat, który panował w tak cudownym, tętniącym polskością mieście. Świat, który znałam, z hukiem się zawalił" – wspominała po latach. Wybuch II wojny światowej zmienił wszystko. Początkowo (do 1941 r.) Janina wraz z siostrą Barbarą i babcią ukrywały się u rodziny ukraińskiej. Następnie wyjechały do Lwowa. Tam zaangażowały się w pomoc prześladowanym w czasie wojny Żydom. Jak wspominała: „Żydzi byli dla nas przede wszystkim bliźnimi, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie".

W 1946 r. wraz z rodziną znalazła się w Gdańsku i rozpoczęła nowy, pełen poświęcenia okres swojego życia. Skończyła liceum wieczorowe i pracowała w Dyrekcji Dróg Wodnych jako maszynistka.

„Klasowo obca"

Ówczesna Służba Bezpieczeństwa zwróciła uwagę na Janinę Wehrstein w 1956 r. Pracowała wtedy w Gdańskich Zakładach Drobiarskich (1954–1957) na stanowisku ekonomistki i brała udział w komunistycznej akademii na cześć Armii Czerwonej. Wtedy też została zatrzymana z powodu rzekomo niewłaściwego zachowania się na akademii. W aktach zapisano, że „była obca klasowo". Nie pozwolono jej zdać matury w liceum wieczorowym. Zdała ją dopiero w 1967 r. Trzy lata później, w 1970 r., w Gdańsku była naocznym świadkiem starć ulicznych. Wydarzenia te sprawiły, że postanowiła walczyć o wolną Polskę. Warto wskazać, że obchody rocznicy grudnia w latach 70. stały się okazją do integracji niezależnych środowisk i organizacji politycznych, wieców i manifestacji.

W Solidarności...

Latem 1980 r. doszło do masowych protestów i strajków, w lipcu w Lublinie i Świdniku, a następnie w sierpniu w Gdańsku, Szczecinie i na Śląsku. Największym osiągnięciem Sierpnia '80 było powstanie pierwszego w całym bloku państw komunistycznych i niezależnego od rządu związku zawodowego NSZZ „Solidarność". Tak to wspominała: „Wyrwałam się z głębokiej depresji i znalazłam się w stanie euforycznym". Wkrótce została aktywnym członkiem Związku. W Pracowni Konserwacji Zabytków (pracowała tam w latach 1969–1982) została założona komórka Solidarności. Jednak nie było im dane długo cieszyć się wolnością. 13 grudnia 1981 r. na terytorium Polski został wprowadzony stan wojenny, który rozpoczął trwający z różnym natężeniem aż do 1989 r. okres masowych i indywidualnych represji skierowanych przeciwko społeczeństwu. Dekrety stanu wojennego naruszały wszelkie prawa człowieka: prawo do życia, wolności i bezpieczeństwa osobistego, prawo do pokojowych zgromadzeń i do swobodnego zrzeszania się, prawo pracy oraz prawo do swobodnej twórczości i udziału w życiu kulturalnym. Wprowadzenie stanu wojennego spowodowało szereg protestów społecznych.

Strajkowała również pracownia Konserwacji Zabytków w Gdańsku, w której pracowała Wehrstein. 14 grudnia 1981 r. weszła ona w skład Komitetu Strajkowego. Warto wskazać, że członkowie Solidarności, którzy uniknęli aresztowania w pierwszych godzinach stanu wojennego, przystąpili do zdecydowanych działań przewidzianych przez Związek. Już 16 grudnia 1981 r. opozycjoniści zorganizowali manifestację pod pomnikiem Poległych Stoczniowców. Siły porządkowe MO i ZOMO podjęły próby rozproszenia demonstrantów. Starcia te przybrały rozmiar regularnej bitwy ulicznej. Tak wspominała tamte wydarzenia: „Tyraliera ruszyła w stronę tłumu. Niebieskie mundury, szare kaski, pały i tarcze z napisem ZOMO. Tupot grubych buciorów. Po chwili w naszą stronę z sykiem poleciały granaty gazowe. Ludzie zaczęli w panice rozbiegać się na wszystkie strony. Milicja nie robiła bowiem żadnej różnicy – kobieta czy mężczyzna – wszystkich tłukli bez litości. [...]. Nagle zobaczyłam przy sobie wykrzywioną z nienawiści twarz. Piana na ustach i ordynarne przekleństwo. ZOMO-wiec dopadł do mnie i wymierzył mi potężnego kopniaka. Przewróciłam się na chodnik, a on zaczął mnie okładać pałą na oślep, z całej siły". Konsekwencją udziału Janiny Wehrstein w demonstracji było ciężkie pobicie przez funkcjonariuszy ZOMO i zwolnienie z pracy 30 czerwca 1982 r. z zakazem wstępu do zakładu z powodu „udziału w antypaństwowych zajściach".

Byle daleko stąd...

Janina Wehrstein mimo licznych prześladowań ze strony SB nie dała się zastraszyć. Roznosiła ulotki, rozdawała opozycyjne broszury, pisała artykuły dotyczące represjonowania członków Solidarności. W jej mieszkaniu została umieszczona drukarnia. Wydawano broszurę „Gryps". Niestety jedna z osób, która odbierała ulotki, doniosła do SB na cały skład drukarni, w tym i na Janinę Wehrstein. Spowodowało to jej aresztowanie. Została osadzona w Areszcie Śledczym w Gdańsku. 13 sierpnia 1982 r. Prokuratura Marynarki Wojennej w Gdyni wszczęła przeciwko niej śledztwo. 31 maja 1983 r. Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni przekazał sprawę Wehrstein i siedmiu innych osób do rozpoznania Sądowi Rejonowemu w Sopocie. W więzieniu nie bito jej, ale ubecy potrafili ją zaskoczyć. Wspominała: „Przychodzili do celi i w ciężkich buciorach stawali więźniom na bosych stopach. Spotkało mnie to wiele razy". 29 lipca 1983 r. tymczasowe aresztowanie zostało uchylone na mocy ustawy o amnestii z 21 lipca 1983 r. Wehrstein opuściła więzienne mury. Wtedy też została „zaproszona" przez SB na rozmowę, wręczono jej paszport. „Powiedzieli, że dają mi wolną rękę – byle bym tylko zgodziła się wyjechać z Polski. Do Londynu? Paryża? Do Ameryki? Byle daleko stąd. Odrzuciłam tę ofertę z pogardą".

W Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność"

Po wyjściu z więzienia w 1983 r. Janina Wehrstein natychmiast zaangażowała się w działalność opozycyjną. W związku z tym 9 października 1985 r. ponownie została aresztowana. Powodem zatrzymania było to, że „od 2.04.1984 do 9.10.1985 sporządzała matryce do druku wydawnictwa »Informator TKZ NSZZ Solidarność« Gdańskiej Stoczni Remontowej, a także kolportowała, poprzez roz-

eprasa.pl 922094d2e9

FOT. ARCHIWUM JANINY WEHRSTEIN

Manifestacja dotycząca zbrodni katyńskiej. Na pierwszym planie Janina Wehrstein, za nią szereg ZOMO-wców, chroniący budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Gdańsk, 9 kwietnia 1989 r.

syłanie w przesyłkach pocztowych, nielegalne wydawnictwa, zawierające treści wyszydzające ustrój PRL i jego naczelne organy". Sąd Rejonowy w Gdańsku postanowieniem z 8 września 1986 r. uchylił tymczasowy areszt i umorzył postępowanie przeciwko wyżej wymienionej na mocy ustawy o amnestii z 17 lipca 1986 r.

Aktywność opozycyjna Janiny Wehrstein nie ograniczała się tylko do roznoszenia ulotek. W 1986 r. zaangażowała się w działalność Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność" prowadzonej przez Zofię i Zbigniewa Romaszewskich. Została jej aktywnym pełnomocnikiem na Gdańsk. Pomoc Komisji polegała przede wszystkim na zapewnieniu potrzebującym obrony (adwokatów) przed sądami i kolegiami. Zapewniano także pomoc materialną osobom zwalnianym z pracy z przyczyn politycznych. „Głównie biegałam po sądach" – mówiła Wehrstein. „Po starciach ulicznych z milicją ludzie przychodzili do mnie i przekazywali mi informacje, kto tym razem został zatrzymany. Pędziłam wtedy na rozprawę i płaciłam grzywny za skazanych. To były zawrotne sumy – nawet 50 tys. zł – i nikogo nie było na to stać. Wykupowałam ludzi dzięki funduszom przekazywanym »Solidarności« z zagranicy".

Janina Wehrstein miała temperament wojownika. Walczyła. Pisała skargi do naczelnych władz państwowych na niewłaściwe działania funkcjonariuszy SB i MO. Organizowała protestacyjne głodówki w sprawie uwolnienia więźniów politycznych. W grudniu 1987 r. w okresie Świąt Bożego Narodzenia w swoim mieszkaniu w Sopocie zorganizowała głodówkę w sprawie uwolnienia wszystkich więźniów politycznych, solidaryzując się z głodówką europejską. Oprócz Wehrstein głodowali: Wojciech Błażek, Jacek Fedor, Lech Parell, Klaudiusz Wesołek, Tomasz Żmuda-Trzebiatowski. Za ten czyn Wehrstein została ukarana przez kolegium do spraw wykroczeń wysoką grzywną. O sprawie poinformowała Komisja Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność". Na rozprawę przyszły tłumy, m.in. Anna Walentynowicz. Po wyjściu z rozprawy rewizyjnej Janina została zatrzymana przez SB. „Kiedy mnie wypuszczali usłyszałam zrezygnowany głos jednego z funkcjonariuszy: »Wehrstein, my wiemy, że wy tu jeszcze wrócicie«".

W 1988 r. wybuchła w Polsce kolejna fala strajków. 5–10 maja 1988 r. doszło do strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Janina Wehrstein zorganizowała przy kościele św. Brygidy w Gdańsku punkt pomocy dla strajkujących i ich rodzin, przy ofiarnym wsparciu ks. Henryka Jankowskiego. Działała również w obronie więźniów politycznych, udzielała im pomocy, opieki, poparcia w walce o ich prawa. W lutym 1989 r. napisała list otwarty do dyrektora Okręgowego Zarządu Zakładów Karnych w Gdańsku, płk. Janusza Walerzaka. List ten jest dokumentem walki w imię najszlachetniejszych zasad humanitaryzmu.

W kwietniu 1989 r. wraz z dużą grupą opozycjonistów brała udział w pierwszej legalnej manifestacji pod pomnikiem Ofiar Grudnia. W drodze powrotnej przy budynku komitetu wojewódzkiego PZPR spotkali uzbrojony oddział ZOMO, który ochraniał budynek. Istniało niebezpieczeństwo konfrontacji opozycji z funkcjonariuszami ZOMO. Chcąc zapobiec zamieszkom, Janina Wehrstein stanęła pomiędzy opozycją a funkcjonariuszami i zaczęła nawoływać do spokoju. Udało jej się opanować sytuację.

Euforia...

„I wreszcie przyszedł rok 1989. Rok kończący naszą walkę. Rok zwycięstwa. Naprawdę trudno mi opisać uczucia, które mi wówczas towarzyszyły. Po tylu latach walki, tylu wyrzeczeniach i szykanach, które musieliśmy znosić. To jednak my wygraliśmy! Udało się obalić komunę. A przecież jeszcze niedawno ludzie uważali nas za marzycieli, fantastów. Uważali, że nie mamy najmniejszych szans w starciu z władzą. Bez wątpienia rok 1989 był rokiem triumfu. Gdybym miała w jednym słowie ująć to, co wówczas czułam, powiedziałabym – euforia".

* * *

Janina Wehrstein od 1991 r. znana była również ze swych zasług położonych zwłaszcza w pracy wśród więźniów. Podejmowała szereg działań na rzecz zmiany ich praw i godnego traktowania. Była zaangażowana w działalność Stowarzyszenia Penitencjarnego „Patronat". Była członkinią zarządu Stowarzyszenia w Warszawie, kierowała jego Oddziałem w Gdańsku. Aktywnie współpracowała z jednostkami penitencjarnymi Okręgowego Inspektoratu Służby Więziennej w Gdańsku. Była współzałożycielką Rodziny Katyńskiej. Za swoje zasługi została uhonorowana Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

eprasa.pl 922094d2e9

WART PAC PAŁACA, A PAŁAC PACA

„KULT WŁASNEGO RODU PRZYBIERA U PACÓW SILNE ZABARWIENIE MISTYCZNE, ZGODNE Z DUCHEM WIEKU. UWAŻAJĄ SIĘ ONI ZA OPIEKUNÓW I ŻYCIA PUBLICZNEGO W WIELKIM KSIĘSTWIE, A TAKŻE I PANUJĄCEJ W RZECZYPOSPOLITEJ WIARY KATOLICKIEJ, KTÓREJ GORLIWYMI SĄ WYZNAWCAMI" – TWIERDZIŁ W SWOICH OPRACOWANIACH WILEŃSKI HISTORYK KULTURY JERZY ORDA (1905–1972)

Pałac Paców w Jeznie na obrazie Napoleona Ordy, 1875 r.

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Sądząc po wspaniałych świątyniach, które Pacowie wznieśli na Litwie i które na szczęście do dziś można podziwiać w pełnym ich blasku, twierdzenie to jest zgodne z prawdą. Przekraczając próg jednej z najpiękniejszych świątyń Wilna, barokowego kościoła św. Piotra i Pawła na Antokolu, przechodziło się przez wmurowaną tam kamienną płytę z napisem „Hic iacet peccator" („Tu leży grzesznik") – z taką właśnie inskrypcją kazał się pochować fundator kościoła Michał Kazimierz Pac (1624–1682), hetman wielki litewski i wojewoda wileński. Inna tablica z epitafium darczyńcy, wmurowana w chodnik przed świątynią, pękła jakoby w XVIII w. po uderzeniu pioruna, po którym to wydarzeniu umieszczono ją na cokole jednej z kolumn, zaś szczątki Paca przeniesiono do podziemi.

Kościół na Antokolu i klasztor w Pożajściu

Hetman wielki litewski Michał Kazimierz Pac ślubował, iż po wyzwoleniu spalonego i zniszczonego w XVII w. przez moskiewskich najeźdźców Wilna wzniesie jako wotum za udane wyparcie napastników obszerną świątynię. Po przepędzeniu Moskali kamień węgielny pod kościół św. Piotra i Pawła poświęcono w 1668 r. Projekt opracował krakowski architekt Jan Zaora, zaś prace budowlane prowadził Włoch Giovanni Battista Frediani. Oryginalność projektu polegała m.in. na kontraście pomiędzy dość stonowaną bryłą zewnętrzną i niezwykle bogato rozbudowanym wnętrzem z setkami stiukowych dekoracyjnych rzeźb oraz wieloma barwnymi, iluzjonistycznymi polichromiami autorstwa Pietra Perettiego.

Inną sławną sakralną budowlą związaną z rodem Paców jest zespół

eprasa.pl 922094d2e9

klasztorny kamedułów z kościołem w Pożajściu nad Niemnem (obecnie w granicach Kowna). Ufundował go pochodzący z drugiej linii rodu, ale bliski krewny hetmana Michała Kazimierza – kanclerz wielki litewski Krzysztof Zygmunt Pac (1621–1684). Powstał wtedy najwspanialszy na Litwie zespół klasztorny i jeden z najpiękniejszych przykładów architektury barokowej na tych ziemiach. Nie ma potwierdzenia co do osoby autora projektu założenia w Pożajściu, nie wyklucza się jednak wspomnianego włoskiego mistrza Giovanniego Battisty Fredianiego pracującego dla Paców przy wznoszeniu kościoła na Antokolu.

Kościół klasztorny poświęcono Najświętszej Maryi Pannie, św. Romualdowi (patronowi kamedułów) oraz św. Marii Magdalenie de Pazzi, którą Pacowie uważali za swoją włoską krewną, zresztą utrzymywali z tym starym włoskim rodem bliskie kontakty. W czasach Litwy sowieckiej w kościele znajdowało się archiwum, potem zakład psychiatryczny i galeria sztuki. Obecnie po długich pracach konserwatorskich całe klasztorne założenie przekazane siostrom z konwentu św. Kazimierza wraca do dawnej świetności.

Bojarzy litewscy

We wczesnym średniowieczu nazwisko Pac lub Pacewicz nosiło w Wielkim Księstwie Litewskim kilka bojarskich rodów o różnych herbach. Natomiast późniejsza senatorska linia Paców pieczętowała się h. Gozdawa, ale w odróżnieniu od często spotykanego h. Gozdawa, który w klejnocie powtarzał lilię z godła na tarczy, w klejnocie senatorów na pióropuszu z pawich piór widniał półksiężyc z gwiazdą. Rodzinna legenda wywodziła pochodzenie rodu od wspomnianych włoskich patrycjuszy Pazzis. O pokrewieństwie ze św. Marią Magdaleną de Pazzis karmelitanką pisze w siódmym tomie swojego herbarza Kasper Niesiecki: „Tej świętej znaczne relikwie tzn. ząb w złoto i włosy subtelnie w kryształ oprawne przysłał Pacowi bp. wileńskiemu książę florencki z listem, gdzie ich bliskich we krwi do tej świętej zeznaje”.

Pierwszym znanym dokumentem rodu były ziemskie nadania Pacowi Dowkszewiczowi, które podpisał Kazimierz Jagiellończyk, zaś Jerzy Pac, jego syn, był już znanym dostojnikiem na dworze królewskim na Litwie i w Polsce. Dalsze pokolenia wyniosły ród Paców do najwyższych urzędów i zaszczytnych tytułów, a wzrastająca zamożność pozwalała na liczne fundacje. Podpis Dominika Paca (1525--1579) widnieje na akcie unii lubelskiej z 1569 r., od niego też rozpoczęła się tzw. linia kanclerska rodu Paców, natomiast wspomniany fundator kościoła w Wilnie na Antokolu Michał Kazimierz Pac wywodził się z linii hetmańskiej.

Fundacje hetmańskie i kanclerskie

Hetman wielki litewski Michał Kazimierz Pac (1624–1682) uczestniczył we wszystkich wojnach, jakie toczyła Rzeczpospolita w XVII w. Najgłośniejszymi jego militarnymi sukcesami były oswobodzenie Wilna z rąk Moskali i zwycięskie bitwy pod Witebskiem oraz Szkłowem (1664). Oprócz kościoła św. Piotra i Pawła Michał Kazimierz Pac zbudował pałac Paców przy ul. Wielkiej w Wilnie, w którym bywali monarchowie Jan III Sobieski, car Aleksander I i Napoleon Bonaparte. Po odzyskaniu przez Litwę niepodległości budynek był przez lata remontowany. W końcu w 2018 r. otworzył się tam pięciogwiazdkowy hotel z wkomponowanymi historycznymi fragmentami dawnego pałacu.

Najważniejszy przedstawiciel linii kanclerskiej rodu Paców, kanclerz litewski Krzysztof Zygmunt Pac (1621–1684), studiował w Padwie i Perugii, służył w wojsku francuskim i hiszpańskim, uczył się wojskowej inżynierii w Lejdzie. W czasie szwedzkiego potopu był przeciwnikiem zdrajcy Bogusława Radziwiłła, z którym tylko dzięki interwencji króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego nie doszło do śmiertelnego pojedynku. Odziedziczył i zgromadził znaczną fortunę, co pozwoliło mu na wzniesienie zespołu klasztornego w Pożajściu i rozbudowie świetnej rodowej rezydencji w Jeznię, leżącym ok. 40 km na południe od Kowna.

Michał Kazimierz Pac, hetman wielki litewski

Serce rodu Paców

Sercem rodziny Paców nazywano wspomniany pałac w Jeznie i otaczające go ziemskie dobra, które od Krzysztofa Kiszki kupił w 1633 r. Stefan Pac (1587--1640). Jednak jako wspaniała rezydencja pałac w Jeznie zaistniał dopiero po poważnej przebudowie, gdy jego właścicielem był Antoni Michał Pac (1722–1774), pisarz wielki litewski, żonaty z Barbarą z Radziwiłłów, która wniosła mu w posagu 230 tys. zł.

Ta ogromna kwota z pewnością pozwoliła Antoniemu Michałowi Pacowi zatrudnić znanego architekta Johanna Glaubitza (1700–1767) i rozbudować pałac.

Główna, reprezentacyjna część pałacu w Jeznie była trzykondygnacyjna, wieńczył ją trójkątny szczyt, w którego polu usytuowane były dwie herbowe tarcze: „Gozdawa” Paców i „Trąby” Radziwiłłów. W elewacji ogrodowej zwracały uwagę dwie, dwupiętrowe kwadratowe wieże, zwieńczone dekoracyjnymi krenelażami. Powszechnie znane powiedzenie „Wart Pac pałaca, a pałac Paca” miało właśnie dotyczyć imponującej rezydencji w Jeznie. Powstało wokół niej wiele legend dotyczących rozmiarów budowli mającej kilka skrzydeł otaczających dziedziniec. Budowla miała jakoby zawierać tyle komnat, ile jest w roku miesięcy, tyle pokoi, ile tygodni oraz tyle okien, ile dni. Mówiono również, że Antoni Michał Pac chcąc szybko budowlę »

FOT. DOMENA PUBLICZNA (2X)

eprasa.pl 922094d2e9

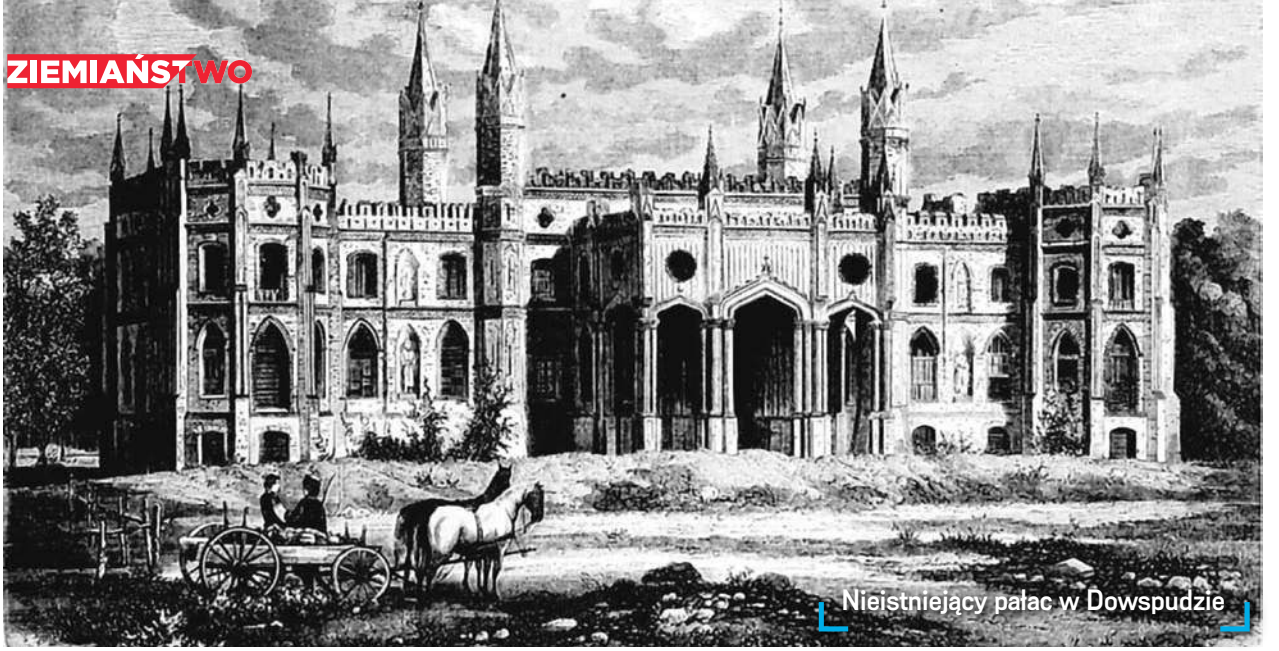

Nieistniejący pałac w Dowspudzie

» ukończyć, polecił swoim kozakom łapać postronnych ludzi, drobnych handlarzy, a nawet ubogą szlachtę oraz zmuszać do noszenia cegieł i żwiru. Niestety kolejni potomkowie Antoniego Michała mocno rezydencję zadłużyli, a ostatni jej właściciel z rodu Paców, Ludwik Michał (1780--1835), senator wojewoda i napoleoński generał, na główną siedzibę rodową wybrał Dowspudę, która miała stać się panteonem rodzinnych pamiątek. Przed sprzedażą majętności w Jeznie Ludwik Michał wywiózł całe drogocenne wyposażenie pałacu do innych swoich posiadłości (m.in. do pałacu Paców w Warszawie przy ul. Miodowej), myśląc już o budowie pałacu w Dowspudzie. Kolejni właściciele Jezna nie potrafili udźwignąć kosztów utrzymania pałacu, który popadał w ruinę, by w końcu XIX w. zniknąć z powierzchni ziemi.

Ludwik Michał Pac

Wizja generała

Ludwik Michał Pac był nie tylko ostatnim właścicielem posiadłości w Jeznie, lecz także niestety ostatnim męskim potomkiem tego magnackiego rodu. Był zaręczony z Anną z Sapiehów, ale ubiegł go książę Adam Jerzy Czartoryski (późniejszy przełożony Hotelu Lambert, stronnictwa konserwatywnego w Paryżu), który poprosił o rękę Sapieżanki i został przyjęty. Urażony Pac, były zadzierzysty napoleoński generał, wyzwał go więc na pojedynek. Doszło jakoby do pięciu zbrojnych starć, do których Czartoryski podchodził z dużą ostrożnością, o czym świadczyły satyryczne wierszyki krążące po Wilnie: „Czartoryski kupidynek – miał pojedynek, z generałem Pacem – okryty materacem". Wreszcie zakaz pojedynkowania się tych dwóch znanych osobistości ogłosił car Aleksander I. Zażarci przeciwnicy nie zrezygnowali ze śmiertelnego pojedynku, który kontynuowali poza granicami carskiej jurysdykcji. Spotkanie na śmierć i życie odbyło się w Legnicy, Czartoryski został lekko rany w nogę i wymusił na Pacu oświadczenie, iż był to już ostatni ich pojedynek. Wcześniej Ludwik Michał Pac ożenił się z Karoliną z Małachowskich, z którą miał dwoje dzieci: córkę Ludwikę i syna Jerzego. Niestety wkrótce po urodzeniu dzieci Karolina zachorowała na gruźlicę. Jej odejście przyspieszyła śmierć maleńkiego synka Jerzego. Tak więc ostała się tylko Ludwika Pacówna, która później, w 1840 r., wyszła za mąż za księcia Ksawerego Sapiehę, zamykając tym samym dzieje rodu Paców.

Po zakończonej w randze generała dywizji kampanii napoleońskiej Ludwik Michał Pac znalazł się w Anglii, gdzie podziwiał neogotyckie rezydencje brytyjskiej arystokracji. Po carskiej amnestii i po powrocie do kraju Pac zajął się otrzymanym w spadku majątkiem w Dowspudzie na Suwalszczyźnie. Oprócz wprowadzenia tam nowoczesnych systemów gospodarczych – uruchomił wytwórnię maszyn i urządzeń rolniczych – wzniósł olbrzymi, utrzymany w stylu angielskiego neogotyku, legendarny pałac. Rezydencja w Dowspudzie miała być swego rodzaju pomnikiem chluby polskiego oręża i patriotycznych dokonań przedstawicieli rodu Paców. Projekt pałacu włoskiego architekta Piotra Bosi realizował sprowadzony też z Italii, bardzo później znany w Polsce architekt Henryk Marconi. Elewację piętrowego korpusu głównego zdobiły rzeźbione figury polskich królów i hetmanów, zaś przed fasadę wysunięty był portyk, pełniący funkcję podjazdu. W bogato zdobionych wnętrzach mieściła się wojskowa biblioteka, zbrojownia, na piętrze gabinety i sypialnie. W dwukondygnacyjnych piwnicach znalazły się łaźnie i do dziś nierozpoznane lochy.

Los pałacu związany był z losem gen. Ludwika Michała Paca. Po upadku powstania listopadowego, którego Pac był pierwszym wodzem naczelnym, jego dobra zostały skonfiskowane, a on sam zbiegł na emigrację, zaś pałac, przechodząc z rąk do rąk, popadł w ruinę i w końcu XIX w. został rozebrany na cegły. Do dziś z dawnych zabudowań pałacowych w Dowspudzie zobaczyć można arkadowy portyk, narożną wieżę zwaną Bocianią oraz tajemnicze piwnice. Właściciel i inicjator budowy, ostatni z rodu gen. Ludwik Michał Pac zmarł na emigracji w Turcji w 1835 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA; BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 922094d2e9

WRACAMY PO SWOICH

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

4 października 2023 r. miałem okazję uczestniczyć w niezwykłej ekspedycji. Rankiem tego dnia z warszawskiego lotniska Okęcie w kierunku Paryża wystartował specjalny, wystawiony przez 8 Bazę Lotnictwa Transportowego, samolot C-295M. Na jego pokładzie znajdowała się rządowa delegacja pod przewodnictwem Jana Dziedziczaka, pełnomocnika Rządu ds. Polonii i Polaków za Granicą, której celem było uroczyste pożegnanie szczątków Stefana Szolca-Rogozińskiego i następnie przewiezienie ich do Warszawy.

Wylot do Paryża był też okazją do złożenia hołdu wielkim Polakom związanych ze stolicą Francji. Na cmentarzu Montparnasse delegacja złożyła wieniec na odnowionym grobie gen. Ludwika Mierosławskiego. Przy pl. Inwalidów, gdzie spoczywają doczesne szczątki Napoleona Bonaparte, po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce odbywały się masowe i wspólne protesty Polaków i Francuzów. Wydarzenia te przypomina „płyta Solidarności", na której zapłonął biało-czerwony znicz i spoczęły kwiaty ze wstęgą od ministra Dziedziczaka.

Po wizycie w polskiej bibliotece, będącej de facto skarbnicą pamiątek po naszej XIX-wiecznej emigracji, z tłumnym udziałem polonijnej młodzieży w ambasadzie RP jej gospodarz Jan Emeryk Rościszewski rozpoczął uroczystość pożegnania trumny z prochami Stefana Szolca-Rogozińskiego.

Ceremonia miała podniosłą oprawę – po przemówieniach ponad 100 osób wraz z chórem Piast odśpiewało Mazurka Dąbrowskiego oraz Rotę. Całości dopełniła modlitwa ekumeniczna odprawiona przez księdza i pastora.

Karawan odwiózł trumnę na lotnisko, gdzie została ona wniesiona na pokład samolotu z biało-czerwonymi szachownicami i na jego pokładzie wyruszyła do Polski. Wieczorem na Okęciu, przy asyście żołnierzy z kompanii honorowej WP, została odprawiona w ostatnią drogę – do Kalisza, gdzie 10 października odbył się ponowny pogrzeb Stefana Szolca-Rogozińskiego.

Musiało upłynąć aż 127 lat, by szczątki polskiego odkrywcy, badacza środkowej Afryki, zostały pochowane w ukochanej przez niego polskiej ziemi. Niewiele brakowało, by nigdy do tego nie doszło – w 2018 r. jego nieoznakowana mogiła została zlikwidowana, a szczątki przeniesiono do ossuarium cmentarza Bagneux. Dzięki zaangażowaniu polskiej historyk Barbary Kłosowicz-Krzywickiej i długofalowemu programowi polskiego rządu sprowadzania prochów wielkich Polaków udało się go odnaleźć.

Urodzony w 1861 r. Szolc-Rogoziński, syn Niemca i Polki, pod wpływem matki zafascynował się jej ojczyzną. Po osiągnięciu pełnoletności spolszczył odziedziczone po ojcu nazwisko Scholtz i dodał do niego, jako drugi człon, panieńskie nazwisko matki. Służąc w rosyjskiej marynarce, po raz pierwszy trafił do Afryki. W niezbadanej środkowej części kontynentu upatrywał możliwości stworzenia niezależnej polskiej kolonii.

Tam właśnie kierował swoje wyprawy badawcze. Założył bazę na kupionej od lokalnego wodza wyspie i na żaglowcu z biało-czerwoną banderą z warszawską syrenką docierał tam, gdzie nigdy wcześniej nie było białego człowieka. Pisane przez Rogozińskiego listy, publikowane w europejskiej prasie, były pierwszymi opisami terenów dzisiejszego Kamerunu.

Nasz afrykanista pewien czas lawirował pomiędzy zainteresowanymi Afryką kolonialnymi mocarstwami, ostatecznie jednak musiał im ustąpić i wrócić do Europy. Bez powodzenia planował kolejne wyprawy. Zginął, mając zaledwie 36 lat, pod kołami paryskiego omnibusu.

Świadomie wybrał Polskę, całe życie o niej marzył, nigdy jej nie ujrzał, lecz w końcu zaznał w niej wiecznego spokoju.

FOT. ARCHIWUM AUTORA, NAC

eprasa.pl 922094d2e9

INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ
im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego

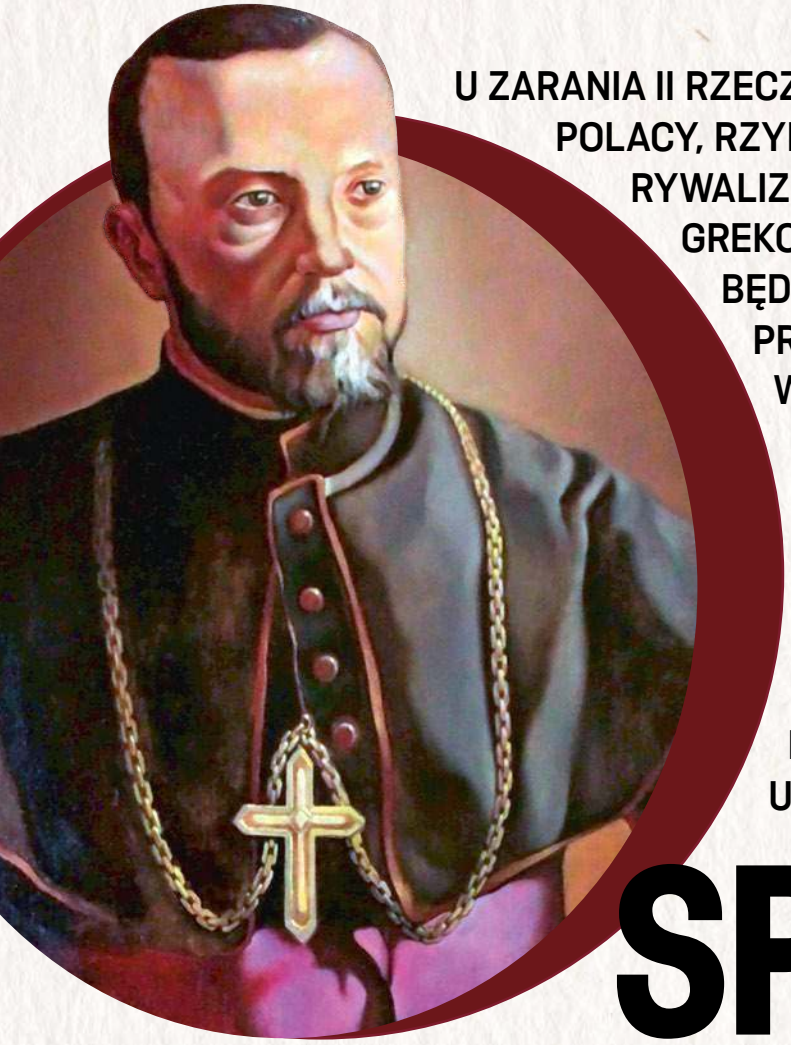

U ZARANIA II RZECZYPOSPOLITEJ POLACY, RZYMSCY KATOLICY, RYWALIZOWALI Z UKRAIŃCAMI, GREKOKATOLIKAMI, KTÓRE WYZNANIE BĘDZIE NAWRACAĆ LUDNOŚĆ PRAWOSŁAWNĄ. W TEN SPÓR WPISUJE SIĘ HISTORIA JOSYFA BOCIANA, NIEDOSZŁEGO BISKUPA GRECKOKATOLICKIEGO W ŁUCKU I BLISKIEGO WSPÓŁPRACOWNIKA ABP. ANDRZEJA SZEPTYCKIEGO, JEDNEGO Z TWÓRCÓW NOWOCZESNEJ TOŻSAMOŚCI UKRAIŃSKIEJ

SPRAWA BISKUPA BOCIANA

PRZEMYSŁAW PAZIK

Ostateczny kształt granic II Rzeczypospolitej ustalono 15 lutego 1923 r. Wcześniej jej wschodnie kresy były przedmiotem zaciętej rywalizacji między Polakami, Litwinami, Rosjanami i Ukraińcami. W walce o jak największy wpływ danej grupy narodowej często korzystano z religii jako narzędzia.

Andrzej Szeptycki – patriarcha Ukraińców

Sprawy Bociana, od 1910 r. rektora greckokatolickiego seminarium duchownego we Lwowie, nie byłoby, gdyby nie polityka abp. Andrzeja Szeptyckiego. Urodzony w 1865 r. w polskiej arystokratycznej rodzinie – jego dziadkiem był Aleksander Fredro – Roman Maria Aleksander Szeptycki w 1888 r. wstąpił do nowicjatu u ojców bazylianów i przyjął imię Andrzej (Andrij). Zmiana wyznania łączyła się u Szeptyckiego z wyborem tożsamości narodowej. Od momentu związania się z obrządkiem greckim duchowny będzie zabiegał o pomyślność narodu ukraińskiego, po 1918 r. także kosztem Polaków.

Dobrze urodzony (jego ojciec, Jan Kanty Szeptycki, piastował ważne stanowiska państwowe i dworskie w Wiedniu) i wykształcony na uniwersytetach w Krakowie, we Wrocławiu i w Rzymie Andrzej szybko piął się po szczeblach hierarchii duchownych. W 1890 r., jeszcze przed święceniami kapłańskimi, został przeorem. Dwa lata później był już biskupem. W lutym 1899 r. został ordynariuszem stanisławowskim, a 31 października

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 922094d2e9

1900 r. decyzją papieża Leona XIII został mianowany arcybiskupem metropolitą halicko-lwowskim. Nominacja Szeptyckiego na najważniejszą stolicę biskupią obrządku greckiego miała dalekosiężne skutki. Dynamiczny, ustosunkowany duchowny, dodatkowo cieszący się estymą dworu wiedeńskiego, mógł wiele zdziałać dla sprawy ukraińskiej. W 1914 r. udało się Szeptyckiemu zwiększyć reprezentację Ukraińców w sejmie galicyjskim, realizację tej reformy uniemożliwił wybuch wojny.

Szeptycki otworzył też dwa nowe seminaria greckokatolickie w Stanisławowie (1906) i Przemyślu (1907), które były nie tylko ośrodkami kształcenia kapłanów. Wykształceni, potrafiący czytać i pisać w wielu językach duchowni stawali się lokalnymi liderami ruchu ukraińskiego, zdobywając dla sprawy narodowej dusze i umysły mieszkańców wsi galicyjskich.

Ambicje Szeptyckiego sięgały również ziem rosyjskich. Korespondował on z hierarchami prawosławnymi. Uczestniczył w odbywających się między 1907 i 1936 r. konferencjach w Welehradzie – forum dialogu unicko-łacińsko-prawosławnego. Jego dalekosiężnym celem było zbliżenie prawosławia i katolicyzmu właśnie na gruncie obrządku greckokatolickiego. Ta ambitna polityka kościelna łączyła się z polityką narodową. Jeżeli to Ukraińcy byliby autorami zbliżenia prawosławia i katolicyzmu, to ich wpływy w Rosji, Watykanie i Europie Środkowej znacznie by się powiększyły.

Front wschodni i potajemne święcenia

Wybuch I wojny światowej w sierpniu 1914 r. całkowicie zmienił otoczenie, w którym działał Szeptycki i jego zaufany współpracownik, od 1910 r. rektor seminarium lwowskiego, Josyf Bocian. Po początkowych sukcesach armii austro-węgierskiej w drugiej połowie sierpnia przewagę zaczynali osiągać Rosjanie. Między 28 a 30 sierpnia miała miejsce pierwsza bitwa o Lwów. 3 września wojska carskie wkroczyły do stolicy Galicji i kierowały się w stronę Przemyśla.

Szeptycki jako jawny stronnik cesarza austriackiego liczył się z możliwością internowania, co rzeczywiście wydarzyło się 14 września. Wcześniej, 10 września, w kijowskim hotelu Continental Szeptycki potajemnie wyświęcił Josyfa Bociana na biskupa Łucka. Szeptycki miał działać na podstawie tajnych pełnomocnictw Piusa X, mianującego pasterza lwowskiego zwierzchnikiem Kościoła unickiego na Chełmszczyźnie i Wołyniu.

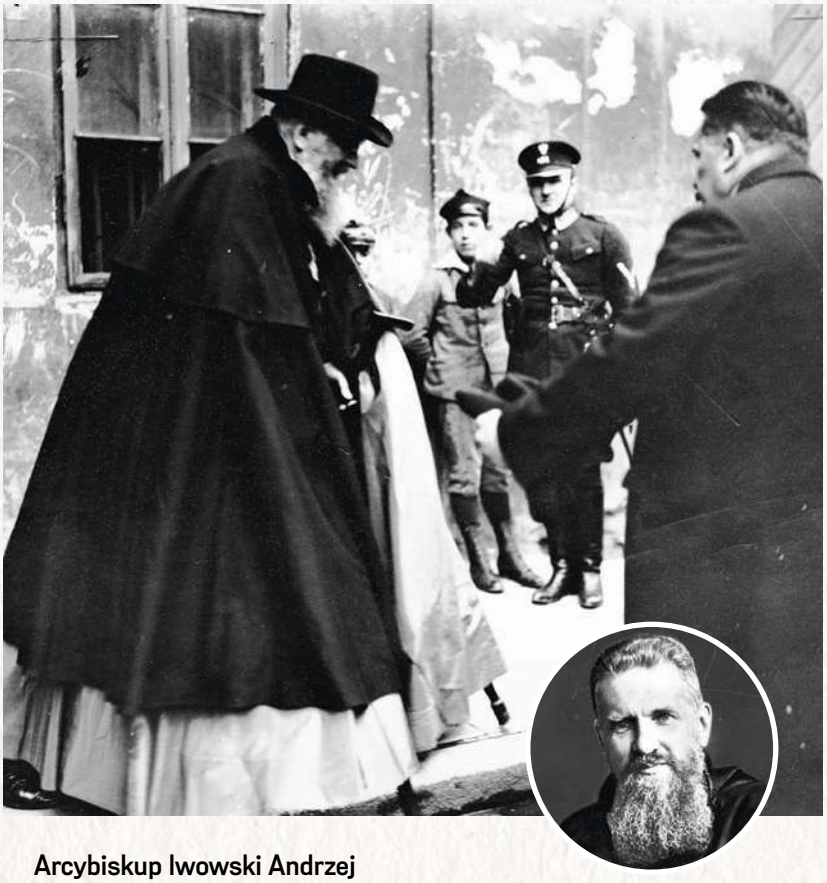

FOT. NAC (2X)

Arcybiskup lwowski Andrzej Szeptycki (obok portret) w drodze do Belwederu, wrzesień 1925 r.

Była to decyzja tyleż odważna, co ryzykowna i naruszająca stan prawny. Łuck i Wołyń były bowiem częścią Imperium Rosyjskiego. Szeptycki, dokonując tej nominacji, przyznawał sobie przekraczającą granice państwowe władzę ustanawiania diecezji greckokatolickich – w carskiej Rosji nie istniała bowiem greckokatolicka sieć kościelna po jej likwidacji ostatecznie w 1875 r. Ponadto Szeptycki dokonał nominacji ks. Bociana bez zgody władz austriackich, co powodowało, że Wiedeń odmawiał uznania tytułu i władzy nominata. Metropolita lwowski kontrargumentował, że diecezja łucka leżała poza granicami Austro-Węgier, stąd zgoda taka nie była wymagana. Szeptycki stawiał się więc w roli odnowiciela dawnych diecezji greckokatolickich. Ruch ten nie pomógł duchownym i Rosjanie szybko wywieźli ich na daleki wschód imperium, gdzie obaj przeżyli wojnę w niewoli – zwolniono ich decyzją rządu Kiereńskiego w maju 1917 r.

Wracając do Galicji, duchowni trafili w sam środek polsko-ukraińskiego sporu o ten obszar. Powróciwszy do Lwowa, Szeptycki stanął po stronie ukraińskiej, współredagując małą konstytucję Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej z 13 listopada 1918 r. Porażka wojsk ukraińskich, a następnie pokój ryski z 1921 r. przyniosły ustanowienie polskiej zwierzchności nad Galicją lub też Małopolską Wschodnią. Niemniej do 1923 r. pozostający na emigracji Szeptycki nie rezygnował z zabiegów na rzecz utworzenia państwa ukraińskiego poza Rosją Sowietów. Bocian zaś wrócił w tym czasie na terytorium Rzeczypospolitej, ale zamieszkał w klasztorze w Podhorcach i tam oczekiwał na rozstrzygnięcie swojej sprawy. »

eprasa.pl 922094d2e9

Wschodnie nadzieje Stolicy Apostolskiej

Szczególnym adresatem zabiegów Szeptyckiego była Stolica Apostolska. W okresie po zakończeniu I wojny światowej, kiedy władza bolszewików wydawała się jeszcze słaba, Stolica Apostolska kreśliła dalekosiężne plany misji na ziemiach Imperium Rosyjskiego oraz ewentualnego zjednoczenia prawosławia i katolicyzmu. Zaangażowany od początku XX w. w dialog z prawosławiem Szeptycki przekonywał, że silny Kościół greckokatolicki będzie mógł przyciągnąć wyznawców prawosławia do Rzymu. Jak donosiła ambasada RP przy Stolicy Apostolskiej w styczniu 1921 r., Szeptycki, bawiący wtedy w Watykanie, uznawał „Polskę za państwo nietrwałe, a politykę polską za wybitnie imperialistyczną, w stosunku do Rusinów".

Uznanie skuteczności nominacji biskupiej ks. Bociana i ustanowienia przez metropolitę halicko-lwowskiego stanowiłoby uznanie władzy Szeptyckiego do rządzenia administracją unicką na terytoriach leżących poza archidiecezją lwowską, tworząc z arcybiskupa de facto zwierzchnika obrządku greckokatolickiego.

Takiemu kierunkowi zdecydowanie przeciwstawiało się państwo polskie, które – związane konstytucją marcową – dążyło do uprzywilejowania wyznania rzymskokatolickiego. Jednocześnie obawiano się ukraińskiej agitacji narodowościowej na terenach etnicznie ukraińskich (Wołyń) oraz ziemiach zamieszkanych przez Białorusinów. W piśmie z 30 sierpnia 1921 r. minister spraw zagranicznych Konstanty Skirmunt wskazywał: „Dopuszczenie duchowieństwa greko-unickiego do działalności misjonarskiej wśród prawosławnej ludności Rzplitej może być brane pod rozwagę wtedy, gdy duchowieństwo to da gwarancje, że działalność jego nie będzie przedstawiała niebezpieczeństwa dla państwa polskiego [...]".

Obok względów bezpieczeństwa istotna była też rywalizacja między unitami a katolikami rzymskimi o rząd dusz wśród konwertytów z prawosławia. Działania metropolii we Lwowie krzyżowały plany bp. podlaskiego Henryka Przeździeckiego, który był promotorem obrządku wschodniosłowiańskiego.

Afera 1921 r. i jej załagodzenie

Problem udzielonej przez Szeptyckiego sakry nabrał znaczenia politycznego, gdy pojawiły się pogłoski o próbie wykonywania przez Bociana funkcji biskupiej na terytorium Wołynia. Krakowski „Czas" w czerwcu 1921 r. na wieść o rzekomym przybyciu bp. Bociana do Łucka pisał, że Watykan i Ukraińcy „zaczynają już traktować Polskę gorzej od dawnej Turcyji, na równi prawie z afrykańskimi państewkami". Krakowskiemu periodykowi wtórowały i inne gazety. Warszawski „Kurier Polski" widział w osobie bp. Bociania „wstęp do unickiego prozelityzmu" na Wołyniu. Endecka „Gazeta Warszawska" wprost pisała o „zagrożeniu polskości na kresach". 11 czerwca delegacja posłów z okręgu lwowskiego udała się do premiera Witosa z żądaniem podjęcia aktywnej polityki przeciwdziałającej aktywności duchownych greckokatolickich poza terytorium ich diecezji oraz przedstawienia planów polskiej polityki wobec kresów.

Wobec nacisku opinii publicznej Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego poleciło wojewodzie sprawdzenie pogłosek oraz zachowanie czujności na wypadek, gdyby bp Bocian pojawił się w Łucku i zaczął sprawować swoją funkcję. Plotki te nie znalazły jednak potwierdzenia.

Jednocześnie MSZ wystosowało notę do Sekretariatu Stanu, chcąc upewnić się, czy abp Szeptycki miał prawo wyświęcić biskupa łuckiego. W rozmowie z posłem polskim Józefem Wieruszem-Kowalskim kard. Pietro Gasparri stwierdził, że święceń udzielono poprawnie na mocy pełnomocnictw udzielonych przez papieża Piusa X. Jego następca, Pius XI, nie mógł uznać ich za nieważne. Jednocześnie zabronił nominatowi wykonywania jakichkolwiek czynności związanych ze sprawowaniem sakry biskupiej. Kard. Gasparri podkreślał też, że kreacja biskupia miała miejsce przed 1917 r., a więc przed uznaniem państwowości polskiej, i wynikała ona z własnej inicjatywy abp. Szeptyckiego.

Sprawa bp. Bociana wpłynęła na dynamikę toczących się od ponad roku rozmów dotyczących konkordatu. Państwo polskie stało na stanowisku, że tworzenie jakichkolwiek diecezji może mieć miejsce wyłącznie za zgodą władz państwowych i istnienia greckokatolickiego biskupstwa w Łucku nie uznaje. Temperaturę sporu obniżyła choroba niedoszłego ordynariusza łuckiego, która uniemożliwiła mu próby wykonywania funkcji biskupiej. W następnych latach przybliżała się perspektywa zawarcia konkordatu z Rzecząpospolitą, a jednocześnie malały perspektywy na odzyskanie przez Ukraińców państwowości i podjęcie przez duchownych unickich akcji misyjnej w Związku Sowieckim.

Te czynniki skłoniły Stolicę Apostolską do ustępstw. Wiosną 1924 r. skierowano do MSZ pytanie, czy władze polskie zgodziłyby się na mianowanie bp. Bociana biskupem pomocniczym diecezji lwowskiej. Zgodę władz polskich uzależniono od postawy abp. Szeptyckiego, od którego oczekiwano, by zwrócił się do Ministerstwa Wyznań Religijnych z odpowiednim podaniem. Sama osoba bp. Bociana nie budziła zastrzeżeń – widziano w nim walczącego o sprawę narodową Ukraińca, ale też odnotowywano, że nie podejmował działalności antypaństwowej. W związku z tym 20 października 1924 r. bp Bocian został mianowany przez papieża biskupem pomocniczym archidiecezji lwowskiej, o czym pismem w języku ukraińskim 6 listopada 1924 r. abp Szeptycki poinformował wojewodę lwowskiego. Do śmierci w 1926 r. bp Bocian pozostał sufraganem lwowskim.

Na mocy konkordatu i wydanej w ślad za nim bulli papieskiej „Vixdum Poloniae unitas" podział diecezjalny w II RP został unormowany. Unici otrzymali trzy diecezje: archidiecezję lwowską, diecezję przemyską i stanisławowską. Wierni obrządku greckiego zamieszkujący poza tymi diecezjami podlegali władzy biskupów obrządku łacińskiego.

NOTA: Badania będące podstawą tej publikacji zostały sfinansowane z grantu ERC (projekt Sovereignty, umowa nr 101044165). Poglądy wyrażone w tej publikacji są opiniami autora i nie oddają ani stanowiska UE, ani Agencji Wykonawczej ERC, które nie biorą na siebie odpowiedzialności za przedstawione w tekście tezy.

eprasa.pl 922094d2e9

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE/PL

JAKUBOWSKA • JARECKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • BIEDROŃ • KOCZOT • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY • WYSOCKI

OGLĄDAJ NAS:

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI **196**

upc
NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange
NA POZYCJI **32**

NETIA
NA POZYCJI **192**

VECTRA
NA POZYCJI **825**

Autopromocja

NAJWAŻNIEJSZY REMIS W HISTORII POLSKIEGO FUTBOLU

PRZED PÓŁ WIEKIEM POLSKA REPREZENTACJA SKAZANA „NA POŻARCIE" AWANSOWAŁA NA MUNDIAL W RFN, ELIMINUJĄC „SYNÓW ALBIONU", PO DRAMATYCZNYM BOJU NA SŁYNNYM WEMBLEY

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Biuro Badań Historycznych IPN

Dziś polska reprezentacja przegrywa nie tylko z Czechami, lecz także z Albanią czy Mołdawią. Jednak nie zawsze tak było, a Polacy nie drżeli zarówno przed europejskimi średniakami, jak i światowymi gigantami.

50 lat temu – 17 października 1973 r. – w eliminacjach do mistrzostw świata, które miały być rozegrane w 1974 r. w Republice Federalnej Niemiec, Polacy zagrali na sławnym stadionie Wembley z Anglikami. Nasi piłkarze, którym nikt nie dawał szans na awans po wylosowaniu dwóch wyspiarskich drużyn (drugą była Walia), pokonali jednak u siebie obu rywali i po przegranym meczu wyjazdowym z Walią nadal pozostawali w grze o awans. Byli jednak w bardzo trudnej sytuacji – nie dość, że mieli zagrać z jedną z najlepszych drużyn świata na jej terenie, to jeszcze do tego utracili swojego asa, Włodzimierza Lubańskiego. Wystarczał im co prawda remis, ale Anglicy byli dodatkowo podrażnieni niespodziewaną dla nich porażką w Chorzowie. W awans wierzyli więc tylko niepoprawni optymiści.

Trudny mecz

Okazało się jednak, że Polacy przetrwali napór – chwilami wręcz huraganowy – angielskiej reprezentacji. Mało tego, po strzale Henryka Domarskiego objęli prowadzenie. Co prawda cieszyli się nim wyjątkowo krótko (od 57 do 63 min), gdyż z rzutu karnego wyrównał Allan Clarke, ale udało im się utrzymać ten zwycięski dla nich remis do końcowego gwizdka.

Mecz Polska–Anglia (1:1). Mick Channon stara się przedrzeć przez polską obronę, za nim Kazimierz Deyna. Stadion Wembley, 17 października 1973 r.

FOT. PETER ROBINSON/PA/EAST NEWS

epresa.pl 922094d2e9

Niekwestionowanym bohaterem tego spotkania został nasz bramkarz Jan Tomaszewski. Okrzyknięto go „człowiekiem, który zatrzymał Anglię". Mecz ten był dla Polski i Polaków – nie tylko w kraju, lecz także na emigracji – wydarzeniem wyjątkowym. Co niezwykłe, sporo miejsca poświęciła mu nawet Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa. Wojciech Trojanowski na antenie RWE tak relacjonował wydarzenia na stadionie z pierwszej połowy spotkania na Wembley: „Ten remisowy, a właściwie zwycięski remis 1:1 – to się na to absolutnie nie zapowiadało [...] był straszny, miażdżący, przygniatający atak Anglików od pierwszej chwili [...]. Wspaniałe strzały [Martina] Chiversa i [Alana] Balla, zwłaszcza Chivers – ogromne chłopisko, jeszcze wyższy od naszego [Jerzego] Gorgonia, rzeczywiście muszę powiedzieć, że był bohaterem drużyny angielskiej. On prowadził te ataki, które jak przypływ morza szły na bramkę polską, jeden za drugim, jeszcze jeden się nie skończył, kiedy szedł drugi, trzeci, a tam była kopanina, główki i obrona, która muszę powiedzieć, była chaotyczna, bezradna, paniczna, ale pod tym względem wspaniała, że bajecznie skuteczna". W drugiej połowie Polacy nie ograniczali się już tylko do kurczowej obrony – choć Anglicy oczywiście nadal naciskali – lecz także wyprowadzali groźne kontry, czego efektem była bramka Domarskiego.

Powszechny entuzjazm

O entuzjazmie, z jakim Polacy przyjęli zwycięski remis, świadczy drobny fakt przytoczony po latach przez ówczesnego prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej Jana Maja. Wspominał on: „Po meczu na Wembley ambasada zrobiła spotkanie. Stara emigracja z zasady nie korzystała z zaproszeń. Na wieczór z piłkarzami zabrakło miejsca". I dodawał: „W trakcie wieczoru podchodzi do mnie polonus, straszy facet, którego losy wojny rzuciły zagranicę i mówi: »Moje serce jest nadal w Polsce, choć tutaj żyję, pracuję, tu mi się urodził syn. Z przerażeniem obserwuję u niego proces wynaradawiania, nie identyfikuje się z Polską [...]. W trakcie meczu stał się cud. W momencie, gdy Domarski strzelił bramkę, chłopak podskoczył i krzyknął: Tato! Ja jestem Polakiem!«".

Podobny entuzjazm panował oczywiście w kraju. Niekiedy zresztą – przynajmniej w ocenie organów porządku – nadmierny. Tak było we Wrocławiu, gdzie cieszących się zbyt hucznie kibiców potraktowano milicyjnymi pałkami. Tak na marginesie, na łamach „Przeglądu Sportowego" można było potem przeczytać – fakt, że z relacji z Warszawy – „W takim dniu nawet milicjanci przymykali oczy na nieco głośniejsze, niż pozwala na to obyczaj zachowanie się młodych sympatyków piłki nożnej". Sukces doceniły oczywiście również władze PRL – depeszę z gratulacjami do piłkarzy wysłali zarówno I sekretarz KC PZPR Edward Gierek, jak i premier Piotr Jaroszewicz, zaś po powrocie z Wysp Brytyjskich przyjął ich sam Edward Gierek i członek Biura Politycznego KC PZPR Edward Babiuch.

Od Wembley do deszczu w Monachium

Na temat sukcesu na Wembley obszernie informowała oczywiście polska prasa. I tak np. „Przegląd Sportowy" pisał – co zresztą wybijał na pierwszej stronie – o „wielkim meczu dwóch różnych drużyn", który „oglądał cały świat", a przy okazji oceniał, że Anglicy wyrównali „po problematycznym rzucie karnym". Podkreślano przy tym głównie zasługi Tomaszewskiego, ale chwalono całą drużynę, którą nazywano „bohaterami z Wembley". Na łamach „Przeglądu Sportowego" na temat ich postawy pisano m.in.: „Co warto podkreślić w momencie, gdy jeszcze nie zdążyliśmy ochłonąć po tym wspaniałym sukcesie polskiej drużyny? Przede wszystkim niezwykłą wprost ofiarność całego zespołu. Tak to był kolektyw 11 piłkarzy przepojonych wspólnym celem. Nie było dla nich straconych piłek. A jeśli już ktoś popełnił jakikolwiek błąd, koledzy starali się z przeogromną pasją nadrobić każdą pomyłkę". I konkludowano: „A o sukcesie zdecydowała wielka ambicja, połączona z dużymi umiejętnościami polskich piłkarzy".

Osiągnięcie reprezentacji Polski odnotowano też w wielu krajach na całym świecie, a nasi piłkarze zbierali pochwały. I tak np. o ich sukcesie głośno było w Brazylii, gdzie piłka nożna była i nadal jest niemal religią. Wspominały o nim m.in. dwa dzienniki ukazujące się w Rio de Janeiro. Jak donosiła potem nasz prasa: „W komentarzach prasa brazylijska podkreślała, że eliminując reprezentację Anglii, piłkarze polscy udowodnili, że zdobycie złotego medalu na olimpiadzie w Monachium nie było dziełem przypadku". Z kolei Rene Maupas na łamach prestiżowego francuskiego „L'Equipe" stwierdzał, że „zwycięstwo Polski nad Anglią w eliminacjach jest największym wydarzeniem historycznym w świecie piłkarskim od przegranej Anglii ze Stanami Zjednoczonymi (0:1) w Pucharze Świata w 1950 roku i porażki z Węgrami (3:6) również na Wembley w 1953 roku". Z kolei we włoskim „Tuttosport" pisano o „heroicznym wyczynie polskich piłkarzy, którzy po wspaniałej grze wyeliminowali z finałów mistrzostw świata butnych Anglików". Ich sukces został uznany we Włoszech za „ogromną sensację" i przyjęty z „dużym zadowoleniem". Co ciekawe, holenderska prasa, a dokładniej dziennik „Volkskrant" za głównego bohatera polskiej reprezentacji nie uważał Jana Tomaszewskiego, lecz Jerzego Gorgonia. Ale był to głos odosobniony.

Z kolei prasa zachodnioniemiecka po zwycięskim remisie na Wembley miała wymieniać reprezentację Polski wśród pięciu faworytów mistrzostw świata w 1974 r., a w gronie gratulujących jej sukcesu znalazł się m.in. minister spraw zagranicznych RFN Walter Scheel. Podczas wizyty w PRL – jak informowała polska prasa sportowa – „wyraził się z dużym uznaniem o grze naszej reprezentacji", a także przekazał swojemu polskiemu odpowiednikowi (Stefanowi Olszowskiemu) gratulacje dla zawodników naszej reprezentacji. Miał też chwalić „dobrą grę i ambicję" polskich piłkarzy.

Sukces w eliminacjach do mundialu nie został zmarnowany kilka miesięcy później, w trakcie mistrzostw 6 lipca 1974 r. Polacy wygrali z Brazylią 1:0 „finał pocieszenia" i zajęli trzecie miejsce. Zaś według wielu ekspertów, gdyby ich mecz półfinałowy z gospodarzami z RFN nie został rozegrany na siłę, na niedającym się de facto po oberwaniu chmury boisku stadionu we Frankfurcie, który uniemożliwił wykorzystanie im ich największych atutów, sukces ten mógłby być jeszcze większy.

eprasa.pl 922094d2e9

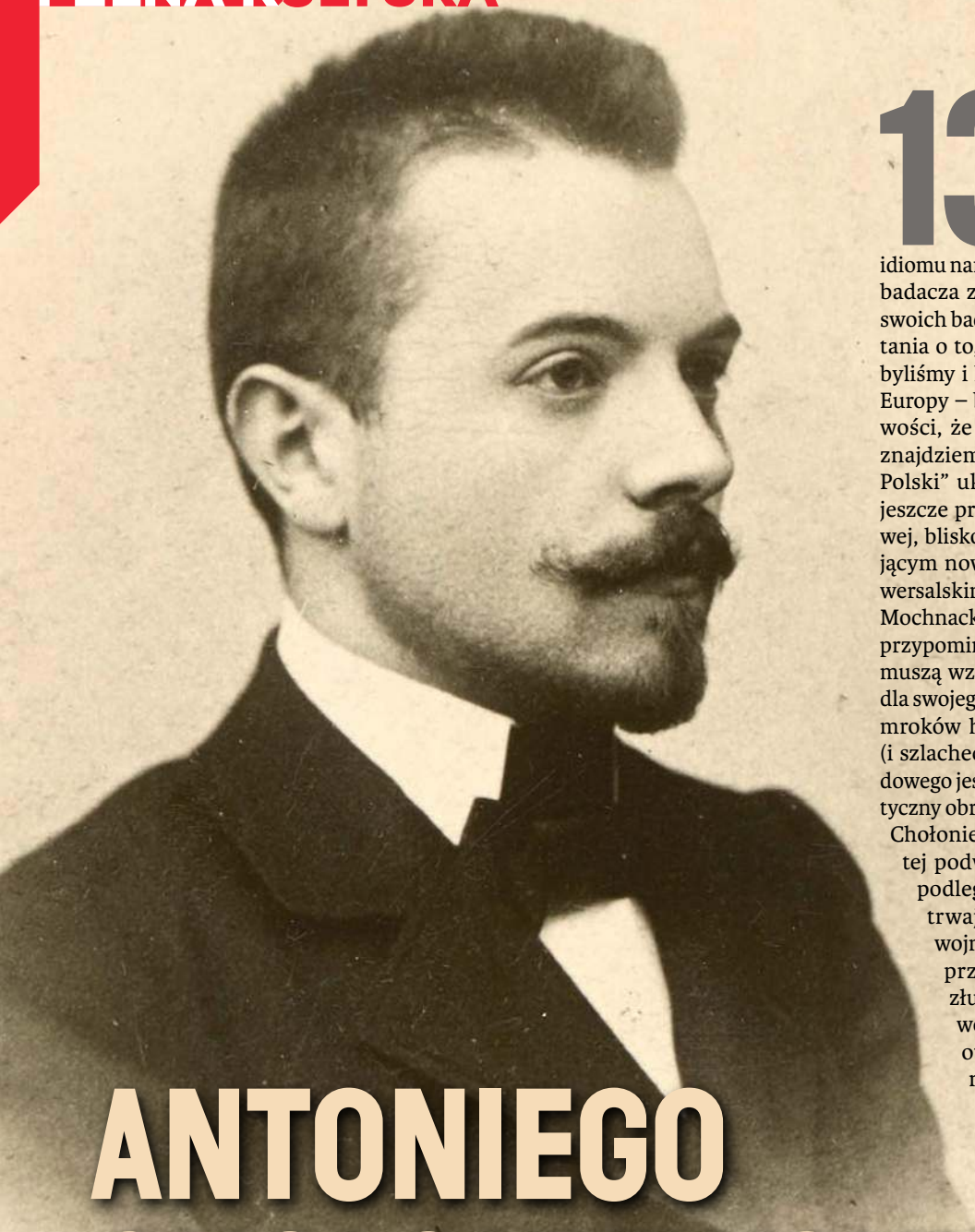

13 maja 2023 r. minęło 99 lat od śmierci Antoniego Chołoniewskiego, jednego z najciekawszych analityków polskiego idiomu narodowego. Ze skrupulatnością badacza zakochanego w przedmiocie swoich badań Chołoniewski stawiał pytania o to, kim na przestrzeni dziejów byliśmy i kim – gdy wrócimy na mapę Europy – będziemy. A nie miał wątpliwości, że na tej mapie ponownie się znajdziemy, choć jego „Duch dziejów Polski" ukazał się już w 1917 r., czyli jeszcze przed końcem I wojny światowej, blisko dwa lata przed zatwierdzającym nowy ład polityczny traktatem wersalskim. Używając słów Maurycego Mochnackiego, autor „Ducha dziejów" przypominał już wtedy rodakom, że nie muszą wznosić nowych fundamentów dla swojego państwa, bo wystarczy z pomroków historii wydobyć szlachetną (i szlachecką) budowlę naszego narodowego jestestwa. Przedstawiając syntetyczny obraz naszych narodowych cech, Chołoniewski głęboko wierzył, że na tej podwalinie wyrośnie nowe niepodległe państwo. Wierzył, mimo trwającej w najlepsze wielkiej wojny, mimo mamienia Polaków przez rozbiorowe mocarstwa złudnymi obietnicami przyszłej wobec nich łaskawości i wbrew otwierającej się coraz szerzej na wschodzie otchłani nadciągającego bolszewickiego piekła.

ANTONIEGO CHOŁONIEWSKIEGO IDIOM POLSKOŚCI

MAGDALENA MERTA

ZAPOMNIANY DZIŚ W DUŻEJ MIERZE ARCHITEKT MYŚLENIA O POZABOROWYM ODBUDOWANIU TOŻSAMOŚCI NARODOWEJ POLAKÓW JEST WCIĄŻ AKTUALNY!

FOT. POLONA.PL

eprasa.pl 922094d2e9

Nie sposób wymienić wszystkiego, co składa się według Chołoniewskiego na specyficzny kształt naszego narodowego charakteru, ale warto przyjrzeć się bliżej paru „smaczkom", wyłowionym przez myśliciela z powodzi historycznych wydarzeń, które ów charakter wykuły, umocniły i nadały mu wyjątkowość oraz niepowtarzalność. Bo, jak zaznaczał, „świadomość posiadania świetnej spuścizny dziejowej, świadomość, która zobowiązuje do utrzymania się na odziedziczonej wyżynie, musi się stać pomnożycielką naszej energii".

Miłość u podstawy sukcesu

Zachwycające u Chołoniewskiego jest jakże częste w jego dziele odwoływanie się do czynnika miłości. Z lubością cytuje on preambułę zawartej w 1413 r. polsko-litewskiej unii w Horodle: „Nie dozna łaski zbawienia, kogo nie wesprze miłość. Ona jedna nie działa marnie: promienna sama w sobie, gasi zawiści, uśmierza swary, użycza wszystkim pokoju, skupia, co się rozpierzchło, podźwiga, co upadło, wygładza nierówności, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nie obraża nikogo, a ktokolwiek się schroni pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulęknie się niczyjej groźby. Miłość tworzy prawa, włada państwami, urządza miasta, wiedzie stany Rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi, a kto nią pogardzi, ten wszystko utraci. Dlatego też my wszyscy zebrani, prałaci, rycerstwo i szlachta, chcąc spocząć pod puklerzem miłości [...], niniejszym dokumentem stwierdzamy, że łączymy i wiążemy nasze domy i pokolenia, nasze rody i herby". Ducha tego porozumienia podtrzymała potem unia w 1569 r., po której polonizacja elit następowała samoistnie, bez żadnych nacisków z polskiej strony, a szacunek do pierwotnej tożsamości przejawiał się choćby w tym, że język ruski pozostał na Litwie językiem urzędowym, a stosujące się do obowiązującego prawa sądy, do których tamtejsza ludność dobrowolnie składała pozwy pisane po polsku, orzeczenia wydawały po rusku, ratując tym samym przed zanikiem szlachecką ruskość Wielkiego Księstwa. I ta „spiżowa trwałość" dzieła polskiej mądrości stanu, łączącej „wolnych z wolnymi i równych z równymi" legła, zdaniem autora „Ducha dziejów", u podstaw dozgonnej wierności wielkich Litwinów – takich jak Rejtan, Kościuszko czy Mickiewicz, jak rody Sanguszków, Sapiehów czy Radziwiłłów – racjom Rzeczypospolitej.

Tolerowanie religijnych inności

Szczególnie ciekawe rozważania poświęca Chołoniewski polskiej tolerancji wyznaniowej. A sięgała ona jeszcze czasów Pawła Włodkowica, który na zwołanym w 1414 r. soborze w Konstancji, tym samym, na którym obronił nas przed roszczeniami Krzyżaków, wygłosił słynną formułę: „Wiara nie może być przymusem". I choć ruch reformacyjny nie budził w Rzeczypospolitej zachwytu, nie owocowało to ani sądami inkwizycyjnymi z ich torturami i stosami, ani nie utrudniano protestantom uczestnictwa w życiu politycznym, skoro w 1569 r. mający senacką większość innowiercy (38 z 73 miejsc) przewodzili polskim sejmom i tłumnie roili się na królewskim dworze. Przypomina nam autor, jak to Zygmunt August nie chciał być „królem sumień", a Batory zdecydowanie deklarował, że „wiary nie wolno nigdy rozszerzać prześladowaniem i krwią, ani sumień ludzkich zniewalać gwałtem". Przypomina, że nawet szaleniec Boży Piotr Skarga, który schizmatyków jako żywo nie kochał, zawarł swój stosunek do nich w słowach: „Złe odszczepieństwo, ale krew miła", a ksiądz podkanclerzy Myszkowski apelował, jakże zgodnie z polskim duchem, odwołując się, podobnie jak było to w przypadku Litwy, do kategorii miłości: „Różne rozumienie Pisma niech nie mąci miłości między nami, niechaj nie urąga jeden drugiemu, a każdy przy swoim rozumieniu zostaje". A i kanclerz koronny Jan Zamoyski, choć otwarcie marzący o „świętej jedności" wyznaniowej Polaków, deklarował protestantom: „Jeśli kto będzie wam gwałt czynił, dam wszystko swe zdrowie przy was, abym na tę niewolę nie patrzył".

Przywołuje autor „Ducha dziejów" konfederację warszawską (choć tak tego aktu z 1573 r. nie nazywa), która zrównywała wszystkie wyznania, i zaznacza, że dokonywała się ona niemal w niewygasłej jeszcze poświacie pożogi nocy św. Bartłomieja. I – co zapewne ucieszy Polaków, zawsze przewrażliwionych na punkcie tego, co myśli o nich zagranica – przytacza postulaty francuskich hugenotów marzących o tym, by ich monarcha poszedł w ślady Polski, i cytuje zachwyconego polskimi swobodami Erazma z Rotterdamu. Uczciwie wymieniając zaś rzadkie przypadki innych niż tolerancyjne postaw, jakie również się zdarzały, zaznacza ich epizodyczny i reaktywny charakter, upatrując w tych niezbyt chwalebnych momentach odpowiedzi na moskiewską czy niemiecką prowokację. Z upodobaniem porównuje też krótki żywot zawartej w 1439 r. unii florenckiej z 300-letnim trwaniem podpisanej z prawosławiem unii brzeskiej.

Prawo to wolność

Niewątpliwie wiąże Chołoniewski tę legendarną tolerancję wyznaniową Polaków z ich bezbrzeżnym umiłowaniem wolności jako takiej, bezlitośnie kpiąc z krzywdzącego obrazu rzekomo panującej w naszym kraju anarchii. Zaprzeczeniem wizji wszechobecnego w Polsce warcholstwa i dowodem na niekwestionowany prymat prawa nad samowolą była w jego mniemaniu jawność rozprawy sądowej, którą w Europie zaprowadziła dopiero rewolucja francuska, a która wcześniej obowiązywała jedynie w Anglii i Polsce (choć tylko w odniesieniu do szlachty). Wyrazem tego była dlań również pogarda dla osób lekceważących wyroki sądowe, uważanych za tchórzy i jako banitów niechronionych przez prawo, w związku z czym każdy mógł bezkarnie zadać im śmierć. (Choć, na co zwrócił swego czasu uwagę specjalizujący się w prawie międzynarodowym Eryk Habowski, a co Chołoniewski w swym tekście pomija, norma ta nie zawsze działała, czego dowodzi historia Samuela Zborowskiego i jego jeszcze bardziej niepokornego siostrzeńca, czyli Diabła Stadnickiego). O trwającym przez stulecia przywiązaniu do ustalonych norm prawnych świadczy zdaniem autora fakt, że jeszcze w XVIII w. w polskim sądownictwie odnoszono się do ustanowionego przez Kazimierza Wielkiego w 1347 r. statutu wiślickiego. I znów oceniając sytuację w Polsce, przywołano »

eprasa.pl 922094d2e9

» opinie odwiedzających nasz kraj cudzoziemców, takich jak Rulhiere, Schulz czy Coxe, zaskoczonych panującym u nas ładem i bezpieczeństwem. Z satysfakcją odnotowuje też Chołoniewski opinię bardzo niechętnego naszej ojczyźnie rosyjskiego ambasadora Repnina, według którego Polacy mieli „fanatyczną głowę na punkcie prawa".

Chwała niezaborczego oręża

Emanacją ducha polskiego będzie także niechęć do wojen zaborczych, choć autor dzieła nie stroni od podkreślania chwały polskiego oręża, m.in. apoteozując bohaterskich hetmanów, takich jak Stanisław Żółkiewski czy jego prawnuk Jan III Sobieski, lub z dumą przypominając grunwaldzkie zwycięstwo nad Krzyżakami. Wysuwa tezę, że gdyby nie zakorzenione w polskim rycerstwie poczucie misji chronienia zachodniej cywilizacji przed barbarzyńską powodzią Mongołów czy Turków, Europie nie dane byłoby dostąpić rozkwitu, jakim się szczyci. I mimo dostrzegania wad oraz niedostatków militarnych rodzimego pospolitego ruszenia, przypomina, że niezwyciężona polska husaria, stawiająca tak skuteczny opór wrogim hordom, stanowiła w gruncie rzeczy w najgłębszym sensie właśnie taką ruszającą na wezwanie formację, a nie regularne wojsko. I że nasza niezłomna gotowość na bohaterskie złożenie daniny krwi usłała mogiłami polskich rycerzy rozległe „stepy Besarabii, Węgier i podnóża Bałkanów". A przy tym podkreśla, że prawo zwoływania pospolitego ruszenia od 1496 r. miał tylko sejm, który przejął tę kompetencję od króla, niemożliwa była więc zbrojna mobilizacja wojska dla jakichś partykularnych interesów. Wzruszająco pisze też autor o prastarym polskim zwyczaju, nakazującym uczestniczącym w Eucharystii rycerzom wyciąganie do połowy szabel z pochwy podczas czytania Ewangelii, co symbolizowało stałą gotowość zbrojnego bronienia wiary.

Z całą mocą podkreśla Chołoniewski, że „decyzja narodu stanowiła hamulec, który utrudniał państwu popadanie w konflikty, i to tym bardziej, że towarzyszyła temu zasadnicza niechęć do rzezi wojennych. Wobec możliwości rozlewu krwi ludzkiej żadne państwo nie rządziło się nigdy tak wysokimi skrupułami moralnymi jak polskie. Przed rozpoczęciem wojny sejm zastanawiał się niejednokrotnie w specjalnej komisji, czy jest ona nieunikniona, czy w sporze, który groził zatargiem zbrojnym, słuszność jest po stronie Polaków. Pojęcie słuszności, które w stosunkach międzynarodowych wygląda jak ton zabłąkany z innego świata, to pojęcie istniało w polityce państwa polskiego jako wartość realna". I w tym duchu postuluje Chołoniewski wychowywać młode pokolenia, uznając za celne i aktualne zalecenie Komisji Edukacji Narodowej z 1785 r.: „W nauce historii nauczyciel nigdy nie będzie nazywał polityką, to jest umiejętnością rządu, ani bohaterstwem tego, co jest chytrością, zdradą, podłością, gwałtem, przemocą, najazdem i cudzego przywłaszczeniem".

Promieniowanie

Była też Polska według Chołoniewskiego nie tylko krajem wolności, lecz również państwem niemal od zarania historii wolność szerzącym, czego dowodzą np. dotyczące bojarów przepisy unii horodelskiej czy wcześniejszy od niej przywilej z 1387 r., gwarantujący im swobodę stosunków rodzinnych i własność ziemi, posiadanej wcześniej warunkowo z łaski księcia, a także przywileje późniejsze, z 1434 i 1447 r., w myśl których nie wolno ich było bez sądu więzić ani pozbawiać majątku. To pod wpływem dokonań Dymitra Samozwańca chciano zmusić obejmującego władzę cara Wasyla Szujskiego do zobowiązania się, „na modłę polską", że nie będzie nikogo skazywał bez sądu na śmierć, ani też nikomu bez wyroku konfiskował dóbr. Podobnie jak Kutrzeba słyszy w tym Chołoniewski echo artykułów henrykowskich i dostrzega powidoki tego, co zawierały pacta conventa. Polski duch wolnościowy opromienił swym blaskiem Francuzów, którzy po 1831 r. przez 30 następnych lat gotowi byli – czemu dobitnie dawali wyraz – bić się w wojnie o wolną Polskę. 100 lat później, czego autor „Ducha dziejów" już nie dożył, bo zmarł w 1924 r., nie chcieli umierać za Gdańsk... A i Niemcy, którzy w 1848 r. w Berlinie na ramionach ponieśli uwolnionych z więzienia Polaków pod królewski zamek, domagając się (skutecznie!) złożenia im pokłonu, Niemcy, których rozliczni poeci prześcigali się wówczas w układaniu podniosłych hymnów na cześć naszych walczących z despotyzmem rodaków, niewiele się najwyraźniej o naszym narodzie nauczyli, skoro nieco ponad 90 lat później cumujący w Gdańsku, dowodzony przez kpt. Gustava Kleikampa, pancernik Schleswig-Holstein oddał pierwsze strzały w kierunku Westerplatte...

Dobrze się stało, że w 2018 r., w ramach Biblioteki Akademii Niepodległości, Instytut Pamięci Narodowej wydał „Ducha dziejów Polski" – z przedmową Krzysztofa Kawalca i słowem wstępnym ówczesnego prezesa IPN Jarosława Szarka. Z pewnością warto na nowo odczytywać dziś słowa tak niechętne przykrawaniu polskiej polityki do norm narzucanych z zewnątrz czy – co celnie uwypuklił prof. Kawalec – „przepraszaniu całego świata za to, że w ogóle ośmielamy się istnieć". „Duch dziejów" jest manifestem wzywającym, byśmy nie tylko istnieli, lecz także zachowali swój niepowtarzalny charakter, własną i właściwą tylko nam samym wizję swojej tożsamości. Byśmy obronili naszą wyjątkową duchowość, nasz – rzec by można – idiom polskości.

FOT. POLONA.PL

eprasa.pl 922094d2e9

Państwowy Instytut Wydawniczy

Odtrutka na fałszywą mowę

ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Na początek krótki quiz: kiedy stanął we Francji najnowszy pomnik Mao Zedonga? Prawidłowa odpowiedź: w 2012 r. Tak były mer Montpellier oddał cześć „jednemu z wielkich ludzi XX w.". Trudne do uwierzenia? Niestety podobnych informacji w książce Pierre'a Boncenne'a znajdziemy wiele.

Bohaterem „Parasola Simona Leysa" jest światowej sławy belgijski sinolog Pierre Ryckmans, znany jako Simon Leys. Ten człowiek wielu talentów (tłumacz chińskiej klasyki, miłośnik kaligrafii, pisarz, historyk sztuki, krytyk literacki), krystalicznej uczciwości i ogromnej odwagi, przez lata skupiał na sobie nienawiść zachodnich autorytetów lewicy i wszelkiej maści maoistów, przez których zresztą musiał porzucić karierę akademicką we Francji i wyjechać do Australii. Wciąż jednak był solą w oku osób pokroju Alaina Badiou, który w 2014 r., krótko po śmierci Leysa, zaatakował jego słynną pierwszą książkę „Nowe szaty przewodniczącego Mao" jako „błyskotliwą improwizację ideologiczną, pozbawioną jakiegokolwiek związku z rzeczywistością polityczną". Skoro piewcy maoizmu mają się tak dobrze w XXI w., wyobraźmy sobie, co działo się w 1971 r., gdy ukazała się wspomniana książka z opisami wyławianych na plażach Hongkongu straszliwie okaleczonych ciał ofiar rewolucji kulturalnej, wrzucanych do Rzeki Perłowej.

Ta i kolejne prace Leysa – rzetelne, oparte na chińskich źródłach – wywoływały wściekłość i opór. Z braku rzeczowych kontrargumentów operowano kalumniami, a poziom dyskutantów doskonale ilustruje włoska dziennikarka M.A. Macciocchi, która po powrocie z ChRL opowiadała (całkiem serio) historię dziecka, które płacząc po stracie przypinki z Mao, dawało pocieszającemu mu ojcu lekcję świadomości politycznej: „Płaczę, bo mam idealny powód, a ty chcesz mi dać podniety ekonomiczne, jak Liu Shaoqi, żeby mnie skorumpować". Zresztą różne sławy wracały z Chin równie zachwycone.

Leys nie był jedynym, który znał prawdę o Chinach, lecz – jak stwierdził: „To właśnie skandaliczne milczenie zmusiło mnie do zabrania głosu". Wybrał mowę „tak, tak; nie, nie".

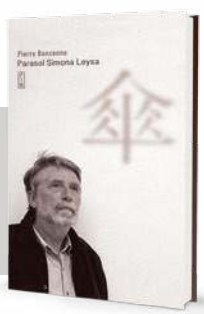

Pierre Boncenne, „Parasol Simona Leysa", tłum. Grażyna Majcher, Państwowy Instytut Wydawniczy 2023

Dwa sposoby

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Jak najmłodszym przekazać informacje o odległych i dość trudnych do zrozumienia wydarzeniach historycznych? Tych żyjących czasem tylko w pamięci rodzinnej, przekazywanych z pokolenia na pokolenie albo znanych z kart podręczników szkolnych. A tych nieco starszych odbiorców, jak zainteresować tematem, który jest bardzo złożony, ma wiele warstw i wiele wątków? Takim wydarzeniem jest niewątpliwie powstanie styczniowe, którego 160. rocznicę wybuchu obchodzimy w tym roku.

Muzeum Historii Polski przygotowało dwa wydawnictwa edukacyjne poświęcone temu jakże ważnemu dla kształtowania naszej tożsamości zrywowi narodowemu. Pierwszym są „Zagadki historyczne", czyli zeszyt z zadaniami przeznaczony dla dzieci w wieku 9–13 lat. Młodego odbiorcę przez temat prowadzą rówieśnicy, m.in. siostry Heurichówny czy Józef Chołodecki. Różnorodność zadań – począwszy od łączenia kropek, przez rebusy, wykreślanki, po stworzenie własnego minikomiksu – pozwoli czytelnikowi na poznanie podstawowych pojęć, głównych bohaterów i najważniejszych momentów tego wydarzenia.

Dla starszego odbiorcy został przygotowany „Zeszyt ćwiczeń" zawierający zestaw kilkudziesięciu kart pracy dla uczniów klas siódmej i ósmej szkoły podstawowej oraz uczniów szkół ponadpodstawowych. Karty zawierają zadania dotyczące różnych wątków powstania styczniowego. Opowiadają o wydarzeniach mających miejsce przed jego wybuchem, postawach wobec niego, przebiegu walk, symbolach i bohaterach, a wreszcie o odbiorze powstania w dwudziestoleciu międzywojennym i w pamięci współczesnej. Materiały opierają się na tekstach źródłowych, odwołują się do artykułów naukowych lub popularnonaukowych. Nie brakuje w nich rycin, fotografii i grafik. Krótka forma karty z ćwiczeniami pozwala na wykorzystanie jej zarówno do wprowadzenia nowego tematu, jak i do powtórzenia wiadomości.

„Powstanie styczniowe. Zagadki historyczne", „Powstanie styczniowe. Karty pracy", Muzeum Historii Polski, 2023

eprasa.pl 922094d2e9

Relief ukazujący Cyncynata przyjmującego przedstawicieli senatu, znajdujący się w sklepieniu sieni pałacu Blumenstihl w Rzymie

CYNCYNAT W KULTURZE POLSKIEJ

JERZY MIZIOŁEK

I RZECZPOSPOLITA, KTÓREJ DRUGIM OFICJALNYM JĘZYKIEM BYŁA ŁACINA, PRZEZ KILKA WIEKÓW KARMIŁA SIĘ WZORAMI CZERPANYMI Z ANTYKU GRECKO-RZYMSKIEGO. OBOK EPAMINONDASA I ARYSTYDESA W KULTURZE POLSKIEJ ZNALAZŁ SWOJE MIEJSCE WALECZNY ROLNIK-SENATOR CYNCYNAT – JEGO LEGENDA BYŁA ŻYWA TAKŻE W XX w.

Lucjusz Kwinkcjusz Cyncynat jest powszechnie przywoływanym wzorem cnót obywatelskich. Jego postać i dokonania opisał rzymski historyk Tytus Liwiusz w „Dziejach Rzymu" i to dzięki niemu Cyncynat stał się jedną z najpopularniejszych postaci rzymskiej starożytności. Żył w V w. przed Chrystusem. W 458 r. został obwołany przez senat rzymski dyktatorem i stanął na czele wojsk, broniąc Rzymu przed atakującym jego granice ludem Ekwów. Według legendy posłowie wysłani przez senat zastali go w trakcie orania pola w okolicach Watykanu. Cyncynat przyjął funkcję dyktatora, ale wkrótce po odniesionym zwycięstwie i odbytym triumfie przekuł miecz na lemiesz i wrócił do swoich obowiązków w gospodarstwie. Miał także odmówić przyjęcia podbitej ziemi, niewolników i zdobytych łupów. Źródła historyczne podają, że Cyncynata wybrano jeszcze raz na urząd magister populi, czyli dyktatora w 439 r. Podobnie jak za pierwszym razem, wnet po wykonaniu zadania powierzonego przez senat zrezygnował z pełnienia piastowanej funkcji.

Do dziś w Rzymie trwa pamięć o miejscu spotkania Cyncynata z poselstwem. W Wiecznym Mieście wystarczy udać się m.in. na Via Vittoria Colonna (tuż obok Piazza Cavour) i wejść do pałacu Blumenstihl, w którym mieści się Instytut Polski. Na sklepieniu przestronnej sieni tegoż pałacu znajduje się niezwykle interesujący fresk, fingujący relief, ukazujący Cyncynata przyjmującego przedstawicieli senatu, którym towarzyszy zbrojny we włócznię żołnierz. Cyncynat oracz otrzymuje od ubranego w togę senatora rotulus z aktem nominacji.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

eprasa.pl 922094d2e9

Obraz Marcello Bacciarellego

W liście z 30 sierpnia 1795 r. przebywający wówczas w Grodnie z rozkazu carycy Katarzyny II Stanisław August Poniatowski pisał do Marcello Bacciarellego: „Caro Marcello, jeżeli nie zacząłeś jeszcze Andromedy, mam pomysł obrazu zupełnie innego, który mógłby ci przynieść zaszczyt. Wyobraź sobie Quintusa Cincinnata, który przyjmuje dyktaturę od Senatu Rzymskiego". Polski monarcha jako wytrawny znawca kultury i sztuki starożytnego Rzymu z pewnością nie raz sięgał po „Dzieje Rzymu" Tytusa Liwiusza, które to dzieło zajmowało zaszczytne miejsce w jego pokaźnej bibliotece na Zamku Królewskim w Warszawie. We wstępie rzymski historyk zaznacza: „Warto by tego posłuchali ci, którzy nade wszystko, co ludzkie, wyżej stawiają bogactwa; którzy sądzą, że ani dla godności wysokiej, ani dla cnoty nie ma miejsca tam, gdzie nie ma w nadmiarze bogactwa".

W dalszej części listu król sugeruje układ kompozycyjny malowidła oraz wygląd samego Cyncynata: „Oparty lewą ręką na pługu, przyjmuje prawą dekret Senatu z ręki senatora. Cincinattus, prawie nagi, o typie twarzy i muskulaturze niemal herkulesowej, z włosami krótkimi, ale falującymi naturalnie, z kędzierzawą brodą, opiera się o wołu. Senator udrapowany na sposób antyczny, w sandałach, w postawie pełnej szacunku, nieco pochylony. [...] Niewiele powinno być krajobrazu i powietrza ponad postaciami, między nimi zaś mogłoby być widoczne w oddali miasto Rzym".

Wymiana listów pomiędzy królem i jego malarzem trwała jeszcze przez wiele tygodni. Pod koniec listopada włoski artysta najprawdopodobniej zawiózł osobiście Stanisławowi Augustowi do Grodna kolejny, tym razem barwny szkic. Jakie były dalsze losy planowanego malowidła, trudno powiedzieć. Najpewniej nigdy nie został jednak ukończony wielkoformatowy obraz o tej tematyce. Jedyną zachowaną do dziś pamiątką tej korespondencji jest niewielkich rozmiarów studium Bacciarellego, przechowywane w krakowskich Sukiennicach.

Co wpłynęło na wybór przez Stanisława Augusta Poniatowskiego tego właśnie tematu? Być może za pomocą tego malowidła chciał wyrazić własne marzenia i nadzieje polityczne. Na początku 1795 r. los Polski wydawał się przesądzony. 3 stycznia tego roku Rosja z Austrią zawarły porozumienie w sprawie rozbioru Rzeczypospolitej, natomiast król przygotowywał się do przymusowego wyjazdu do Grodna, który nastąpił cztery dni później. Czy zdawał sobie wówczas sprawę, że już nigdy nad Wisłę nie powróci? Raczej nie, skoro Repnin – jego gospodarz w Grodnie – pisał do carycy Katarzyny II, że „[król] się jeszcze waha, to wahanie jest wynikiem nieuzasadnionego, małego promyka nadziei, że się jeszcze dola Polski odmieni!". Jeszcze latem tego roku Stanisław August snuł projekty rozwiązania sprawy polskiej, proponując powrócenie do Konstytucji 3 maja, przy jednoczesnym osadzeniu księcia Konstantego na tronie w Warszawie. Sprawy dla Rzeczypospolitej przybierały jednak bardzo szybko niekorzystny obrót. Traktat rozbiorowy podpisano 24 października, zaś 25 listopada król zmuszony został do podpisania aktu abdykacji. Pozostało mu jedynie mieć nadzieję, że Katarzyna II pozwoli mu odbyć wymarzoną podróż do ojczyzny Cyncynata.

Skłonność Stanisława Augusta do porównywania się z rzymskim dyktatorem można spróbować wytłumaczyć jeszcze w inny sposób. Być może przygnębiony swą ówczesną sytuacją zapragnął nawiązać do początków swojej drogi politycznej. Podobnie jak Cyncynat pochodził przecież ze szlacheckiego rodu i został wybrany przez naród do ratowania kraju znad przepaści. Wieść o wyborze na króla Polski zastała Poniatowskiego także we własnym domu, w rezydencji przy Krakowskim Przedmieściu. Wydarzenie to przypomina zachowana do dziś na Uniwersytecie Warszawskim pamiątkowa tablica, wisząca na »

Studium Bacciarellego, przechowywane w krakowskich Sukiennicach

ogrodzeniu neorenesansowego pałacu Uruskich-Czetwertyńskich, wybudowanego na miejscu dawnej rezydencji Poniatowskich.

Jeszcze innym wytłumaczeniem tematu malowidła Bacciarellego może być wezwanie ustępującego króla skierowane do polskich elit, zawierające wskazówki, jak ma się zachować dobry obywatel. W razie potrzeby każdy gospodarz powinien przemienić się w dzielnego rycerza broniącego granic swojej ojczyzny. Nadwiślańska, sarmacka tradycja predestynowała polskich wielmożów do stania się Cyncynatami. Powoływani w pospolitym ruszeniu opuszczali swe domy, by walczyć o wolność ojczyzny. Używając metafory, można powiedzieć, że przekuwali lemiesze na miecze, by po wojnie uczynić z nich narzędzie pokoju.

Niektórzy badacze twierdzą, że w obrazie Bacciarellego z Sukiennic należy dopatrywać się alegorycznej gloryfikacji Tadeusza Kościuszki, powołanego w 1793 r. na wodza insurekcji. Opromieniony wspaniałymi zwycięstwami za oceanem powrócił do kraju w 1784 r. jako generał brygadier armii amerykańskiej. Następnych kilka lat upłynęło mu w Siechnowicach, gdzie gospodarował bardzo umiejętnie do ok. 1789 r., będąc dla sąsiadów wzorem we wszystkich aspektach życia. Podobno sam projektował okoliczne ścieżki, altanki, stawy dla kaczek oraz chaty włościańskie. W jednym z opracowań dotyczących tego okresu w dziejach Polski czytamy: „Szczególne przywiązanie Cyncynata [polskiego] do ojczyzny uczyniło z zagrody szlacheckiej stanice polskości [...]. Duch narodu chronił się więc w kręgu rodzinnym".

Na scenę polityczną Kościuszko powrócił dopiero w czasach Sejmu Czteroletniego. Po sławetnych triumfach nad armią rosyjską pod Zieleńcami i Dubienką w 1792 r. uznano go za męża opatrznościowego i obrońcę, jakiego brakowało ojczyźnie od czasów Jana III Sobieskiego. W tym czasie zaczęły się też tworzyć początki legendy Kościuszki jako człowieka odważnego, skromnego, nieprzekupnego, stawiającego ponad wszystko miłość ojczyzny. W 1792 r. wiedeński artysta Josef Grassi (1757–1838) namalował serię jego portretów olejnych, na których Kościuszkę przedstawił w XVII-wiecznej zbroi, amerykańskim mundurze lub w krakowskiej sukmanie, zawsze jednak z zawieszonymi na szyi wyeksponowanymi orderami: Virtuti Militari oraz Towarzystwa Cyncynata. Polski bohater znalazł się bowiem wśród trzech cudzoziemców przyjętych do tego elitarnego amerykańskiego towarzystwa. W czasie pogrzebu bohaterskiego naczelnika na jego katafalku umieszczono cztery obrazy – jeden z nich ukazywał scenę, w której Jerzy Waszyngton dekoruje go orderem Cyncynata.

W Zamku Królewskim na Wawelu znajduje się niepublikowane dotąd malowidło, najprawdopodobniej z końca XVIII w., pędzla nieznanego artysty, w którym na pierwszym planie widzimy Cyncynata w ubiorze rolnika, orzącego boso ziemię zaprzęgniętym w woły pługiem. Do naszego bohatera przemawia starszy mężczyzna, wskazując mu jednocześnie obydwoma rękoma grupę rzymskich rycerzy w zbrojach, hełmach i z włóczniami. Za pługiem można zauważyć kobietę w antykizującej szacie. Bez wątpienia jest nią Racylia, żona Cyncynata.

Biskup Massalski i historia dekoracji w Werkach

Odwołania do historii rzymskiego dyktatora można odnaleźć również na Litwie. W 1762 r. biskupem wileńskim został Ignacy Jakub Massalski. Na jego zlecenie przebudowano w stylu klasycystycznym barokowy pałac w dobrach biskupich w Werkach pod Wilnem. Efekt ich pracy jest dziś znany dzięki znajdującej się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie litografii Józefa Oziębłowskiego, sama rezydencja bowiem nie przetrwała do obecnych czasów. Zrujnowana podczas wojen napoleońskich budowla została rozebrana w latach 40. XIX w. na polecenie nowego właściciela. Na zachowanej litografii widzimy pałac główny oraz dwie oficyny boczne. Uwagę przyciąga sześciokolumnowy portyk głównego pałacu, którego fronton zdobiła grupa rzeźbiarska przedstawiająca Cyncynata orzącego pole pługiem z dwoma wołami. Rzymianinowi towarzyszą trzy inne osoby – są nimi zapewne przybyli z Rzymu posłowie oraz żona Racylia. Za autora tego all'antica reliefu należy uznać włoskiego rzeźbiarza Tomasso Righiego, znanego z wielu prac w warszawskich Łazienkach. Pomysłodawcą programu treściowego dekoracji był jednak najprawdopodobniej sam biskup, miał on bowiem w zwyczaju bardzo ściśle współpracować ze swoimi artystami, podsuwając im często interesujące idee i rozwiązania.

Zastanówmy się zatem, dlaczego na tympanonie głównego portyku rezydencji w Werkach zdecydował się

Barokowy pałac w Werkach pod Wilnem na litografii Józefa Oziębłowskiego. Wyróżniono portyk pałacu z płaskorzeźbą przedstawiającą Cyncynata orzącego pole. Zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie

on umieścić płaskorzeźbę z legendarnym rzymskim patrycjuszem. Możemy przypuszczać, że dekoracja ta miała symbolizować nadrzędną ideę i przeznaczenie pałacu, tj. szczęście oraz ciepło domowego ogniska. Massalski nie cenił sobie zbytnio zgiełku stolicy diecezji. Wnet po swoim ingresie obdarzył Werki wielką miłością. Wydawały mu się one miejscem idealnym na sielską idyllę – zapewniały ciszę, spokój oraz otoczenie natury. Planował nawet uczynić z tej posiadłości swoją własną rodową siedzibę. Pracował nad tym usilnie przez cały okres swoich rządów, jednak na skutek oporu kapituły wileńskiej długo nie mógł czuć się pełnoprawnym właścicielem tego majątku. Posiadłość w Werkach była miejscem pracy – tam właśnie najczęściej urzędowała jego kancelaria, tam biskup podejmował oficjalnych gości. W pałacu powstawały także plany reorganizacji życia administracyjnego na terenie diecezji wileńskiej. Biskup był jednym z inicjatorów Komisji Edukacji Narodowej, opowiadał się za rozwojem oświaty wśród dzieci chłopskich oraz ubogiej szlachty, planował utworzenie towarzystwa rolniczego na Litwie, wspomagał często publikacje poświęcone rolnictwu. Ponadto od czasów studiów na Uniwersytecie Sapienza w Rzymie (lata 1749–1752) Massalski był wielkim miłośnikiem historii i sztuki Włoch. Stąd pomysł sprowadzenia rzymianina Righiego wpierw do Wilna, a potem do Werek, i powierzenie mu dekoracji rzeźbiarskiej pałacu. Na Półwyspie Apenińskim biskup zamawiał rośliny do swojej ukochanej rezydencji, które sadzono na głównym dziedzińcu. Jeszcze innym włoskim akcentem na terenie Werek było wzniesienie bramy w formie antycznego łuku triumfalnego.

Jakub Massalski był postacią w historii Polski niejednoznaczną. Uczestniczył w delegacji podpisującej traktat rozbiorowy w latach 1773–1775, a niecałe 20 lat później przystąpił do targowicy. Sprawując urząd biskupa, słynął z rozrzutności, braku moralnych skrupułów, wystawnego trybu życia oraz hucznych bali urządzanych w Werkach. Mało kto natomiast pamięta jego zasługi na polu mecenatu, działalności w Komisji Edukacji Narodowej, a także zdolności administracyjne w kierowaniu diecezją wileńską. Los związał tego wileńskiego duchownego z Kościuszką, który nakazał go, jako targowiczanina, aresztować i uwięzić. 28 czerwca 1794 r. wywleczony z więzienia przez warszawski lud ten „litewski Cyncynat" zawisł na szubienicy na Rynku Starego Miasta.

W tym kontekście warto zacytować słowa Ryszarda Przybylskiego, które doskonale opisują postawę wielu polskich wielmożów w II połowie XVIII w.: „Rozpanoszony w duszy szlachcica polskiego Cyncynat doprowadził Najjaśniejszą Rzeczpospolitą do ruiny i klęski; Cyncynat, który na Zachodzie leczył w swej zagrodzie duszę, w Polsce pielęgnował wieprzowatości życia".

Polscy Cyncynaci w XX w.

Zamawiając u Marcello Bacciarellego obraz Cyncynata, Stanisław August Poniatowski nie mógł przypuszczać, że następne pokolenia tak regularnie będą nawiązywać do tego idealnego wzorca osobowego z okresu republiki rzymskiej. W latach międzywojennych do rzymskiego magister populi można było z pewnością porównać marsz. Józefa Piłsudskiego. Ten genialny strateg, jeden z ojców odrodzonego po I wojnie światowej państwa polskiego, podobnie do starożytnego pierwowzoru usunął się nagle z życia publicznego w 1923 r. Kilka następnych lat spędził z rodziną, gospodarząc w Sulejówku, w swojej ukochanej willi Milusin. Czas upływał mu na pisaniu, zabawach z córkami i częstych wizytach gości. Podczas tego okresu nie korzystał z wypłacanej mu przez wojsko pensji, przeznaczając ją na potrzeby Uniwersytetu Wileńskiego oraz wdów po żołnierzach. Rozczarowany kolejnymi kryzysami rządowymi do świata polityki Piłsudski powrócił trzy lata później, dokonując zamachu majowego i doprowadzając do dymisji rządu Wincentego Witosa oraz prezydenta Wojciechowskiego. Obrany prezydentem tej zaszczytnej godności nie przyjął, polecając na swoje miejsce Ignacego Mościckiego. Czyż zatem jego życiorys nie nasuwa bliskich skojarzeń z antycznym dyktatorem znad Tybru? Taki punkt widzenia potwierdzają liczne portrety i plakaty przedstawiające marszałka jako rolnika, a zarazem męża, budującego siłę narodu na fundamentach ziemi. Ciekawym historycznym obiektem wiążącym postać marszałka z Cyncynatem jest wybity w 1928 r. medal Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości. Na awersie tego odznaczenia ukazano portret Piłsudskiego w profilu, natomiast na rewersie widoczny jest wizerunek mężczyzny orzącego ziemię.

Jak powszechnie wiadomo, nie wszystkim Polakom na przełomie lat 20. i 30. XX w. odpowiadał sposób prowadzenia polityki przez marszałka. Był wśród nich znany dziennikarz Tadeusz Dołęga-Mostowicz, którego krytyczne artykuły, pojawiające się w prasie codziennej, rozeźliły zwolenników Piłsudskiego. Autor został przez nich napadnięty i dotkliwie pobity. W odwecie stworzył najsłynniejszą swoją powieść „Karierę Nikodema Dyzmy" (1932). Książka ta, będąca satyrą na społeczeństwo polskie, a zwłaszcza na sfery rządowe, znakomicie parodiuje scenę polityczną w Rzeczypospolitej w przededniu wybuchu II wojny światowej. Tylko nieliczni zwracają uwagę na fakt, że w powieści tej, podobnie jak w jej serialowej ekranizacji z lat 80., ze znakomitym Romanem Wilhelmim w roli głównej, nawiązano do historii Cyncynata. W ostatnim rozdziale książki opisującym wystawne przyjęcia w Koborowie, zorganizowane przez Nikodema Dyzmę i jego narzeczoną hrabiankę Ninę Lubomirską, główny bohater dowiaduje się od wysłannika prezydenta o nominacji na fotel prezesa Rady Ministrów. W salonie rozpoczyna się burzliwa dyskusja. Padają takie oto słowa:

– Ależ kraj stacza się ku przepaści!

– Nam się tak zdaje – uśmiechnął się wojewoda [Szejmont] – nam się tak zdaje. Ale w gruncie rzeczy nie jest tak źle. Jestem pewien, że prezes, który się na sprawach ekonomicznych lepiej od nas rozumie, nie widzi jeszcze tak wielkiego niebezpieczeństwa, by osobiście musiał śpieszyć na ratunek.

– Przecie już raz ratował! I to jak skutecznie!

– Cincinnatus – rzekł sentencjonalnie wojewoda – daje się oderwać od pługa tylko w razie ostatecznego niebezpieczeństwa!

– Tak, tak! – zawołała z egzaltacją jedna z pań. – Wówczas stanie u steru i uratuje naszą ojczyznę!

eprasa.pl 922094d2e9

RAFAŁ ŁATKA
UKSW

W KRĘGU KLIO

George Orwell, „Dzieła zebrane", Warszawa 2023, Bellona

Christopher Hibbert, „Borgiowie i ich wrogowie", Warszawa 2023, Bellona

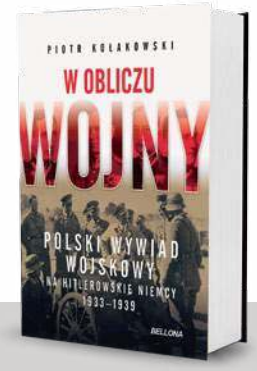

Piotr Kołakowski, „W obliczu wojny. Polski wywiad wojskowy na hitlerowskie Niemcy 1933–1939", Warszawa 2023, Bellona

Nowości Bellony

Wydawnictwo Bellona od dawna słynie z wydawania książek historycznych. Najbardziej znanym produktem, który przyniósł największą popularność tej oficynie wśród pasjonatów historii, jest bez wątpienia seria dotycząca najważniejszych bitew w dziejach świata. Oferta wydawnicza jest jednak znacznie szersza, bo można w niej znaleźć także klasyczne monografie naukowe, dzieła wybitnych twórców czy rozmaicie ujęte eseje historyczne. Nie oznacza to bynajmniej, że w dorobku Bellony nie znajdują się dzieła słabe czy wątpliwe. Doprawdy trudno zrozumieć, czemu wydaje się tam np. bzdury o tzw. wielkiej Lechii...

W 2023 r. ukazało się kilka pozycji, które chciałbym tu rekomendować. Wśród nich wyróżnić należy nowe wydania dzieł George'a Orwella. Szczęśliwie nie ograniczono się do najważniejszych jego publikacji, takich jak „Folwark Zwierzęcy" czy „1984. Celem władzy jest władza", lecz wypuszczono na rynek m.in.: „Birmańskie dni", „W hołdzie Katalonii", „Droga na molo w Wigan". Wspomniane tomy otrzymały nowe tłumaczenia oraz jednolitą szatę graficzną. Wkrótce mają się ukazać kolejne publikacje z tej serii.

Kolejne warte uwagi opracowanie to książka Christophera Hibberta, „Borgiowie i ich wrogowie", wpisująca się w serię poświęconą najważniejszym rodom arystokratycznym Europy. W poprzednich latach Bellona wydała m.in. publikacje poświęcone Habsburgom, Romanowym czy Hohenzollernom. Praca Hibberta ma jednak nieco inny charakter, gdyż jest klasycznym esejem historycznym zbierającym podstawowe informacje na temat rodziny Borgiów, ze szczególnym uwzględnieniem watykańskiego etapu ich działalności (oraz kontrowersji, jakie budziło to u współczesnych i w kolejnych wiekach). Nie widać tam żadnych nowych informacji czy interpretacji, jest za to sprawnie i bardzo syntetycznie nakreślona opowieść, która wciąga czytelnika (i może także spowodować, że samodzielnie sięgnie on po bardziej szczegółowe opracowania). Polecam szczególnie tym, którzy lubią odkłamywanie mitów.

Ostatnia z publikacji z najnowszej oferty Bellony, którą polecam, to praca Piotra Kołakowskiego, znanego specjalisty zajmującego się tematyką wywiadowczą, zatytułowana: „W obliczu wojny. Polski wywiad wojskowy na hitlerowskie Niemcy 1933–1939". Opracowanie, które przygotował słupski historyk, to dzieło bardzo obszerne, szczegółowe i pogłębione. Wspomniana monografia w całościowy sposób omawia problematykę aktywności polskiego wywiadu w III Rzeszy. Autor opisał zarówno same struktury, wraz z ich zmianami organizacyjnymi, obsadę personalną, jak i sukcesy oraz porażki w działaniach w hitlerowskich Niemczech. Publikacja została przygotowana w wyważony sposób, Kołakowski nie szuka sensacji ani też nie forsuje za wszelką cenę skrajnych ocen dotyczących efektywności wywiadu. Dodam, że książka została napisana sprawnym stylem i dobrze się ją czyta, co bynajmniej nie jest standardem w opracowaniach tej problematyki.

Jarosław Molenda, „Nienacki. Skandalista od Pana Samochodzika", Poznań 2023, Wydawnictwo Zysk i S-ka

Jarosław Molenda to jeden z najbardziej znanych autorów publikacji popularnonaukowych dotyczących dziejów Polski i Europy. Ma na swoim koncie już przeszło 50 książek, wśród nich nie brakuje ciekawych biografii. W ostatnich latach wydał m.in. publikacje poświęcone dzieciom nazistów, Elżbiecie Batory, Tadeuszowi Boyowi-Żeleńskiemu czy Alfredowi Szklarskiemu. Szczególnie ta ostatnia pozycja warta jest uwagi, gdyż pokazała w szczegółowy sposób życiorys autora przygód Tomka Wilmowskiego (po które sięgały przecież miliony polskich nastolatków). Na tym Molenda nie poprzestał i w 2023 r. wydał dzieło o innym znanym pisarzu, specjalizującym się w pisaniu książek dla młodzieży – Zbigniewie Nienackim (a właściwie Nowickim). Wspomniany literat zasłynął serią przygód Pana Samochodzika, z którą styczność miał chyba każdy, kto wychowywał się w okresie PRL.

Sam życiorys Nienackiego okazał się jednak mocno oddalony od bohatera jego książek, co Molenda sprawnie uwypuklił. Autor poczytnych „samochodzików" blisko związał się z komunistyczną władzą, co też bezpośrednio pomagało mu w karierze pisarskiej. Od końca lat 40. dał się poznać jako aktywny propagandzista: dziennikarz „Głosu Robotniczego", organu KW PZPR w Łodzi, a następnie jako autor „Worka Judaszów" – komunistycznej agitki (w formie powieści) wymierzonej w żołnierzy podziemia niepodległościowego. Warto dodać, że to ostatnie dzieło Nienacki przygotował, korzystając z materiałów udostępnionych mu przez aparat bezpieczeństwa, a głównym bohaterem tej książki jest major UB zwalczający antykomunistyczne „bandy". Oprócz działań propagandowych Nienacki był też długoletnim członkiem PZPR i ORMO, zaś w latach 80. dał się poznać jako zażarty wróg Solidarności. Ponadto współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa jako kontakt obywatelski „Eremita". Wszystkie te kwestie Molenda opisuje szczegółowo i wyczerpująco. Wydaje się jednak, że mógł nieco szerzej omówić treść „Worka Judaszów", bo styl wspomnianej powieści widać wyraźnie w serii o Panu Samochodziku.

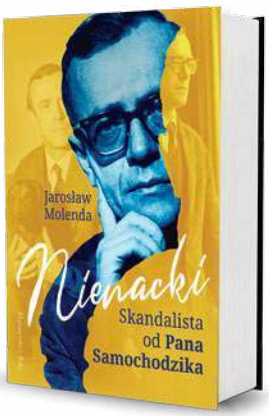

Pierwsze dzieło, które mówi o głównym bohaterze książek Nienackiego, to „Uroczysko" wydane w 1957 r. Do końca lat 70. powstało jeszcze 15 powieści z tej serii. Zaczytywały się w nich miliony polskich nastolatków, gdyż „samochodziki" cechowały się wartką akcją umieszczoną w atrakcyjnym otoczeniu, co pozwalało zapomnieć o siermiężnych realiach PRL. Sam Molenda nie skupia się jednak przesadnie na opisywaniu treści tych książek (co uważam za słuszne rozwiązanie, bo powstały już publikacje na ten temat), ale przede wszystkim na kolejach życia Nienackiego. Podkreśla, że mimo dużego sukcesu sprzedażowego autor „Worka Judaszów" nie czuł się pisarzem ani spełnionym, ani specjalnie docenionym w środowisku literackim. Także zmiana ustroju w 1989 r. nie została odebrana przez Nienackiego pozytywnie. Molenda napisał sporo o życiu prywatnym bohatera swoich rozważań, wskazując na jego liczne słabości, ale przy tym nie epatując nimi w przesadny sposób czytelnika. Dużo miejsca poświęcił na przybliżenie „Raz w roku w Skiroławkach", czyli książki Nienackiego, która wzbudziła najwięcej chyba emocji w sferze publicznej ze względu na swoją erotyczną zawartość. Uważam, że publikacja „Nienacki. Skandalista od Pana Samochodzika" to dzieło ciekawe, wciągające, po które każdy, kto jest zainteresowany tym, jak wyglądało od kuchni życie pisarzy w PRL, sięgnie z przyjemnością i się nie zawiedzie.

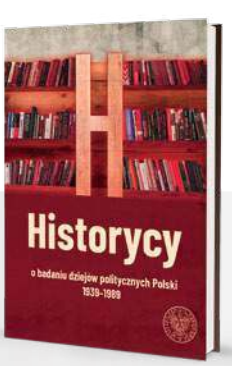

„Historycy o badaniu dziejów politycznych Polski 1939–1989", red. Robert Spałek, Warszawa 2023, IPN przy współpracy IH PAN

Książka „Historycy o badaniu dziejów politycznych Polski 1939–1989" to dzieło nietypowe, ale przez to też interesujące. Tom zredagowany przez Roberta Spałka zawiera wypowiedzi z dwóch paneli dyskusyjnych poświęconych badaniom dziejów najnowszych Polski, zorganizowany w 2018 r. Co ciekawe, miały one charakter generacyjny, a spotkały się dwie grupy dyskutantów: seniorzy i średnie pokolenie. Tę pierwszą grupę reprezentowali: prof. Andrzej Chojnowski, prof. Jerzy Eisler, prof. Andrzej Friszke, prof. Andrzej Paczkowski, prof. Włodzimierz Suleja, zaś tę drugą: prof. Antoni Dudek, prof. Marek Kornat, dr Tomasz Łabuszewski, prof. Marek Wierzbicki, dr hab. Marcin Zaremba. Zamieszczono także pytania i uwagi publiczności, wśród której dominowali historycy (głównie młodszego pokolenia). Efekt jest ciekawy, gdyż duża część wypowiedzi dotyczy warsztatu naukowego historyka, kuchni jego pracy, nastawienia i wpływu prezentowanych poglądów na publikacje naukowe. Należy wyrazić nadzieję, by tom zredagowany przez Roberta Spałka miał swoją kontynuację. Warto szczególnie zaprosić historyków młodszego pokolenia, gdyż podczas obrad, które miały miejsce w 2018 r., jak i w omawianym tu zbiorze dało się wyczuć wyraźne napięcie pokoleniowe, by szerzej przedyskutować osiągnięcia i zaniedbania polskiej historiografii z lat 1990–2023.

REKLAMA

4/0223/F

eprasa.pl 922094d2e9

Rafał Łatka rozmawia z...

...PROF. TOMASZEM SIKORSKIM, współautorem książki „Aleksander Hall. Marzenie o polskiej prawicy"

Panie profesorze, Aleksander Hall należał bez dwóch zdań do postaci kluczowych w środowiskach opozycji antykomunistycznej, dlaczego więc nie doczekał się biografii?

Prof. Tomasz Sikorski: Przede wszystkim myślę, że postać Aleksandra Halla na taką komplementarną biografię z pewnością zasługuje. Wydaje się, że u nas, w Polsce, w naszej historiografii przeważa taki pogląd – w moim przekonaniu błędny – że na biografie zasługują osoby już nieżyjące. Wówczas patrzymy na losy człowieka z perspektywy czasu, nieco z dystansu. Oczywiście mamy wyjątki od tej reguły. W biografistyce anglosaskiej czy francuskiej jest inaczej. Wielu czynnych, aktywnych polityków doczekało się swoich biografii jeszcze za życia. Dotyczy to zwłaszcza głów państw, premierów, liderów znaczących ruchów i formacji politycznych. To zupełnie naturalne. Tak czy inaczej, już mogę zapowiedzieć, że taka biografia Aleksandra Halla powstanie.

Proszę przybliżyć koncepcję książki wydanej wspólnie z Jackiem Wojnickim, bo jej konstrukcja jest nieco nietypowa...

Nie wiem, czy nasza koncepcja książki jest nietypowa. Natomiast pomysł był taki: o działalności Halla – opozycjonisty, myśliciela politycznego i polityka w czasach Polski Ludowej – opowiada historyk. Ważne było tutaj, aby ta opowieść była napisana językiem przystępnym, przypominała dobrze udokumentowany esej biograficzny. Mam nadzieję, że tak się stało. Druga część książki, czyli działalność naszego bohatera w III RP, to już jego opowieść, przez nas, autorów, jedynie odtworzona, obejmująca kluczowe wypowiedzi na łamach prasy, z trybuny sejmowej, w wywiadach, wystąpienia publiczne itp. Czytelnik prześledzić może w ten sposób drogę polityczną Aleksandra Halla od ministerium w gabinecie premiera Tadeusza Mazowieckiego, po udział w politycznych inicjatywach, od Forum Prawicy Demokratycznej (w Unii Demokratycznej), po Partię Konserwatywną i Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe. Biorąc pod uwagę wielowymiarowość tematyczną, rozległość poruszanych problemów i zagadnień, mamy obraz panoramiczny, dotyczący nie tylko polityki partyjnej, lecz także szerszy, obejmujący całą historię współczesną, czasami z powrotami do przeszłości, tradycji i dziedzictwa różnych szkół politycznego myślenia, do politycznych mistrzów i nauczycieli, od Dmowskiego, Kisielewskiego, Chrzanowskiego, po de Gaulle'a.

Na które teksty Halla, znajdujące się w książce, warto zwrócić szczególną uwagę?

Myślę, że wszystkie są interesujące. To doskonały materiał poglądowy do osobistego spojrzenia na polską politykę po 1989 r. Dla mnie jako historyka i politologa najciekawsze rzecz jasna są wypowiedzi Halla na tematy ideowe i historyczne. Dzięki nim zrozumiemy, w jakiej przestrzeni ideowej zakotwiczony jest nasz bohater, jakie zasady i wartości przyświecały mu w działalności politycznej. To ważne zwłaszcza dziś, gdy w polityce praxis trudno zdefiniować tożsamość ideową naszych partii politycznych.

Co uważa pan za najważniejszy wkład Aleksandra Halla do polskiej polityki?

To trudne pytanie, zwłaszcza że można by temu zagadnieniu poświęcić osobne studium. Niemniej z mojej prywatnej perspektywy Hall, włączając się w nurt aktywnej polityki kilka dekad temu, w Polsce niesuwerennej, przez lata starał się budować własną wizję prawicy opartej na niezmiennych wartościach – prawicy zakotwiczonej w tradycji, ale nie epigońskiej, prawicy konserwatywnej, ale przy tym i otwartej na nowoczesność. Zarówno on, jak i środowisko, któremu liderował, starało się odpowiedzieć na pytanie, jak odnaleźć się między „Polską naszych pragnień" a „Polską naszych możliwości". Jak rozsupłać ten gordyjski węzeł? Później, już po 1989 r., włączając się w politykę w nowych realiach i warunkach, Hall budował zręby pod prawicę odpowiedzialną, unikającą populizmów, niezamykającą się w anachronicznych sporach ojców. Myślę, że marzyła mu się i marzy nadal prawica nowoczesna, szukająca syntezy, łączenia pozornie jedynie sprzecznych antynomii, wychodząca także poza nasze narodowe doświadczenia, śmiało i odważnie sięgająca do wzorców europejskich. Prawica propaństwowa i demokratyczna, szanująca autorytet władzy i wolność jednostki, opowiadająca się za decentralizacją państwa, praworządnością, prymatem etyki chrześcijańskiej w życiu publicznym i wolnym rynkiem, za trwałą, silną pozycją Polski w strukturach zjednoczonej Europy i systemie euroatlantyckim. Aleksander Hall należy też do niewielu polityków, którzy darzeni są szacunkiem ze wszystkich stron politycznego sporu „od lewa do prawa".

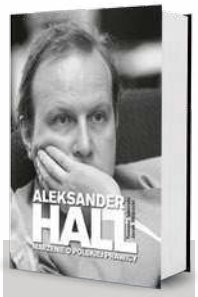

Tomasz Sikorski, Jacek Wojnicki, „Aleksander Hall. Marzenie o polskiej prawicy", wyd. Arche, Sopot 2023

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

GÓRNA PÓŁKA

Wielkie rozczarowanie

ANTONI DUDEK

Książka prof. Marcina Zaremby to wielowymiarowy portret Polski lat 70. XX w. Po jej lekturze łatwiej zrozumieć sentyment, jaki wciąż żywi wielu, zwłaszcza starszych wiekiem Polaków, do epoki rządów Edwarda Gierka.

Strona po stronie, z wykorzystaniem olbrzymiej liczby źródeł, Zaremba pokazuje, jak ekipa Gierka zbudowała znaczące poparcie społeczne. Jest zatem mowa o wielkim programie mieszkaniowym i masowej motoryzacji, które uwiodły wielu mieszkańców miast. Jest też o zniesieniu dostaw obowiązkowych i objęciu publiczną służbą zdrowia rolników, co z kolei spodobało się mieszkańcom wsi. Jest wreszcie o liberalizacji twardego, gomułkowskiego kursu wobec Kościoła katolickiego, co z oczywistych względów odczuli wierzący. I oczywiście o wszechobecnej propagandzie sukcesu, przepełnionym bodaj najsłynniejszym hasłem tamtej epoki: „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej".

Równocześnie jednak Zaremba umiejętnie pokazuje, jak w każdym z tych sukcesów tkwiło czasem mniejsze, a czasem większe kłamstwo. Kłamstwo, które w miarę upływu lat coraz uporczywiej wychodziło na wierzch, obnażając słabości i fikcyjność wielu rzekomych dokonań tamtego okresu. Najbardziej jaskrawo wyglądały one w sferze gospodarczej. Z ustaleń Zaremby wynika, że spadek PKB nie zaczął się – jak to oficjalnie przyznały same władze – w 1979 r., ale już trzy lata wcześniej. A zatem w pamiętnym 1976 r., kiedy pod wpływem protestów ulicznych w Radomiu, Ursusie i Płocku oraz strajków w wielu innych miastach ekipa Gierka wycofała się z podwyżki cen żywności, próbując ponownie zaklinać rzeczywistość. Po raz kolejny, bowiem Zaremba już w decyzji władz z 1971 r., o cofnięciu gomułkowskich podwyżek z grudnia poprzedniego roku, trafnie upatruje swoistego „grzechu pierworodnego" ekipy Gierka.

Książka Zaremby została napisana ze swadą, a jej mozaikowa konstrukcja sprawia, że można ją czytać fragmentami i w różnej kolejności. Oryginalnym pomysłem wydało mi się wplecenie w narrację krótkich, osobistych wspomnień autora, wyróżnionych kursywą. Mam wrażenie, nie ma dziś lepszego antidotum na film „Gierek" – najbardziej zakłamanego obrazu historycznego, powstałego w III RP – niż właśnie ta książka. ■

Marcin Zaremba, „Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności", Znak, Kraków 2023

POLSKIM OKIEM

Afrykańska winda

RYSZARD CZARNECKI

Znowu tu jestem! Moja śp. matka chrzestna była Belgijką, zatem siłą rzeczy jako dzieciak nastawiałem uszy na opowieści o belgijskim Kongu, czyli Kongu-Kinszasie. Gdy miałem osiem lat Kongo stało się Zairem. W roku, gdy zostałem najmłodszym ministrem w historii wolnej Polski (do czasu, potem byli jeszcze młodsi), Zair zmienił nazwę na Demokratyczną Republikę Konga. Nazwy się zmieniają, ale lud Bakongo (co oznacza „myśliwy"), od którego wzięła się nazwa Kongo, trwa.

DRK to kraj paradoksów (tak jak Afryka jest kontynentem paradoksów): Murzyni w drogich garniturach idą po... klepisku. Na ulicy w centrum stolicy luksusowe auta mijają prymitywne wózki służące głównie do przewożenia bagaży. Klaksony aut słychać bez przerwy. Wynika to nie tylko z temperamentu, lecz także z faktu, że nie ma pasów dla pieszych, więc przechodzą oni w każdym możliwym miejscu.

Na drodze „żółte morze", bo taki jest tu głównie kolor aut. Główna ulica Kinszasy ma teoretycznie po trzy pasy w każdą stronę, ale i tak to teoria: tutaj jeżdżą jak chcą. Mijamy ciężarowego KAMAZ-a z żołnierzami. Siedzę obok miejscowego kierowcy i parokrotnie jestem pewien, że zaraz potrącimy jakiegoś motocyklistę przemykającego między autami. Tymczasem przez kilka dni intensywnej jazdy nikt nawet nie zadrapał karoserii naszego wozu.

Prezydent Félix Tshisekedi, mój równolatek, jest zielonoświątkowcem, ale na billboardach wyborczych pokazuje się z papieżem Franciszkiem. Jakoś Kościoła katolickiego do siebie nie przekonał, skoro przed pięcioma laty Konferencja Episkopatu tego kraju oficjalnie oświadczyła, że wcale nie wygrał wyborów prezydenckich! 19 na 20 mieszkańców Konga to chrześcijanie. Katolicy stanowią 55 proc. obywateli, muzułmanie zaledwie 1,5 proc., ale dostrzegam w drodze na lotnisko, między sklepami, meczet.

Mówi się, że Afryka to przyszłość Kościoła. Nie tylko Kościoła. Nigeria, najludniejszy kraj tego kontynentu, za pół wieku będzie miał PKB prawie dwa razy większe niż... Rosja. Czarny Ląd jest w gospodarczej windzie, która jedzie w górę. Dawny Zair też. ■

eprasa.pl 922094d2e9

Ogólnopolska wystawa „Zbiorowy portret rodzin II Rzeczypospolitej" przed Pałacem Staszica w Warszawie

Archiwa otwarte
– społeczna rola archiwów państwowych

Rozwój społeczeństwa informacyjnego, który nastąpił w pierwszych dwóch dekadach XXI w., spowodował rozszerzenie tradycyjnej misji Archiwów Państwowych

dr Paweł Pietrzyk
Naczelny Dyrektor Archiwów Państwowych i przewodniczący Polskiego Komitetu Programu UNESCO „Pamięć Świata"

Do nowych zadań tych instytucji należy wkład w umacnianie spójności społecznej poprzez otwarty i powszechny dostęp do dziedzictwa historycznego Polski i Europy, wspieranie rozwoju społeczeństwa opartego na wiedzy poprzez poszerzanie i upowszechnianie znajomości historii, kształtowanie umiejętności wykorzystania tych zasobów informacyjnych ku pożytkowi indywidualnemu i ogólnemu oraz wkład Archiwów Państwowych w podnoszenie jakości usług publicznych. Podstawową misją Archiwów Państwowych na lata 2021–2030 jest trwałe zachowanie świadectw przeszłości i zapewnienie do nich powszechnego dostępu w celu wspierania rozwoju państwa i społeczeństwa.

Archiwa Państwowe świadome spoczywającej na nich wagi i odpowiedzialności, w oparciu o zgromadzone w nich liczne pamiątki i świadectwa przeszłości, wychodzą naprzeciw wzrastającemu zainteresowaniu historią, zwłaszcza przeszłością, małych ojczyzn czy własnych rodzin. Z tego powodu w ostatnich latach podejmują one istotne i intensywne działania skierowane do różnych grup społecznych, w tym młodzieży szkół podstawowych i średnich.

Jedną z największych inicjatyw tego typu jest realizowany przez Archiwa Państwowe od 2019 r. projekt „Archiwa Rodzinne Niepodległej". Jego celem jest zwrócenie uwagi społeczeństwa na unikatową wartość rodzinnych pamiątek oraz pogłębienie wiedzy o własnych korzeniach i losach swoich przodków, w tym bohaterów lokalnej historii, zaangażowanych w budowanie niepodległego państwa. W ramach tego przedsięwzięcia w Archiwach Państwowych w całym kraju uruchomiono działające do dziś punkty konsultacyjne, w których archiwiści udzielają porad dotyczących poszukiwań genealogicznych i przechowywania rodzinnych pamiątek. Prowadzimy także cykliczne lekcje archiwalne, warsztaty genealogiczne i konserwatorskie. Inicjatywa ta wywołała żywy odzew społeczny, a jej wyniki, w tym ofiarowane Archiwom Państwowym przez licznych darczyńców kolekcje rodzinne można znaleźć na stronie archiwarodzinne.gov.pl.

„Archiwa Sprawiedliwych"

Archiwa Państwowe jako instytucje pamięci odgrywają niezwykle istotną rolę w dokumentowaniu i wyjaśnianiu wielu

fot. Maciej Prusiński

eprasa.pl 922094d2e9

trudnych kart przeszłości. Beatyfikacja rodziny Ulmów z Markowej 10 września 2023 r. stała się okazją do ogłoszenia nowej ogólnopolskiej akcji społecznej Archiwów Państwowych pod nazwą „Archiwa Sprawiedliwych". Ma ona służyć nie tylko przypomnieniu rodzinnej tragedii Ulmów, zamordowanych za udzielenie pomocy żydowskim sąsiadom, lecz także szerszej refleksji nad losem wielu innych rodzin, które straciły życie w podobnych okolicznościach lub stały się ofiarami niemieckich represji w okupowanej Polsce. Analiza dokumentów archiwalnych może pomóc w ukazaniu zróżnicowanych postaw społeczeństwa polskiego wobec tragedii Holokaustu, jak też ukazaniu skali pomocy niesionej ludności żydowskiej przez różne grupy obywateli państwa polskiego. Archiwa Państwowe włączyły się w obchody związane z beatyfikacją, a także podjęły inne działania mające przypomnieć losy często zapomnianych „cichych bohaterów". Tym osobom poświęcono okolicznościową publikację przygotowaną w oparciu o dokumenty z 15 Archiwów Państwowych. Obejmuje ona 90 biogramów i dokumentuje zarówno losy zwykłych obywateli, jak i powszechnie znanych postaci, zaangażowanych w ratowanie Żydów, takich jak Jan Karski, Irena Sendlerowa, Czesław Miłosz, Mieczysław Fogg czy Jarosław Iwaszkiewicz.

Wiktoria i Józef Ulmowie z dziećmi, zamordowani przez Niemców w Markowej za pomoc żydowskim sąsiadom

Publikacja Archiwów Państwowych „Biografie Sprawiedliwych"

Skuteczną formą dotarcia do młodzieży szkolnej stały się organizowane przez Archiwa Państwowe konkursy genealogiczne, w ramach których powstają prace poświęcone historii rodzinnej. W latach 2021–2023 zorganizowano dwie edycje konkursu „Bez korzeni nie zakwitniesz. Moja Wielka i Mała Ojczyzna". Inicjatywy te sprzyjają rozwijaniu wśród dzieci i młodzieży zainteresowania przeszłością własnego kraju i lokalnych społeczności oraz uwrażliwianiu na kwestie zachowania polskiego dziedzictwa kulturowego i dokumentacyjnego. W ramach tego projektu powstało kilkaset prac w postaci cyfrowych drzew genealogicznych, przy współpracy ze środowiskiem nauczycieli oraz rodziców z wielu miejscowości w całej Polsce. Uczestnicy konkursów w wielu przypadkach prowadzili poszukiwania dotyczące historii ich rodzin z wykorzystaniem zasobów źródłowych Archiwów Państwowych, co przyczyniło się do promocji i bliższego poznania tych instytucji.

Laureaci i organizatorzy konkursu genealogicznego dla młodzieży szkolnej „Bez korzeni nie zakwitniesz", Łódź, 15 września 2023 r.

„Mamo, ja nie chcę wojny"

Przedsięwzięciem o ogromnym zasięgu społecznym (także międzynarodowym) była polsko-ukraińska inicjatywa, realizowana w ramach projektu „Mamo, ja nie chcę wojny". Przygotowana przez Archiwa Państwowe we współpracy z ukraińskimi partnerami wystawa ukazuje wojnę oczami polskich i ukraińskich dzieci. Celem projektu było też uwrażliwienie społeczeństwa w Polsce i za granicą na okrucieństwo działań wojennych na Ukrainie po rosyjskiej agresji w lutym 2022 r. Na ekspozycji zestawiono historyczne rysunki polskich dzieci, będące zapisem ich przeżyć z czasu II wojny światowej, przechowywane w zasobie Archiwów Państwowych, oraz współczesne rysunki dzieci ukraińskich, gromadzone na portalu „Mom I see war". Wystawę prezentowano w 30 miastach w całej Polsce oraz wielu miejscach w Europie (m.in. przed siedzibą parlamentu w Brukseli), Ameryce Północnej, a nawet w Afryce.

Dzień Darczyńcy

Opisane powyżej przykładowe przedsięwzięcia Archiwów Państwowych, adresowane do szerokich kręgów społecznych, pokazują determinację środowiska archiwistów w dążeniu do jak najszerszej odpowiedzi na indywidualne i społeczne potrzeby. Wyrazem naszego uznania i docenienia wszystkich osób współpracujących z Archiwami Państwowymi jest ustanowienie Dnia Darczyńcy, obchodzonego 6 grudnia każdego roku. Zapraszamy zatem wszystkich zainteresowanych do odwiedzenia naszych instytucji, zapoznania się z naszą działalnością oraz aktywnego budowania wraz z nami przyszłości.

Wystawa „Mamo, ja nie chcę wojny", prezentowana pod pomnikiem Mikołaja Kopernika w Warszawie

eprasa.pl/922094d2e9

fot. Michał Gmitruk (3x); domena publiczna

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 6/0323/F

Troska o dziedzictwo kulturowe Polski to ***ubezpieczenie narodowej tożsamości***

Z jednej strony ponad 1000 lat rozwoju cywilizacyjnego, a z drugiej gigantyczne dewastacje i grabieże dziedzictwa materialnego w ostatnich wiekach – taki „testament" zostawiła Polakom historia po II wojnie światowej, czyli po ostatnim wielkim konflikcie zbrojnym, który kolejny raz „przeorał" naszą ziemię. Tymczasem umacnianie tożsamości narodowej, zwłaszcza w tak trudnym położeniu geopolitycznym jak polskie, z tak często zmieniającą się linią graniczną, wymaga szczególnej troski o każdy materialny okruch polskości, który przetrwał mimo dziejowej zawieruchy. Nie jest to ani łatwe, ani tanie, więc z pewnością dalece przekracza możliwości jednostkowe nawet najbardziej zaangażowanych patriotów. Szczęśliwie inna zawierucha, tj. gospodarcza ostatnich trzech dekad, nie wydarła z polskich rąk wszystkich silnych i bogatych podmiotów, które misję troski o dziedzictwo kulturowe Polski rozumieją jako swoją powinność wobec ojczyzny

W numerze 07-08/2023 „wSieci Historii" przytoczyliśmy historię ubezpieczeń na ziemiach polskich, która zapoczątkowana modelem ubezpieczeń wzajemnych, a zainicjowana przez okupacyjne władze pruskie, z pewnością wbrew ich intencjom, stała się przetrwalnikiem polskości w czasach zaborów, a następnie zapisała piękną kartę, którą każdy Polak kojarzy dziś z marką PZU.

To właśnie PZU, mimo funkcjonowania w kolejnym już w swojej historii modelu gospodarczym, jest jednym z tych podmiotów, które dbałość o narodową tożsamość mają – jak to się dziś często i modnie w biznesie zwykło mawiać – w swoim DNA. To okoliczność bardzo korzystna dla wszystkich, gdyż Polska, jako kraj o bogatej historii, stoi w obliczu wyjątkowego wyzwania – troski o swoje dziedzictwo

eprasa.pl 922094d2e9

kulturowe. Jest to zarówno obowiązek wobec przeszłości, jak i przede wszystkim inwestycja w przyszłość. Polska była świadkiem licznych wstrząsów wewnętrznych i zewnętrznych. II wojna światowa, która przyniosła Polsce nieopisane zniszczenia, szczególnie w zrównanej przez Niemców z ziemią Warszawie, pozostawiła nieusuwalne blizny w krajobrazie. Dlatego tak istotne jest, abyśmy zdawali sobie sprawę z wartości naszego dziedzictwa kulturowego i zrozumieli, jak niezastąpione jest ono dla utrzymania naszej tożsamości narodowej.

Polskie zabytki są nie tylko cennymi artefaktami historycznymi, lecz także nośnikami niezwykłych opowieści, które kształtowały naszą cywilizację. W każdym murze, w każdej rzeźbie kryje się kawałek historii, który przypomina nam o trudnym, lecz i heroicznym losie naszego narodu. Ocalenie tych pamiątek wymaga jednak wielkich wysiłków i inwestycji. Odrestaurowanie zabytków, konserwacja i ich ochrona to procesy, które wymagają czasu, zaangażowania i przede wszystkim funduszy.

W Polsce, gdzie każdy metr kwadratowy ziemi jest przesiąknięty kumulowaną przez tysiąc lat historią, zachowanie dziedzictwa kulturowego jest niezmiernie kosztowne. Każdego roku ogromne kwoty są przeznaczane na prace konserwatorskie, badawcze i edukacyjne związane z materią zabytkową. Jednakże koszty te nie mogą być widziane wyłącznie jako wydatek, lecz powinny być postrzegane jako inwestycja w rozwój naszego kraju.

Polskie firmy utrzymują polską kulturę

Jak jednak finansować tak wielkie zadanie? W czasach gdy ojczyzna jest suwerenna i niezaangażowana bezpośrednio w żaden konflikt zbrojny, PZU w inny niż we wcześniejszych wiekach i dekadach sposób przykłada się do utrwalania narodowej tożsamości. Liczba projektów, instytucji, obiektów czy inicjatyw, które wspierał i wspiera nasz największy ubezpieczyciel, jest doprawdy imponująca. W prasowym tekście nie sposób w pełni opisać skali zaangażowania, jakie dzięki temu, że PZU nigdy nie przestało być polską firmą, ubezpieczyciel przykłada do wspierania tkanki materialnej naszego dziedzictwa kulturowego.

Największym polem do działania jest oczywiście Warszawa – serce kraju, które zostało obrócone w nicość po klęsce powstania warszawskiego. To tutaj koncentruje się siłą rzeczy największe wsparcie PZU dla zachowania czy częściej przywrócenia tego, co może w sposób namacalny uświadomić każdemu Polakowi, jak mocne i wartościowe są korzenie, z których wyrasta nasza tożsamość narodowa. Zacznijmy zatem od tego, że PZU przez wiele lat wspierał działalność Zamku Królewskiego w Warszawie, obejmując swoim mecenatem zajęcia edukacyjne dla dzieci oraz młodzieży i jednocześnie ubezpieczając majątek zgromadzony w tej arcyważnej dla historii polskiej państwowości instytucji. Obecnie PZU jest mecenasem m.in. Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Łazienki Królewskie, Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym, Teatru Narodowego Opery Narodowej w Warszawie, a także powołanej decyzją Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 2017 r. Polskiej Opery Królewskiej, której przedstawienia odbywają się w Teatrze Stanisławowskim, mieszczącym się w Starej Oranżerii we wspomnianych Łazienkach Królewskich. PZU jest także od lat partnerem strategicznym największej placówki muzealnej w Polsce, a więc Muzeum Narodowego w Warszawie. To dzięki niemu sfinansowano sprowadzenie do Polski i konserwację jednego z najwybitniejszych dzieł polskiego malarza Aleksandra Gierymskiego, czyli wizerunek Żydówki z pomarańczami. Obraz ten został utracony w czasie II wojny światowej, jak nieprzeliczona ilość innych cennych malowideł i dzieł sztuki zrabowanych przez okupantów. Obecnie PZU jest mecenasem Galerii Sztuki XIX Wieku w Muzeum Narodowym – galerii skupiającej »

FOT. MAT. PRASOWE PZU

eprasa.pl 922094d2e9

najpiękniejsze XIX-wieczne dzieła polskiego malarstwa i rzeźby, która jest największym i najchętniej odwiedzanym miejscem w muzeum.

Przegląd tych kilku stołecznych instytucji hojnie wspieranych przez PZU natychmiast pozwala ustalić, że ich wspólnym mianownikiem jest silne przywiązanie do utrwalania dorobku historycznego i kulturowego Polski. Są to też miejsca chętnie odwiedzane przez zagranicznych turystów podczas ich wizyt w Warszawie, a więc pełnią także rolę promocji polskości na całym świecie. W tym obszarze zasługi nie do przecenienia ma oczywiście Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, gdzie PZU dumnie wypracował status partnera.

W ostatnich latach stały mecenat nad działalnością najważniejszych instytucji kultury bardzo często bywa rozszerzany o konkretne akcje zakupowe. Gdy tylko uda się zlokalizować czy precyzyjniej wyśledzić dzieła sztuki i artefakty, które wiele lat temu zostały zrabowane z polskich zbiorów, liczne fundacje największych polskich podmiotów gospodarczych przystępują do wsparcia muzealników w działaniach służących odkupieniu bądź odzyskaniu należnych Polsce dóbr. Do jednej z największych tego typu akcji doszło pod koniec 2022 r., kiedy do stałej ekspozycji Zamku Królewskiego w Warszawie wróciły m.in. obrazy Bernarda Bellotta, zwanego Canalettem, i Marcella Bacciarellego oraz inne cenne artefakty. Zakup dzieł sztuki i zabytków rzemiosła możliwy był dzięki dofinansowaniu ze strony dziewięciu fundacji oraz dwóch spółek Skarbu Państwa, wśród których poczesne miejsce zajęła Fundacja PZU.

Opisując odzyskane przedmioty, Zamek Królewski poinformował m.in.: „Wśród nowych nabytków znajdują się także pojedyncze egzemplarze porcelany miśnieńskiej, rycina »Portret Stanisława Augusta Poniatowskiego« Samuela Gottloba Kuetnera, wykonana na podstawie obrazu Marcella Bacciarellego, XVI-wieczna zbroja turniejowa wywodząca się z kręgu kultury niemieckiej, obraz Horace'a Verneta »César de Vachon de Belmont-Briançon, pułkownik 3 pułku gwardii honorowej w dniu bitwy pod Reims« oraz ob-

Mecenat PZU nad polską kulturą i sztuką rozciąga się bardzo szeroko

Oto przegląd kilku ciekawszych aktywności Spółki na polu utrzymywania polskiego dziedzictwa kulturowego.

Renesansowy rękopis zwany „Godzinkami" wrócił do Polski dzięki Fundacji PZU

Pięknie iluminowany, renesansowy rękopis z końca XV w. zwany „Godzinkami" Jakuba Wargockiego powrócił do Polski. Zabytkowy kodeks został zakupiony przez Bibliotekę Narodową na aukcji w Londynie dzięki mecenatowi Fundacji PZU. Zdigitalizowane dzieło dostępne jest już online w cyfrowej Bibliotece Narodowej Polona.pl. Wykonany w latach ok. 1470–1500 we Florencji dla rodu Guccich luksusowy, bogato iluminowany rękopis „Officium Beatae Mariae Virginis secundum usum Romanum" (tzw. „Godzinki" Jakuba Wargockiego) to kodeks o wymiarach 12x8 cm na pergaminie, o 303 kartach zapisanych po łacinie ciemnobrązowym atramentem. Zawiera pięć barwnych miniatur całostronicowych z bordiurami, 12 dużych inicjałów figuralnych barwnych i złoconych, liczne mniejsze inicjały i floratury. Na początku książki dodana została później rycina Maryi z Dzieciątkiem i św. Anną oraz tytułem w kartuszu. Tego typu rękopisy, dość popularne na zachodzie Europy, w Polsce były bardzo rzadkie i wyjątkowo cenne, należały zwykle do królów i książąt. Szczególnie interesujący jest fakt, że rękopis ten był w użyciu jeszcze pod koniec XVI w., o czym świadczą późniejsze uzupełnienia. Jest to jedyny znany przykład tak późnego używania rękopiśmiennych „Godzinek" w Polsce i w ogóle ich posiadania przez ludzi ze sfer średnich.

Rękopis „Godzinek" trafił do Polski zapewne jako własność Carla Calvanusa Gucciego (znanego też jako Karol Guczy), przybyłego wraz z dworem królowej Bony ok. 1518 r. Włoski kupiec prowadził w Polsce aktywną działalność, zostając żupnikiem generalnym ruskim. Zmarł w 1551 r. i został pochowany w katedrze przemyskiej. Pierwszym znanym właścicielem Polakiem był Jakub Wargocki, działający w Przemyślu rzemieślnik i finansista, pełniący wiele funkcji publicznych, m.in. rajcy miejskiego (w latach 1558–1575). Najprawdopodobniej Wargocki otrzymał lub odkupił rękopis od Gucciego albo jego spadkobierców. Nowy właściciel oznaczył rękopis notą „Jacobus Vargoczki Civis Premisliensis" (na dole karty 23), która później została zatarta, ale jest wyraźnie widoczna w świetle UV. Ok. 1572 r. księga została uzupełniona o dodatkowe karty pergaminowe zawierające listę świąt ruchomych oraz kilka modlitw, co świadczy o jej użytkowaniu. Prawdopodobnie wtedy także wykonano nową oprawę i dodano kartę z ryciną na początku kodeksu. Dalsze losy rękopisu nie są znane z wyjątkiem informacji, że w 1713 r. biskup wileński Konstanty Brzostowski ofiarował go Karolowi Stanisławowi Radziwiłłowi. Świadczy o tym wpis z tyłu karty

eprasa.pl 92209402e9

raz François-Pascala-Simona Gérarda »Szkic portretu króla Murata«. Obiekty zostały nabyte na międzynarodowych aukcjach w listopadzie br. dzięki dofinansowaniu ze strony dziewięciu fundacji oraz dwóch spółek Skarbu Państwa. Ich zakup wpisuje się w konsekwentnie od lat realizowaną przez Zamek Królewski w Warszawie misję pozyskiwania na nowo dzieł sztuki, które kiedyś miały swoje stałe miejsce w jego murach, a także zakupu innych wysokiej klasy obiektów, które ze względu na swoje walory artystyczne i/lub określony rodowód historyczny pasują do profilu zamkowej kolekcji. Celem jest stworzenie wybitnej kolekcji dzieł sztuki europejskiej, która podniesie rangę galerii muzealnych Zamku i podkreśli historyczne związki polskiej monarchii z głównym nurtem cywilizacji europejskiej".

Ocalić dla potomnych

Dbanie o dziedzictwo kulturowe ma liczne korzyści. Przede wszystkim stanowi ono ogromne źródło wiedzy i inspiracji dla kolejnych pokoleń. Edukacja oparta na autentycznych źródłach historycznych kształtuje świadomość obywatelską i umożliwia zrozumienie procesów, które ukształtowały naszą ojczyznę. Ponadto zachowanie zabytków przyciąga turystów z całego świata, wspierając rozwój sektora turystycznego i przyczyniając się do wzrostu gospodarczego. W trosce o dziedzictwo kulturowe Polski nie chodzi jedynie o zachowanie starych murów czy płyt bruku. Chodzi o to, abyśmy nie zapomnieli o naszych korzeniach, o tych, którzy przyszli przed nami, o ich walce i ofierze. To nasze dziedzictwo kształtuje naszą tożsamość, nadając nam siłę i determinację do budowania lepszej przyszłości. W tych starannie pielęgnowanych kamieniach i malowidłach tkwi esencja naszego narodu. Dlatego tak ważne jest, abyśmy z pełnym zaangażowaniem i świadomością troszczyli się o to, co zostało nam przekazane przez poprzednie pokolenia. W ten sposób nie tylko chronimy dziedzictwo naszych przodków, lecz także budujemy fundament dla rozwoju i sukcesów przyszłych pokoleń Polaków.

tytułowej. „Godzinki" trafiły wtedy do Biblioteki Radziwiłłów w Białej Podlaskiej, a potem zapewne do Biblioteki Radziwiłłów w Nieświeżu, z której mogły zginąć zaraz po I rozbiorze Polski w 1772 r. lub w 1813 r. po napoleońskiej wyprawie na Rosję, kiedy to zbiory nieświeskie były rozpraszane i wywożone sukcesywnie do bibliotek petersburskich. Jesienią 2016 r. „Godzinki" Wargockiego wystawił na sprzedaż jeden z londyńskich domów aukcyjnych. Po starannym sprawdzeniu ich pochodzenia Biblioteka Narodowa zakupiła rękopis dzięki mecenatowi Fundacji PZU. To pierwszy od kilkudziesięciu lat powrót do Polski tak cennego rękopisu renesansowego.

PZU udostępnia „Encyklopedię prostej polszczyzny"

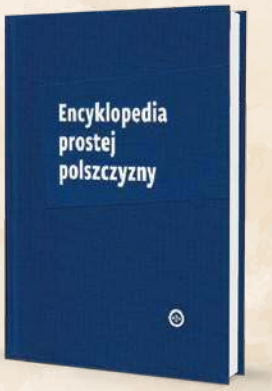

Pionierska na rynku „Encyklopedia prostej polszczyzny" jest bezpłatnie dostępna na stronie internetowej Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń. To dostępny dla wszystkich przewodnik po języku polskim, który obejmuje ponad 3 tys. pojęć, konstrukcji językowych i haseł problemowych. Inicjatorem publikacji jest Biuro Prostego Języka PZU. Przygotowało ją we współpracy z językoznawcami z Instytutu Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego i pod merytorycznym patronatem tej uczelni. „Encyklopedia" składa się ze „Słownika korpomowy", który zawiera kilkaset terminów używanych w biznesie. Podaje ich znaczenie i przykłady użycia, podpowiada, czy warto się nimi posługiwać i jakimi słowami można je zastąpić. Osobną część stanowią konstrukcje językowe, które sprawiają trudność: słowa o podobnym i dlatego mylonym znaczeniu, błędne połączenia wyrazów, kalki językowe i kłopotliwe gramatycznie wyrażenia. Uzupełnieniem jest rozdział dotyczący zasad dobrej komunikacji. W dziedzinie prostego języka PZU jest w biznesie pionierem. Spółka powołała Biuro Prostego Języka, które upraszcza pisma i informacje dla klientów. Stworzyło też specjalną aplikację, dzięki której pracownicy przed wysłaniem pisma lub e-maila mogą sprawdzić, czy tekst odpowiada regułom prostego języka.

PZU mecenasem Koncertu dla Niepodległej

W 100-lecie niepodległości Polski na Stadionie Narodowym odbył się pamiętny Koncert dla Niepodległej. To niezwykłe widowisko słowno-muzyczne było koncertową podróżą przez ostatnie 100 lat historii Polski. Podczas koncertu, którego mecenasem był PZU, przypomniano utwory, które towarzyszyły Legionom Polskim walczącym na Monte Cassino oraz żołnierzom i cywilom broniącym stolicy w powstaniu warszawskim. Nie zabrakło piosenek, które dodawały nadziei walczącym z totalitarną władzą, a także tych, które towarzyszyły chwilom radosnym – na dancingach i w dyskotekach.

Wystawa unikalnych fotografii pałacu Saskiego pod mecenatem PZU

Pierwszy pokaz archiwalnych zdjęć – pochodzących z pozyskanej przez Polską Agencję Prasową kolekcji varsavianisty Mariana Leśniewskiego – odbył się podczas Kongresu 590 w Warszawie w październiku 2021 r. Mecenasem wystawy zorganizowanej pod hasłem „Pałac Saski: powrót historii" została Grupa PZU. Przypomniano wówczas, że Polakom obecnie pałac Saski kojarzy się najbardziej z Grobem Nieznanego Żołnierza, podczas gdy w przeszłości był on m.in. domem Fryderyka Chopina oraz miejscem, gdzie polscy matematycy i kryptolodzy rozszyfrowywali Enigmę. Odbudowanie zachodniej pierzei pl. Piłsudskiego ma przypominać zarówno skalę zniszczenia Warszawy, jak i pokazywać troskę państwa o dziedzictwo kulturowe.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 20/0723/F

eprasa.pl 922094d2e9

Maria Solidarność

ARTUR KUBAJ

Maria Chmielewska (1926–2014), nazywana „Matką szczecińskiej Solidarności", była w NSZZ „Solidarność" od samego początku, a z racji zaufania, którym obdarzyli ją liderzy, brała udział we wszystkich istotnych wydarzeniach związku.

Stosunek elit III RP do Marii Chmielewskiej wydaje się podobny do tego, jaki dotyczył Anny Walentynowicz. Również w jej przypadku nasuwa się spostrzeżenie, że funkcjonariusze ancien regime'u zadbali o to, by zniknęła z kart historii. Ta skromna, życzliwa ludziom, pracowita kobieta nadal nie doczekała się godnego upamiętnienia i stosownego miejsca w najnowszej historii Szczecina.

Warszawa

Maria Chmielewska pochodziła z rodziny patriotycznej i zaangażowanej społecznie. Jej dziadek Adam Jędrasiak należał do Polskiej Partii Socjalistycznej, za co został w 1903 r. uwięziony w warszawskiej Cytadeli. Dzięki pomocy działaczy PPS został wykupiony z więzienia, udzielono mu pomocy finansowej w wyjeździe do Ameryki, a także wsparto rodzinę, ułatwiając dzieciom Adama znalezienie pracy. Ojciec Marii, Stefan Jędrasiak, zamiast się przyuczyć do zawodu kelnera zgodnie z wolą matki, uciekł do Legionów, gdzie podczas walk został ranny. Później po powrocie do Warszawy imał się różnych zawodów, jednak nigdzie nie potrafił zagrzać miejsca na dłużej.

Wkrótce po ślubie z Władysławą Ceran przyszły na świat dwie córki – Maria Helena i Halina. Maria Chmielewska wspominała: „Byliśmy rodziną z dziada pradziada warszawską. Mieszkaliśmy w samym Śródmieściu, przy ul. Hożej. Do szkoły też chodziłam na Hożą. To była szkoła numer 37 im. Władysława Reymonta". Z powodu wybuchu II wojny światowej Maria Chmielewska zakończyła edukację na poziomie szkoły podstawowej, później uzupełniała ją o różnego rodzaju kompetencje, jak maszynopisanie, jednak z uwagi na konieczność pracy i obowiązki rodzinne nie zdołała już ukończyć szkoły średniej.

W pierwszym miesiącu wojny zmarła jej matka, co spowodowało konieczność podjęcia przez Marię pracy, którą znalazła w szwalni przy ul. Królewskiej. „Tuż przed powstaniem warszawskim całą naszą szwalnię puścili na urlop. Ja już miałam torbę sanitarną naszykowaną i 1 sierpnia poszłam do powstania". Była tam łączniczką kompanii szturmowej w batalionie „Miłosz", operującym w Śródmieściu.

Po upadku powstania, podobnie jak większość ocalałych, 2 października Maria wraz z młodszą siostrą wyruszyła z Warszawy do Pruszkowa. Następnie niemieckim transportem zostały one wywiezione do obozu pracy przymusowej do Lipska. Nie zdecydowały się na wyjazd na Zachód, co proponowali zajmujący Lipsk Amerykanie. Postanowiły wraz z siostrą, że powrócą do Warszawy. „I co się okazało – nasze mieszkanie ocalało i ojciec już czekał". Ojciec zmarł na serce po paru miesiącach od zakończenia wojny.

Szczecin

Maria wraz z mężem Tadeuszem Jabłońskim w oczekiwaniu na przyjście na świat ich córki przenieśli się w 1950 r. do Szczecina. Rodzina męża oraz szanse na uzyskanie samodzielnego mieszkania miały być magnesem przyciągającym ich do stolicy Pomorza Zachodniego. Jak się okazało, Szczecin stał się jej domem na zawsze.

Tadeusz, mąż Marii, rzucił się w wir pracy, a na niej spoczęły obowiązki domowe, których przybywało z roku na rok – w krótkim czasie przyszło na świat ich dwóch synów. Przełomowy był 1963 r., kiedy Maria rozpoczęła pracę w Stoczni Szczecińskiej im. Warskiego, na W-4, tj. na Wydziale Montażu Rurociągów Okrętowych, potocznie zwanym „rurownią", będącym robotniczym sercem stoczni. Była to jej pierwsza i jedyna praca w Szczecinie. Po latach wspominała: „Dostałam pracę na dyscyplince, taki jakby mały dział kadr, tuż przy hali. Przez okno wszystkich tych swoich widzę, jak coś się kroi, od razu wiem, bo już tu grupka, tam grupka i tak powoli ciągną na stołówkę [...]". Z racji swoich obowiązków, a także z uwagi na charakterystyczną dla niej życzliwość, po kilku latach Chmielewska wybrana została do Rady Wydziałowej związku. Jak wspominała po latach: „Na stoczni to się widzi. Niesprawiedliwości, narzucanie. Ci sekretarze tacy nieudolni, tacy pewni siebie. Narzucali np., że jedno mieszkanie musi być dla partyjnego, z góry wiadomo było, kto dostanie. Bez przerwy miałam do czynienia z takimi sprawami [...]". Warunki pracy na wydziale były bardzo ciężkie. „Poszłam nieraz na statek popatrzeć, myślę, mój Boże, niech nas nie straszą piekłem, piekło to jest robić na statku. [...] To jest naprawdę ciężka praca, zwłaszcza dla takich młodych, prawie dzieci, zimno od tych blach przemarzniętych, przeziębienia, różnego rodzaju urazy, wypadki, serce boli patrzeć".

Delegacja Solidarności składa wieniec pod tablicą pamiątkową Grudnia '70 przy bramie głównej Stoczni Warskiego, sierpień 1981 r. Od lewej: Marian Jurczyk, Aleksander Krystosiak, Maria Chmielewska, Stanisław Zabłocki. Zbiory IPN Szczecin

FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 922094d2e9

Ostatnie posiedzenie prezydium MKR w Szczecinie, 2 czerwca 1981 r. Zbiory IPN Szczecin. Maria Chmielewska siedzi w pierwszym rzędzie, piąta od lewej

Grudzień 1970

W grudniu 1970 r. doszło, podobnie jak w Trójmieście i Elblągu, do protestów i strajku w Stoczni Warskiego w Szczecinie. Na czele Komitetu Strajkowego stanął tam Mieczysław Dopierała, a później Edmund Bałuka. Chmielewska wspominała: „Zebraliśmy się w stołówce wydziałowej i już moja kandydatura leci. Ale nie poszłam na świetlicę główną. Poszedł tam od nas kolega, Józef Podzielny". Po masakrze na ulicach Trójmiasta i Szczecina strajki grudniowe zakończyły się obietnicami nowej komunistycznej ekipy pod kierownictwem Edwarda Gierka, dotyczącymi samorządności robotników w zakładach pracy. Po Świętach Bożego Narodzenia stoczniowcy ponownie zastrajkowali pod wodzą Bałuki. Chmielewska zapamiętała początek styczniowego strajku następująco: „Chcieli nas znowu w te same koleiny... I to niezręcznie, nawet bardzo niezręcznie. Zwołali telewizję, huku narobili, przygotowali sobie ludzi, którzy będą to i to mówić, tak jak zwykle to się przedtem odbywało. To już tym razem nie przeszło. [...] Wydział stanął. Zażądano wyrzucenia tego sekretarza przedgrudniowego jeszcze. I rzeczywiście zaraz został zdjęty. [...] Co ludzie żądali, to się spełniało, a rurownia stała. Nic nie pomagało, już chodziło wtedy o ważniejsze rzeczy. I za rurownią już cała stocznia". Protest zakończył się bezprecedensowym spotkaniem załogi stoczni z Edwardem Gierkiem i złożoną robotnikom obietnicą większej samorządności. Chmielewska wspominała: „Po strajku w pierwszym rzędzie były nowe wybory do rad oddziałowych, demokratyczne, tajne, takie właśnie, jakich sobie życzyliśmy, to jest żadnych list kandydatów, zgłasza cała załoga, tak się skończyło, że zostałam przewodniczącą na rurowni".

Dość szybko jednak władze komunistyczne rozprawiły się z działaczami Związku Zawodowego Metalowców. I gdy doszło w 1976 r. do protestów w Ursusie i Radomiu, w Stoczni Warskiego, pomimo prób, nie zdołano już wywołać ogólnozakładowego strajku. Udało się to ponownie dopiero w sierpniu 1980 r. Koniec lat 70. to dla Marii również rozstanie z mężem. Wkrótce związała się ze Stefanem Chmielewskim, pracującym tak jak i ona w Warskim.

Z UWAGI NA CHARAKTERYSTYCZNĄ DLA NIEJ ŻYCZLIWOŚĆ CHMIELEWSKA WYBRANA ZOSTAŁA DO RADY WYDZIAŁOWEJ ZWIĄZKU

Sierpień 1980

Stanisław Wądołowski wspominał dzień powołania MKS-u w Szczecinie: „Byłem bardzo zdziwiony jego składem. Na czele stał Marian Jurczyk, zawsze skłonny do wszelkich ustępstw. Mariana Juszczuka nie znałem, później dowiedziałem się, że wcześniej kandydował na sekretarza PZPR jednego z wydziałów [...], ale za to bardzo dobrze znałem Marię Chmielewską, która pełniła funkcję sekretarza Komitetu Strajkowego. Dała się poznać jako wspaniały organizator i człowiek. Z wyboru jej osoby na to stanowisko bardzo się ucieszyłem".

Chmielewska była w NSZZ „Solidarność" od samego początku, a z racji zaufania, którym obdarzyli ją liderzy, brała udział we wszystkich istotnych wydarzeniach związku. Była zaangażowana, wspierając szczególnie prace związane z redakcją postulatów robotniczych i później protokołując oraz relacjonując przebieg spotkań MKS ze stroną rządową. Odegrała istotną rolę podczas prac komisji redagującej porozumienie szczecińskie podpisane 30 sierpnia 1980 r. W lutym 1981 r. wybrana została, jako jedyna kobieta, na członkinię Prezydium KZ NSZZ „Solidarność" w Warskim. Została jej wiceprzewodniczącą.

Chmielewska, prócz aktywności w czasie wielkiego strajku, miała swój znaczący udział podczas kryzysu bydgoskiego i w przygotowaniach do strajku generalnego w Szczecinie, wspomagając Stanisława Wądołowskiego. Podobnie było w grudniu 1981 r., kiedy uczestniczyła w pracach MKS na terenie Stoczni po wprowadzeniu stanu wojennego, wspierała wtedy Andrzeja Milczanowskiego. Udało się jej wówczas, tak jak większości protestujących, opuścić zakład pracy i uniknąć zatrzymania. Nie uniknęła jednak kary. Po ogłoszeniu amnestii dla więźniów politycznych w lipcu 1983 r. ukrywająca się do tego czasu Chmielewska postanowiła się „ujawnić". Zaowocowało to podjęciem zawieszonego postępowania dotyczącego jej udziału w strajku grudniowym, i co prawda już nie w trybie doraźnym, jednak została skazana na karę pozbawienia wolności na 8 miesięcy w zawieszeniu na 3 lata. Niezależnie od tego wyroku Maria Chmielewska nadal aktywnie, w miarę swoich możliwości, uczestniczyła w działaniach podziemnej Solidarności, współpracując z redakcjami pism, takich jak „Grot" czy „Jedność", oraz w Duszpasterstwie Ludzi Pracy im. Jerzego Popiełuszki.

Po 1989 r. nadal udzielała się społecznie, współpracując szczególnie ze Stanisławem Wądołowskim, który w latach 1991–1993 pełnił funkcję posła na Sejm RP.

eprasa.pl 922094d2e9

JOANNA PUCHALSKA

DZIEWCZĄTKO Z ORŁEM BIAŁYM

GDYBY PRZYZNAWANO TYTUŁ LWOWSKIEJ KOBIETY ROKU 1863, ZOFIA ROMANOWICZÓWNA BYŁABY JEDNĄ Z LICZĄCYCH SIĘ KANDYDATEK

„Dziewczątkiem z Orłem Białym" określił ją Stanisław Wasylewski w artykule zatytułowanym „Panna Zofia", a Kornel Ujejski porównał do „ślicznej przędzy Matki Boskiej".

Rocznik 1842, całe życie spędziła w ukochanym Lwowie. Ojciec był słynnym adwokatem i póki żył, rodzinie na niczym nie zbywało. Gdy zmarł, sytuacja materialna w domu znacznie się pogorszyła. Zosia miała wtedy 11 lat.

Dziewczynka uczyła się najpierw z matką, potem uczęszczała do zakładu Letycji Wilczopolskiej, następnie na pensję Felicji Wasilewskiej. Po latach Zofia napisze: „O! Błogosławiona chwila, kiedy poznałam [...] tego Anioła, p. Felicję, której tyle jestem winna. Ona to rozwinęła moje serce i umysł, wskazała wyższe cele życia, nauczyła mnie kochać Boga i ludzi, kochać Ojczyznę, żyć dla powinności". Zmuszona stanem rodzinnych finansów i w poczuciu misji dorosła Zofia wiele lat przepracowała jako nauczycielka.

Przed powstaniem

Rola kobiet nabierała coraz więcej społecznego znaczenia. Kobiety nosiły żałobę, brały udział w manifestacjach, tworzyły komitety, organizowały kwesty, loterie fantowe na rzecz więźniów politycznych i ich rodzin. We Lwowie trzy młode kobiety, Julia Dzierżanowska, Wanda Dybowska i Zosia Romanowiczówna, założyły Stowarzyszenie im. Klaudyny z Działyńskich Potockiej. Na patronkę obrały słynną Wielkopolankę: wykształconą, szlachetną, mądrą patriotkę i filantropkę. Były z siebie bardzo dumne, gdy przedstawiły statut swej duchowej mentorce, pannie Wasilewskiej, a ta poprawiwszy go nieco – najstarsza założycielka liczyła lat 16, doświadczenia w pisaniu statutów żadna z nich nie miała – sama zgłosiła akces. Celem stowarzyszenia było „budzenie ducha i uświadomienie ludu". Siostry Klaudii, jak siebie nazywały, pracowały nad samokształceniem, prowadziły naukę czytania i pisania, organizowały czytelnie ludowe i rzemieślnicze, a także wspomagały materialnie ubogich.

Boże dopomóż!

Gdy 25 stycznia dotarła do Lwowa wieść o wybuchu powstania, Romanowiczówna zareagowała entuzjastycznie, mając przy tym świadomość niewielkich szans na powodzenie zrywu: „Podług ludzkiej rachuby upaść musimy – ale Tyś, Panie, wielki i mocny". Napisała wtedy odezwę „Do Polaków i Polek, na wieść o powstaniu". Jej brat, Tadeusz, brał czynny udział w walkach. Kto wie, gdyby nie matka, może ona też ruszyłaby w pole jak słynna Pustowójtówna, o czym świadczą niektóre jej zapiski. Zamiast tego zorganizowała skubanie szarpi i produkcję naboi, a gdy w lutym z inicjatywy Felicji Wasilewskiej powstał Komitet Niewiast, klaudynki przystąpiły do niego. Komitet miał pomagać „naszej sprawie i braciom drogim walczącym". 29 kwietnia komisarz Rządu Narodowego upoważnił „Stowarzyszenie Polek, pod nazwą: »Sióstr Klaudyi« zawiązane, do zbierania dobrowolnych ofiar w mieście Lwowie i obwodach Galicji wschodniej na zaopatrywanie lazaretowych i innych potrzeb wojsk

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 922094d2e9

powstańczych w prowincjach pod zaborem moskiewskim zostających [...]. Pieczęć przez stowarzyszenie »Sióstr Klaudyi« używana nosić będzie napis: »Boże dopomóż«".

Co tam marzyć o kochaniu

Kobiety zaopatrywały lazarety, zbierały pieniądze, wyszukiwały sponsorów deklarujących stałe miesięczne kwoty, a zgromadzone środki były przekazywane pełnomocnikom Rządu Narodowego. Każda miała swoją funkcję. „Są gospodynie, tj. zajmujące się kupnem i obstalunkami, jedna sekretarka, rozdająca i odbierająca co miesiąc upoważnienia, i kasjerka". Dokonano podziału Lwowa na cztery okręgi, a okręgowym zwierzchniczkom podlegały tzw. dziesiątniczki, zawiadujące kobietami zbierającymi datki.

Kobiety były także kurierkami, produkowały naboje, pomagały w szpitalach i lazaretach, odwiedzały więźniów, nosiły grypsy, przemycały broń pod krynolinami (moda wyjątkowo sprzyjała pod tym względem). A nawet pomagały w ucieczkach skazańców. „Młodym ludziom wymykającym się do szeregów wszywały Lwowianki ewangelię na jedwabiu jako przepaskę na ramię, na piersi Matkę Boską Częstochowską i dukat dawały w torebce, dobre, zacne Klaudynki" – pisze Maria Bruchnalska w „Cichych bohaterkach". Według niej: „Same nosiły się najskromniej: na co dzień szary żupanik, na święta zaś granatowy z amarantowymi wylotami, a jako płaszcze świty z grubego sukna czarnego, szamerowanego barankami. (Krój czamar męskich i świtek miał przypominać lud i zbliżać do niego). Na szyi nosiły kobiety wszystkich stanów, Polki, a nawet wiele Rusinek, czarne krzyżyki jak w całym kraju. Żydówki, choć niekiedy patriotycznie wyjątkowo usposobione, uchylały się od żałoby". Skąd ta powściągliwość w ubiorze? Ano stąd, że pieniądze należały się przede wszystkim sprawie narodowej. W 1860 r. powstało we Lwowie Towarzystwo Oszczędności. Członkinie wyrzekały się strojnych ubrań, wykwintnego jedzenia, lepszych miejsc w teatrze. Oczywiście Zofia i jej mentorka Felicja Wasilewska przystąpiły do tego gremium jako jedne z pierwszych.

Zofia zajmowała się lokowaniem członków Rządu w bezpiecznych lokalach, m.in. w pokoju swego brata, który został aresztowany w grudniu 1863 r. Według Bruchnalskiej lwowska codzienność miała się jak w następującym dialogu: „Macie dzisiaj gościa? – pyta szeptem w kościele p. Raczyńska przyjaciółki. – Mamy. – Kogo? – Nie wiem, ale wiem, że dwóch. – Szkoda, chciałam wam przysłać jednego, bo u nas już nie ma miejsca".

Oprócz tego w służbie ojczyzny panna Romanowiczówna szyła ubrania, przygotowywała naboje, pomagała w szpitalach (m.in. dwa miesiące dyżurowała w Sokalu, w lazarecie oo. Bernardynów), sprzedawała bilety na loterie, roznosiła odezwy, wyszukiwała potrzebne lokale, np. na szwalnię.

W marcu 1863 r. podczas rewizji w mieszkaniu Mieczysława Pawlikowskiego znaleziono materiały obciążające klaudynki, do których należała także jego żona Helena z Dzieduszyckich. Na ich podstawie kilka kobiet, wśród nich Zofia, zostało aresztowanych i odsiedziały miesiąc więzienia.

1 stycznia 1865 r. w ostatnim wpisie w dzienniku Zofia, w pełni świadoma poniesionej klęski, stwierdza proroczo, że zryw styczniowy jednak pozostanie „cudowną pamiątką, która będzie wzorem i podniesieniem dla dzisiejszych i następnych pokoleń".

Niczego dla siebie

Zofia Romanowiczówna była postacią we Lwowie znaną i szanowaną. Gdy Mieczysław Romanowski, autor słów pieśni „Co tam marzyć", szedł do powstania, ukląkł przed nią, prosząc o błogosławieństwo i listek bluszczu jako godło nadziei. W kręgu jej znajomych byli Kornel Ujejski, Ludwik Wolski, Wincenty Pol, Józef Ignacy Kraszewski, Artur Grottger. W sztambuchu miała wpisy Antoniego Edwarda Odyńca i Adama Asnyka. Władysław Łoziński wzorował na niej postać Zofii w powieści „Pierwsi Galicjanie". Wiadomo, że w młodości przeżyła nieszczęśliwą miłość, skrywaną w zapiskach pod literami BS. Najprawdopodobniej apodyktyczna matka nie dopuściła do małżeństwa. Ale to tylko przypuszczenia.

W dzienniku pod datą 7 czerwca 1864 r. Zofia zapisała: „Nie szukaj niczego dla siebie – nie daruj sobie ani cienia miłości własnej, ani jednej chwilki, ani jednej zachcianki, ani jednego marzenia – Stań się niezłomną i czystą jak stal. – Kochaj, nie pytając czyś kochana. – Cierp, pracuj, módl się, uśmiechaj choć serce pęka".

W różnych latach działała w różnych organizacjach. Należała do Towarzystwa Maryi, Kółka Serdecznych Polek, Bractwa Chrześcijańskich i Polskich Niewiast, Stowarzyszenia Czynnych Polek, Stowarzyszenia Pracy Kobiet, Towarzystwa Oszczędności Kobiet z 1893 r., które połączyło się ze Stowarzyszeniem Pracy Kobiet i Stowarzyszeniem Nauczycielek. Wiele lat sama ciężko pracowała jako nauczycielka, zmuszona zarobić na życie. Od 1875 r. po zdanym egzaminie mogła uczyć w państwowych szkołach podstawowych. Była zastępczynią przewodniczącej Związku Nauczycielek we Lwowie. W latach 1914–1918 stała na czele lwowskiej Ligi Kobiet.

W dwudziestoleciu przyznano jej stopień podporucznika weterana Wojska Polskiego i znalazła się pod opieką lwowskiego Komitetu Opieki nad Uczestnikami Powstania 1863–1864 r. Otrzymała także honorowe członkostwo Związku Obrońców Lwowa.

Pozostawiła po sobie publikacje wspomnieniowe stanowiące cenne źródło wiedzy o epoce i ówczesnych wydarzeniach: „Z roku 1863", „Z dni krwi i łez 1863–1865", „Pierwszy mazur z Arturem Grottgerem", „Cienie", „Klaudynki", „Ci, których znałam", „Tadeusz Romanowicz. Listy i wspomnienia".

Ostatnie lata były ciężkie, Zofia stopniowo traciła wzrok. Zmarła w 1935 r. i została pochowana na Cmentarzu Łyczakowskim. Na jej nagrobku widnieje napis: „Szła przez życie z miłością, ku szczytom prowadziła młode pokolenia". ■

eprasa.pl 922094d2e9

NASZ ORGANIZM JEST TROCHĘ JAK KSIĘGOWY. WIE, ILE POTRZEBUJE I ILE DOSTAŁ. RÓŻNICE NA TYM POLU ALBO WYPŁACA W POSTACI TKANKI TŁUSZCZOWEJ, ALBO MAGAZYNUJE W TEJ SAMEJ FORMIE

NA CIEPŁO LEPIEJ SMAKUJE

KRZYSZTOF ŻARYN

W kontekście omawiania prawidłowego sposobu żywienia formułuje się wiele różnych zaleceń. Jedne mówią o konieczności utrzymania stałych godzin jedzenia, inne, że w pewnych porach dnia jeść się nie powinno, a jeszcze inne odnoszą się do konieczności wykluczeń grup produktów czy konkretnych składników jedzenia. Prawda jest taka, że dla osób zdrowych, nieobarczonych ciężkimi dolegliwościami metabolicznymi, większość tych zaleceń pod kątem fizjologicznego funkcjonowania naszego organizmu nie ma znaczenia, np. przekonanie, że można jeść tylko do godz. 18.00, jest pozbawione sensu, bo nasz organizm nie ma tendencji do rozmnażania kalorii po tej godzinie. Jedzenie o konkretnych porach też nijak nie wpływa na pamięć naszego ciała. Jeśli zjemy pół godziny później, to nie będziemy kumulować tkanki tłuszczowej na gorsze czasy. Jednak już strawność składników odżywczych, to co jemy i jak to przygotowujemy, ma oczywiście bardzo istotne znaczenie.

Podobnie obróbka termiczna i sposób jej prowadzenia będą na wielu płaszczyznach mieć pozytywny wpływ na nasz organizm. Stosowanie obróbki jest ogólnie koniecznym procesem, lecz zalecenia, którą jej formę stosować, nie są takie jednoznaczne. Pieczenie, smażenie czy może podgrzewanie w mikrofalówce? Słyszymy różne teorie, które co i raz się zmieniają. Na przestrzeni wieków formy przygowania posiłków również nie były jednakowe.

Dobrodziejstwo ognia

Niewątpliwie kluczowym aspektem przyswojenia sztuki obrabiania termicznego produktów było opanowanie kontroli temperatury. Póki człowiek nie był w stanie generować ciepła, nie miał możliwości podgrzewania pokarmów. Zmieniła to kontrola ognia. Opanowanie tego żywiołu przez człowieka datuje się nawet na 1 mln lat temu. Jednak dopiero później tę umiejętność zaczęto wykorzystywać w dziedzinie kulinariów. Progres rozpoczął się mniej więcej 250 tys. lat temu. Zdaniem Richarda Wranghama, brytyjskiego profesora antropologii, to właśnie możliwość obróbki termicznej pokarmów była najważniejszym pozytywem dla ludzkości. Pozwalała na wyższą przyswajalność jedzenia, dostępność kalorii dla organizmu oraz lepszy smak. Archeolodzy odkryli jeszcze jedną metodę podgrzewania. W starożytnej Mezopotamii stosowano głębokie doły, do których wlewano wodę. Żeby wpłynąć na podniesienie jej temperatury, na dno wrzucano bardzo rozgrzane kamienie. Mechanizm działania był bardzo zbliżony do funkcjonowania grzałki.

Następnym etapem było wynalezienie naczyń, które ułatwiały stosowanie procesów termicznych. Co było jednak pierwsze: jajko czy kura? Pytanie stare jak świat i jednocześnie bardzo uniwersalne. Ceramika była przełomowym wynalazkiem pod kątem gotowania, ale do wytwarzania garnków potrzebny był piec. Więc pytanie, co było pierwsze: piec czy ceramiczne garnki? Znaleziska archeologiczne jednoznacznie stawiają na przyrządy ceramiczne, jednak piece też nie kazały długo czekać na swoje wymyślenie. Pierwsze z nich odkryto na terenach Wschodniej Europy i datuje się je na 29 tys. lat przed Chrystusem. Na terenach dzisiejszej Ukrainy stanowiska mieszkalne posiadały wyposażenie w paleniska. Służyły one zarówno do

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 922094d2e9

obróbki produktów, jak i do wytwarzania cegieł oraz naczyń.

Na kilka tysięcy lat wstecz datuje się wynalezienie pieca tandyr wykorzystywanego do dziś w kuchni azjatyckiej. Legenda głosi, że jego powstanie zainicjował pasterz zafascynowany budową tulipana. Zaobserwował, że zamykany kwiat daje dużo ciepła, a w jego płatkach chętnie chronią się owady. Chcąc przełożyć obserwację na codzienność, obudował palenisko gliną na kształt tulipana. Jak się okazało, ogień utrwalił glinianą strukturę, a ów pasterz wynalazł długowieczny piec tandyr (tandoor). Obróbka produktów żywieniowych stała się dużo sprawniejsza, a ciepło lepiej się rozkładało. Pasterz szybko rozpowszechnił swój wynalazek i, jak głosi legenda, mocno się na tym wzbogacił. Piece te odnajdywano w wykopaliskach na całym Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej. Jednym z kultowych i do dziś wytwarzanych wyrobów jest chleb tandyr. Przykleja się go do bocznych ścian pieca, gdzie wypala się w cylindrze. Piece te nadal wykorzystywane są w wielu restauracjach.

Zmiany technologiczne

Do czasów antycznej Grecji piece swoją formą przypominały raczej proste paleniska obudowane strukturą ochronną. Istniały pewne wyjątki, jak opisany piec tandyr, jednak głównie były to nieco bardziej zaawansowane formy miejsc na ognisko. Usprawnienia w tej dziedzinie wprowadzili starożytni Grecy. Zaczęli stosować konstrukcje z drzwiami od frontu. Drewno dokładano od przodu, a żeby nie było problemu z wpływem na żywność, wymyślono specjalną półkę, na której kładziono ogrzewane produkty, co dawało również znacznie lepsze utrzymanie temperatury. Takie udogodnienia sprawiły, że pieczenie stało się bardziej powszechne. Na tyle, że powstał zawód piekarza, zajmującego się na razie wyłącznie wypiekiem chleba.

Starożytni Rzymianie podtrzymywali odkrycia greckich poprzedników. W średniowieczu technologia pieca stała się dużo bardziej zaawansowana. Z początku piece były połączeniem kominka z nakrywką i przypominały piece holenderskie. Trochę jak popularne okrągłe grille z przykrywą. Jednak już od XV w. formy pieców zaczęły się mocno zmieniać. Były piece opalane drewnem, piece żeliwne czy węglowe. Stosowano zmiany w konstrukcji, dodano m.in. komory ogniowe, które oddzielały żywy ogień od opiekanej żywności. W XVIII w. piece żeliwne zdominowały rynek i stały się najpopularniejszą formą produkowanych urządzeń. Jednak dalej mocno ewoluowały. W dziedzinie innowacji zasłynął architekt François de Cuvilliés, który jako pierwszy stworzył piec całkowicie zamknięty, niewypuszczający tak szybko dymu ze swojego wnętrza, co podwajało uzyskaną temperaturę. Następnym przełomowym udoskonaleniem było zastosowanie przez fizyka Benjamina Thompsona nad jednym paleniskiem czterech oddzielnych stanowisk termicznych, które umożliwiały bardziej wydajne gotowanie. Odkrycie to nastąpiło pod koniec XVIII w. i było zalążkiem kuchenki, którą znamy do dziś. Duży zbiornik na dym powodował, że piece te stanowiły źródło ogrzewania pomieszczeń. Na początku XIX w. pojawiły się już piece ogrzewane gazem.

Przemysł zbrojeniowy dla żywności

Jedną z bardziej kontrowersyjnych form urządzenia grzewczego są mikrofalówki. Jest to koncept bliższy naszych czasów, jednak odkrycie tego urządzenia ma ciekawą historię. Związana jest ona z przemysłem zbrojeniowym w okresie międzywojennym. Bardzo pożądanym sprzętem wojskowym były wtedy radary. Do ich produkcji wykorzystywano magnetron produkujący mikrofale potrzebne do uzyskania funkcjonowania radaru. Już od początku stosowania tego narzędzia widać było, że efektem ubocznym jest mocne nagrzewanie. Jednak dopiero w 1945 r. naukowiec Percy Spencer zrobił z tego użytek. W czasie pracy nad udoskonaleniem radaru zauważył, że magnetron roztopił kawałek czekolady w jego kieszeni. Zaciekawiony naukowiec zaczął eksperymentować z innymi produktami. Uprażył kukurydzę, wysadził podgrzane surowe jajko. Spencer opatentował swój wynalazek, a pierwsza mikrofalówka powstała w 1950 r. Ważyła ponad 300 kg i miała ponad 1 m wysokości.

RadaRange – pierwsza komercyjnie dostępna kuchenka mikrofalowa z 1947 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

* * *

Zalecenia prawidłowego żywienia odnoszą się przede wszystkim do pokarmów białkowych. To mięso i jego przetwory muszą być poddane obróbce, bo inaczej proteiny mogą być dla nas trudno strawne. Dla osób zdrowych, bez problemów na poziomie funkcji żołądka czy woreczka żółciowego, zalecenia odnoszą się głównie do kaloryczności. Podstawowym założeniem jest ograniczenie smażenia. Czy jednak chodzi o samą formę obróbki, czy też o to, co z reguły jej poddajemy? Problemem nie będzie usmażenie warzyw na patelni czy piersi z indyka z małą zawartością tłuszczu, bo nie wpłynie to na ich kaloryczność. Szkodliwe jest smażenie produktów chłonnych, tj. panierowane kotlety, czy potraw mącznych. Przy nich każda ilość oleju zostanie pochłonięta przez nasze danie. Dodatkowo smażenie nie będzie wskazane dla osób z wrzodami, refluksem i ze wszystkimi stanami zapalnymi żołądka. Pieczenie w rękawie, duszenie, gotowanie – są to formy obróbki bezpieczne dla każdego i nie wpływają one na podwyższanie kaloryczności dania. Jeżeli chodzi o działanie mikrofal, to również nie wpływają one negatywnie na nasze zdrowie. Mikrofale w tym zakresie działania nie mają wpływu jonizującego. Pobudzają za to drgania cząsteczek wody, co powoduje wytworzenie ciepła w produkcie. Jedynym minusem jest to, że robią to nierównomiernie.

eprasa.pl 922094d2e9

HMS HOOD, CZYLI CHLUBA ROYAL NAVY

KACPER GROCHOCKI

W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM HMS HOOD BYŁ NAJWIĘKSZYM OKRĘTEM WOJENNYM ŚWIATA I PRZEZ DŁUGIE LATA STANOWIŁ SYMBOL SIŁY BRYTYJSKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ

Koncepcja krążowników liniowych, a więc okrętów łączących najlepsze cechy krążowników (szybkość) oraz pancerników (siła ognia), wykształciła się przed I wojną światową w brytyjskiej Royal Navy. Rozwiązanie to zostało zaadaptowane przez inne państwa, głównie przez Niemcy.

Doświadczenia wielkiej wojny wykazały jednak, iż ta klasa okrętów ma poważną wadę, która nie pozwala na ich bezpieczne wykorzystywanie w czasie bitwy jako jednostek równorzędnych dla pancerników. Mankamentem tym było słabe opancerzenie krążowników liniowych. W związku z tym zaprzestano ich budowy po I wojnie światowej, a już powstałe okręty modernizowano.

Ostatnim krążownikiem liniowym, którego budowa rozpoczęła się jeszcze w 1916 r., był brytyjski HMS Hood. Wraz z trzema bliźniaczymi jednostkami powstawał jako odpowiedź na niemiecką serię okrętów Mackensen. Porzucenie prac przez Niemców poskutkowało tym, iż Brytyjczycy ukończyli tylko HMS Hood.

Okręt ten był modyfikowany w trakcie budowy i przed wejściem do służby – głównie w wyniku bitwy jutlandzkiej, w trakcie której trzy krążowniki liniowe Royal Navy zostały zatopione po trafieniach w słabo opancerzone komory amunicyjne. W związku z tym opancerzenie HMS Hood zostało zwiększone o blisko połowę, co skutkowało większą wypornością i utratą szybkości, a mimo to nadal było niewystarczające, szczególnie w zakresie pancerza poziomego.

Okręt wszedł do służby w 1920 r. Jego uzbrojenie główne stanowiło 8 armat kal. 381 mm rozmieszczonych po dwie w czterech wieżach, zaś artylerię średnią 12 dział kal. 140 mm, ponadto posiadał artylerię przeciwlotniczą i wyrzutnie torped. Wyporność pełna była bliska 42,5 tys. ton, a załoga liczyła 1169 osób. Główny pas pancerny na burtach miał grubość 305 mm, lecz wysokość tylko 2,9 m. Nad nim znajdował się wysoki na 2,13 m, cieńszy, bo mający grubość 178 mm, pas opancerzenia, a ostatnia „warstwa" miała już tylko 127 mm grubości. Cztery zestawy turbin parowych generowały moc ok. 151 tys. KM i pozwalały na osiągnięcie prędkości maksymalnej ponad 31 węzłów (ok. 57 km/h), zaś zasięg, przy prędkości marszowej 18 węzłów, wynosił ok. 5,2 tys. mil morskich.

Wchodząc do służby, HMS Hood był największym okrętem świata – ze względu na podpisane w 1922 r. przez morskie mocarstwa traktatu waszyngtońskiego, ograniczającego rozrost flot, do wybuchu II wojny światowej utrzymał ten status. Stał się wizytówką Royal Navy, okrętem reprezentacyjnym, który stale podróżował po świecie.

W 1929 r. HMS Hood został skierowany na dwuletnią modernizację, która jednak w znaczący sposób nie wpłynęła na jego walory bojowe.

Od września 1939 r. działania HMS Hood skupiały się głównie na działaniach patrolowych i konwojowych. W lipcu 1940 r. brał udział w akcji neutralizacji francuskiej floty w porcie Mers el-Kébir na Morzu Śródziemnym. Następnie powrócił do działań patrolowych na Atlantyku. W nocy z 21 na 22 maja 1941 r., wraz z pancernikiem HMS Prince of Wales i zespołem niszczycieli, wypłynął w celu przechwycenia niemieckich okrętów: pancernika Bismarck i ciężkiego krążownika Prinz Eugen, które miały podjąć próbę przedarcia się na Atlantyk poprzez Cieśninę Duńską.

Do spotkania doszło 24 maja i po trwającej kilka minut wymianie ognia HMS Hood prawdopodobnie został trafiony niemiecka salwą w rufowy magazyn amunicji, co zakończyło się ogromną eksplozją i błyskawicznym zatonięciem okrętu, z którego uratowało się zaledwie trzech marynarzy. HMS Prince of Wales także został trafiony i wycofał się z dalszej walki. W boju uszkodzeń doznał też Bismarck, którego dopadł brytyjski pościg i posłał na dno 27 maja 1941 r.

Zatopienie HMS Hood było szokiem dla opinii publicznej w Wielkiej Brytanii, bowiem okręt ten przez długie lata stanowił symbol siły Royal Navy.

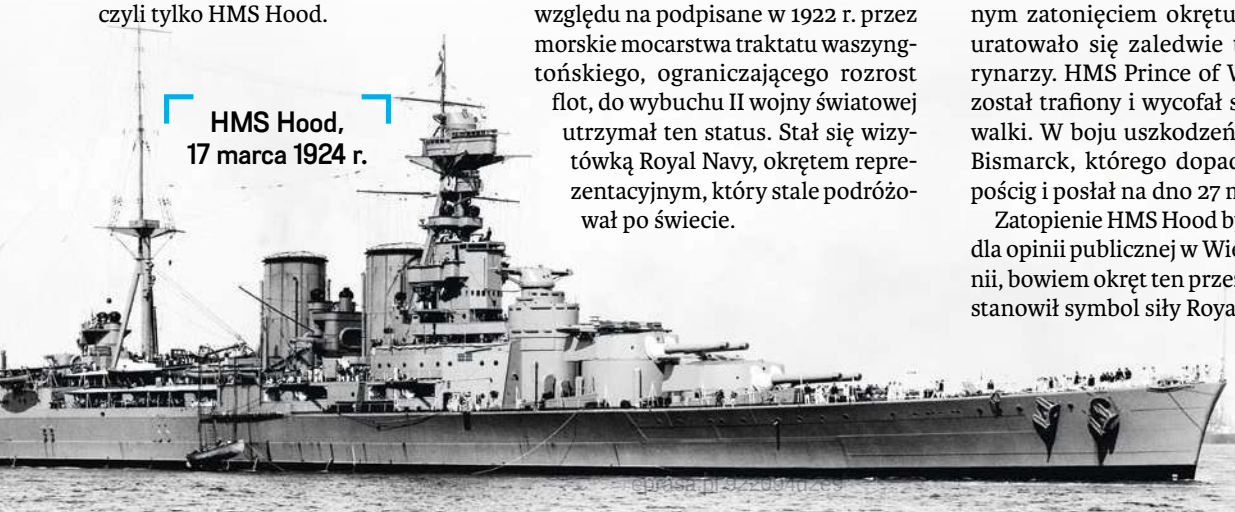

HMS Hood, 17 marca 1924 r.

FOT. STATE LIBRARY OF VICTORIA

epraso.pl 9/2024 dzięki

Kobiety wsiadają do rikszy marki „Perkun" na pl. Trzech Krzyży, październik 1940 r.

Przewóz mebli rikszą towarową na pl. Zamkowym, lata 1940–1944

NAC

RIKSZA – OKUPACYJNA TAKSÓWKA

Riksza jest pojazdem wywodzącym się z Azji. Początkowo, jako tzw. riksza piesza, wyewoluowała z lektyki – jednego z tragarzy zastąpiono parą kół o dużej średnicy, mogących pokonywać ulice zalane wodą w porze monsunowej. Wkrótce zyskała postać trójkołowego roweru. Nadal jednak ten środek transportu cieszył się popularnością głównie w krajach Dalekiego Wschodu, choć w Europie był znany.

II wojna światowa przyniosła dużą popularność rowerowym rikszom, zwłaszcza w okupowanej przez Niemców Polsce. Wojenna pożoga, a następnie konfiskaty okupanta zdziesiątkowały środki transportu. Podczas wojny obronnej 1939 r. tramwaje często służyły jako elementy barykad, broniących dostępu do miast. Wiele wozów uległo zniszczeniu – w Warszawie z 398 było ich czynnych tylko 168. Samochody prywatne podlegały konfiskacie, a nabycie pojazdu wymagało udowodnienia zapotrzebowania do celów służbowych. Wojsko zarekwirowało też taksówki, później pozostawiając pojedyncze sztuki tylko dla Niemców. Sytuację ratowały wozy konne z krzesłami, dorożki, a nawet jedna... kareta. Jednak konie też podlegały rekwizycjom na potrzeby frontu, co boleśnie uderzało w dorożkarzy.

W 1940 r., na przełomie marca i kwietnia, w Warszawie pojawiły się riksze – trójkołowe rowery z kanapą dla dwóch osób z przodu. Były wytwarzane chałupniczo lub wykorzystywano przedwojenne, np. zamówione w firmie Wehren dla uzdrowiska w Ciechocinku. Wkrótce produkcję – według polskiego projektu – rozpoczęła dawna Fabryka Motorów „Perkun", która na potrzeby Niemców produkowała elektrownie polowe. Innym producentem była firma A. Steinhagen i H. Stransky. Fabryczne riksze, sprzedawane w sklepie przy ul. Marszałkowskiej, były znacznie droższe niż samoróbki, ale oferowały większy komfort podróży. Miały wyściełane siedzenia i składaną budkę chroniącą od deszczu zamiast jedynie fartucha osłaniającego nogi pasażerów.

Riksze wyposażono w licznik kilometrów – taryfa wynosiła 40 gr za kilometr, a kwotę malowano na karoserii obok numeru pojazdu. Dla porównania, w tym czasie jednorazowy bilet tramwajowy kosztował 25 gr, a przesiadkowy 35 gr. W 1942 r. nastąpiła podwyżka na 40 gr za jednorazowy i 50 gr za przesiadkowy. Dorożka kosztowała 1,70 zł za kilometr. Rikszarz mógł zarobić 10–30 zł dziennie przy średnich pensjach w administracji i przemyśle, ściśle regulowanych przez okupanta, na poziomie 170–360 zł miesięcznie.

Powożenie rikszą wymagało dużej siły fizycznej – dwie osoby, nawet wychudzone okupacyjną dietą, ważyły ponad 100 kg. Rikszarzami byli więc zwykle młodzi mężczyźni, często przedwojenni sportowcy. Niektórzy spośród nich już po wojnie będą startować w wyścigach kolarskich, z Wyścigiem Pokoju włącznie. W czerwcu 1940 r. w Warszawie było 95 riksz, w styczniu 1943 r. już 275, w czerwcu 1944 r. – 204. Wkrótce, 10 czerwca, riksze zostały zakazane, ale na krótko – przed godziną W riksze masowo przewoziły konspiratorów na miejsca zbiórek. Oprócz riksz osobowych istniały też towarowe (wózki rowerowe), w liczbie 552. Oba typy riksz występowały także w innych miastach Generalnego Gubernatorstwa.

Kres niemieckiej okupacji nie zakończył kariery riksz. W zburzonej stolicy stanowiły one ważny środek komunikacji, obok furmanek, przepełnionych tramwajów i ciężarówek zastępujących autobusy. Stosunkowo szybko jednak riksze osobowe były wypierane przez rozbudowywany tabor komunikacji miejskiej. Dłużej utrzymały się riksze towarowe – na archiwalnych zdjęciach pojawiają się jeszcze w latach 60. Niekiedy montowano do nich doczepne silniki rowerowe.

Obecnie riksze znowu pojawiają się na ulicach polskich miast. Osobowe wożą turystów, zaś towarowe są obwoźnymi punktami gastronomicznymi, stoiskami z kawą czy lodami. W zmodyfikowanej postaci jako tzw. rowery cargo, służą też do przewozu niewielkich ładunków, zapewniając tani i ekologiczny transport na bliskie odległości.

ŁUKASZ KAROLEWSKI

eprasa.pl 922094d2e9

Douglas MacArthur w Polsce

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

BARTOSZ ORZOŁ

10 września 1932 r. szef sztabu sił lądowych US Army gen. Douglas MacArthur przybył z oficjalną wizytą do Polski.

Widoczny pośrodku zdjęcia jest ubrany w wysokie buty z cholewami, jasne spodnie i ciemnozieloną kurtkę mundurową, z licznymi odznaczeniami na piersi. Jest otoczony przez oficerów Wojska Polskiego. Pośród nich widzimy szefa Sztabu Głównego Wojska Polskiego gen. bryg. Janusza Gąsiorowskiego, który zwracając się do MacArthura, stoi bokiem do obiektywu. W tle – na dworcu kolejowym w Warszawie – widoczny jest wagon osobowy, a w gronie oficerów wyróżnia się osoba cywilna, która najpewniej pełniła funkcję tłumacza. Po lewej stronie kadru znajduje się dowódca Okręgu Korpusu nr I w Warszawie gen. bryg. Czesław Jarnuszkiewicz.

W trakcie pobytu w Polsce MacArthur miał spotkać się z marsz. Wojska Polskiego Józefem Piłsudskim oraz prawdopodobnie był jednym z obserwatorów na odbywających się w tym czasie manewrach wołyńskich. Wizyta ta może być rozpatrywana dwojako ze względu na jej kontekst. Z jednej strony należy zauważyć, że ówczesny prezydent USA Herbert Hoover był osobą, którą można określić mianem polonofila. Otrzymał on status honorowego obywatela Polski, był również zaciekłym przeciwnikiem komunizmu i Związku Sowieckiego. Można więc przypuszczać, że wysłanie szefa sztabu wojsk amerykańskich miało na celu umocnienie pozytywnych relacji łączących Polskę i USA w obliczu potencjalnego zagrożenia ze strony ZSRS.

Jest jednak i drugie dno dotyczące wizyty MacArthura w Polsce. Mianowicie, był on odpowiedzialny za stłumienie protestu weteranów w Waszyngtonie 28 lipca 1932 r., czyli półtora miesiąca przed wizytą w Warszawie. Protestujący domagali się wówczas wsparcia finansowego ze strony rządu wobec trudnych warunków życiowych w wyniku kryzysu gospodarczego. Negocjacje jednak nie przyniosły sukcesu i po starciach z policją prezydent Hoover podjął decyzję o wyprowadzeniu na ulice wojska w celu rozpędzenia demonstrantów. Operacją tą dowodził osobiście Douglas MacArthur. Na skutek użycia gazu łzawiącego śmierć poniósł wówczas 12-letni chłopiec. Tym samym cała operacja, choć zakończona sukcesem, została publicznie potępiona przez społeczeństwo i prasę. Dlatego więc można podejrzewać, że szybki wyjazd generała z USA do Polski (podróż odbyła się statkiem, który miał płynąć dwa tygodnie) miał na celu usunięcie na pewien czas MacArthura z widoku publicznego. Odbywające się manewry Wojska Polskiego i dobre relacje z naszym państwem stwarzały do tego bardzo korzystne okoliczności. Pozostaje to jednak na dziś tylko teorią, która może być warta dalszego zbadania w przyszłości.

Gen. Douglas MacArthur w otoczeniu oficerów Wojska Polskiego w Warszawie

FOT. IPN

epresa.pl 922094d2e6

DOKUMENTY Z OPERACJI „FRANTIC 7”

RAFAŁ BRODACKI

OPERACJA „FRANTIC 7” BYŁA NAJWIĘKSZĄ OPERACJĄ ZRZUTOWĄ PRZEPROWADZONĄ DLA POWSTAŃCZEJ WARSZAWY. W KWIETNIU 2023 r. DO MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO TRAFIŁY KOPIE DOKUMENTÓW ZDEPONOWANYCH W AIR FORCE HISTORICAL RESEARCH AGENCY. TO BARDZO INTERESUJĄCE DOKUMENTY, KTÓRE POZWALAJĄ ZREKONSTRUOWAĆ PLANOWANIE, PRZEBIEG I SKUTKI OPERACJI „FRANTIC 7”

Pomiędzy godz. 5.55 a 6.20 18 września 1944 r. pod eskortą z lotnisk południowo-wschodniej Anglii wystartowało 110 bombowców Boeing B-17 Flying Fortress („latająca forteca”) z amerykańskiej 8 Armii Powietrznej. Amerykanie przelecieli nad Morzem Północnym, nad terytorium duńskim, niemieckim, a następnie nad okupowaną Polską. Ok. południa 107 amerykańskich samolotów B-17 w asyście myśliwców nadleciało nad Warszawę. 101 z nich zrzuciło na spadochronach z wysokości ok. 3 km 1170 zasobników bez opóźniaczy. W efekcie wiatr zwiał większość z nich poza tereny kontrolowane przez powstańców, którzy podjęli jedynie 288 sztuk.

Historycy z Muzeum Powstania Warszawskiego od dawna badają sprawę pomocy lotniczej dla powstańców. Poszukując danych, które naświetliłyby jeszcze bardziej ten temat, MPW nawiązało współpracę z Air Force Historical Research Agency, gdzie pracują specjaliści odpowiedzialni za badanie historii amerykańskiego lotnictwa. W wyniku porozumienia do Muzeum trafiły wysokiej jakości kopie dokumentów poświęconych operacji „Frantic 7”.

Materiały przekazane przez Air Force Historical Research Agency stanowią jedno z najważniejszych źródeł do badania spraw związanych z zagadnieniami dotyczącymi wsparcia lotniczego dla powstania warszawskiego. Liczą one 43 teczki zawierające w sumie 4970 stron dokumentów. W istniejących publikacjach dotyczących operacji „Frantic 7” można znaleźć odwołania do części z tych materiałów, jednak większość z nich pozostawała nieznana dla szerszego grona historyków.

INCOMING MESSAGE
EDITED LITERAL TEXT

W skład teczki „Warsaw Dropping Operations” wchodzi opracowany 14 sierpnia pierwszy plan operacyjny dotyczący zrzutów dla Warszawy i atak na lotnisko w rejonie Królewca

Dokumentację można podzielić na kilka kategorii. Jedne z najbardziej interesujących materiałów umieszczono w teczce określonej jako „Warsaw Dropping Operations”, skompilowanej na potrzeby gen. Frederica L. Andersona, zastępcy dowódcy amerykańskiego lotnictwa strategicznego w Europie. Załączono tam najważniejsze dokumenty pozwalające zrekonstruować proces decyzyjny oraz przebieg operacji zrzutowej z 18 września 1944 r. W teczce gen. Andersona zamieszczono też materiały pozwalające zrekonstruować strategiczny i polityczny kontekst całego przedsięwzięcia. Jest ona podstawowym źródłem, po które powinien sięgnąć każdy historyk badający operację „Frantic 7”.

Nie są to jednak jedyne materiały, jakie pozyskano z Air Force Historical Research Agency. Wśród przekazanych dokumentów są materiały poświęcone dywizjonom i grupom myśliwskim, które osłaniały bombowce zrzucające zasobniki w Warszawie. Są to nie tylko dzienniki bojowe, lecz także raporty dotyczące m.in. stanów i strat w załogach, skutków zrzutu oraz opisy starć z myśliwcami wroga.

Ponadto amerykańscy archiwiści przekazali część dokumentacji powstałej w sztabach 8 Armii Powietrznej, Mediterranean Allied Air Forces oraz Eastern Command of Strategic Air Forces in Europe. Są to kolejne dokumenty pozwalające nakreślić kontekst operacji „Frantic 7”. Bardzo ciekawa jest też ikonografia obejmująca m.in. doskonałej jakości zdjęcia wykonane podczas operacji zrzutowej z 18 września 1944 r. oraz zdjęcia lotników biorących udział w przedsięwzięciu. Fotografie te, podobnie jak opisane wyżej dokumenty, właściwie nie funkcjonują w polskiej historiografii.

Zrzut zasobników dla Warszawy, 18 września 1944 r.

NA IV OKŁADCE AUTOPROMOCJA
FOT. ZE ZBIORÓW MPW

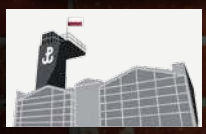

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

CZYTAJ TEKSTY SWOICH ULUBIONYCH AUTORÓW

WSPIERAJ UCZCIWE, WOLNE, POLSKIE MEDIA

Jesteśmy po właściwej stronie – tam, gdzie umiłowanie Ojczyzny

JACEK KARNOWSKI

Konsekwentnie bronimy prawdy. Udaje się dzięki wsparciu Czytelników

MARZENA NYKIEL

Propolskie, wolne media są kluczem do bezpiecznej Polski

MICHAŁ KARNOWSKI

Korzystaj z e-prenumeraty SIECI i wSIECI HISTORII oraz dostępu do **Premium** + wPolityce.pl

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 922094d2e9